

☐

DUNCAN HARDING

UCIECZKA Z TOBRUKU

Przełożyła Joanna Tyczyńska

DOM WYDAWNICZY BELLONA Warszawa

Tytuł oryginału: The Tobruk Rescue

Copyright © 1995 by Duncan Harding. All rights reserved.

The moral right of the author has been asserted.

Warszawa 2005

„Mówi się o morderstwie... już nie ufam nikomu i nigdy. Zabójca będzie czekał w najmniej spodziewanej chwili...”.

Felbc Stidger, szpieg, 1864

Część pierwsza

Zadanie bojowe

„Oficer dowodzący musi ich natychmiast zgładzić. Nie możemy ryzykować zdradzenia tak ważnej tajemnicy”.

Churchill do feldmarszałka sir Alana Brooke'a,

czerwiec 1942

## Rozdział pierwszy

Upał był nieznośny. Ostre promienie słońca kłuły w oczy jak szpilki. Mimo to trzech ludzi kucających w piasku wokół nadajnika radiowego zdawali się nie zauważać ani gorąca, ani ostrego blasku pustynnego słońca. Wszyscy trzech wpatrywali się uważnie w niebo nad Iśniącą, lekko pomarszczoną, niebieską taflą Morza Śródziemnego. Obserwowali mały, czarny punkt, który rósł z chwili na chwilę.

\* Was meinst du, Heinz? \* zapytał jeden, mrużąc oczy pod wysłużoną czapkę AfrikaKorps. \*Ein Tommy?

Heinz, o chudych ramionach ze śladami poparzeń słonecznych, bo mijało już właśnie siedem dni, od kiedy byli na pustyni bez opieki medycznej i z końcówką wody, zwilżył językiem spierzchnięte wargi i potwierdził wolno: \*Ein Tommy.

Żołnierz obsługujący radio nie tracił więcej czasu. Podniósł mikrofon i zaczął nadawać. OttoEins... OttoEins... hittekommen... OttoEins...

Daleko, na horyzoncie dwusilnikowy bombowiec wellington zaczął powoli obniżać lot.

Głos pilota zabrzmiał w słuchawkach: \* W porządku Blue... Chal\*ky... miejcie oczy otwarte. Lecimy w dół.

\* Jak cegła \* zgryźliwie skomentował Chalky White, strzelec środkowego działła, i obrócił wieżyczkę, kierując lufy podwójnego browninga na ląd. Stamtąd mogli nadlecieć. Pilot otarł pot z opalonej twarzy o surowych rysach i pchnął do przodu drążek sterowniczy.

Siedzący z tyłu na płóciennie\*skórzanym fotelu profesor Challenger zbliżył swą brodatą twarz do ładnej buzi Lisy Stein i przekrzykując ryk

silników zawołał: \* Pilot mówił mi przed startem, że to najtrudniejszy manewr. Tobruk jest otoczony, a szkopy tylko

czekają aż jakiś statek czy samolot będzie wchodzić albo wychodzić z portu.

Lisa Stein pobladła lekko mimo opalenizny i odparła swym pięknym głosem o silnym obcym akcencie: \* Mówi pan, profesorze, że nieprzyjaciół może nas zaatakować?

Profesor doktor Challenger pogłaskał swą gęstą czarną brodę i odrzucił głowę do tyłu. \* Nie odważą się! \* ryknął. \* Zaatakować starego Podróżnika w Czasie Challengeera? Nie, nawet szkopy nie będą miały tyle odwagi.

Lisa Stein uśmiechnęła się. Jej przełożony najwidoczniej świetnie wiedział, że studenci nazywają go

przezwiskiem zaczerpniętym z opowiadania H.G. Wellsa. Lisa przeczytała je z ciekawości wkrótce po ucieczce z Niemiec i uzyskaniu posady w Departamencie Geologii Uniwersytetu w Londynie. Musiała przyznać, że istnieje wyraźne podobieństwo między bohaterem „Wehikułu czasu” a profesorem. Obaj byli zwalistymi mężczyznami o porywczym charakterze i obaj nie znosili głupoty. Tak, studenckie przezwisko pasowało do Challengeera jak ulał.

\* Lecą, kapitanie \* krzyknął Blue przez mikrofon. \* Dwa drańskie meserszmity!

Pilot, Australijczyk, rzucił krótkie spojrzenie do tyłu. Dwa żółte kształty pojawiły się niespodziewanie na czystym błękitnie nieba i z niesamowitą prędkością zbliżały się do wellingtona.

\* Jasny szlag! \* zaklął ze złością i w tej samej chwili środkowy strzelec otworzył ogień. Nagle cały środek samolotu wypełnił gryzący swąd palonego kordytu. Puste pojemniki po nabojach toczyły się po podłodze. Lisa Stein wydała stłumiony okrzyk, ale profesor Challenger uspokajająco położył swoją dużą owłosioną rękę na jej dłoni. \*Wszystko w porządku \* zaczął spokojnie. \* Nie odważaj się...

Nie skończył zdania. Usłyszeli huk i nagle wzdłuż ściany pojawiła się linia dziur, momentalnie wzniecając ogień w paru punktach. Pilot gwałtownie przechylił samolot i tuż nad ich głowami z prędkością czterystu mil na godzinę przeleciała z rykiem wielka, żółta maszyna meserszmity.

Wellington leciał teraz tuż nad powierzchnią morza. Śmigła z furią rozpryskiwały wodę. Challenger domyślał się, że pilot wybrał taką taktykę przeciw znacznie szybszym niemieckim myśliwcom. Jeśli podchodząc do ataku zrobiłyby choć najmniejszy błąd, uderzą prosto w morze.

\* Bandyta \* na prawo! \* Chalky White, drugi strzelec śpiewnie zawołał przez mikrofon.

I znowu pilot, cały mokry od potu, rzucił szybko spojrzenie przez ramię. Jęknął. Było jasne, że nie mają do czynienia z nadętym żółtodziobem ze szkoły lotniczej. Niemiecki pilot był bardzo sprawny. Obniżył podwozie, żeby zredukować prędkość i leciał teraz na najniższych obrotach. Zaraz odchylił się i zaczął strzelać.

Pilot działał instynktownie. Szarpnął z całej siły drążek sterowniczy do tyłu, modląc się w duchu, żeby wellington okazał się tak mocny, jak powinien być. Zaskrzybiały wszystkie nity i wszystkie śruby w samolocie. Cała konstrukcja zadrżała. Ale w tej samej chwili, gdy Niemiec otworzył ogień, wellington nagle podniósł się i strumień nieprzyjacielskich pocisków poleciał prosto do morza.

Teraz nadszedł moment, na który niecierpliwie czekał środkowy strzelec. Meserszmit był za nimi tylko jakieś sto pięćdziesiąt jardów i leciał nie więcej niż sto mil na godzinę. Nacisnął spust, wrzeszcząc z całych sił: \* A masz, ty frycu!

Meserszmit zachwiał się, jakby uderzył w jakąś niewidzialną ścianę. Kabina pilota pokryła się nagle lśniąca siecią pajęczą stłuczonego szkła. W mgnieniu oka wstęga gęstego, białego dymu zaczęła wydobywać się z trafionego silnika myśliwca. Nagle jego pomalowany dziób przechylił się w dół. Przez krótki moment strzelcowi mignęła jeszcze przerażona twarz niemieckiego pilota z krwią ciekącą spod skórzanego hełmu, zanim samolot runął prosto do morza.

\* Mamy drania! \*krzyknął pilot podniecony.

\* Aleś go stuknął... prosto w dół!

Profesor Challenger ścisnął Lisę za rękę i uśmiechnął się niepewnie. \* A nie mówiłem? Żaden szkop nie waży się tknąć starego...

Słowa znów zamarty mu na ustach, kiedy gwałtowny wybuch szarpnął prawym skrzydłem wellingtona. Z przedziurawionego zbiornika zaczęło wyciekać paliwo. Samolot przechylił się niebezpiecznie na bok. Pilot szaleńczo szarpał za stery, przeklinając i usiłując opanować maszynę. Ale wiedział już, że to na nic. Samolot był poza kontrolą i za pół minuty benzyna wyciekająca z prawego silnika zapali się. Szybko podjął decyzję. Byli za nisko, żeby skakać. Poza tym, zanim VIP\*y założą swoje spadochrony, samolot zacznie spadać. \*Wodujemy! \*krzyknął przez mikrofon. \* Jazda na drinka... Chalky uważaj na VIP\*ów...

Kolejny wściekły wybuch szarpnął uszkodzonym wellingtonem. Maszyna zatrzęsała się gwałtownie. Lisa Stein krzyknęła. Challenger podniósł się, jego głowa niemal dotykała sklepienia. Spojrzał przez okienko z prawej strony. Gęsty dym wydobywał się z prawego boku samolotu. Już małe takome płomyki błękitnego ognia zmierzały do otworu, z którego wyciekało paliwo. \* Spokojnie \* rozkazał. \* Schodzimy w dół. Trzymaj się blisko mnie, Lisa. Nic ci nie będzie.

Meserszmit podchodził do ostatecznego natarcia. Challenger widział całkiem wyraźnie, jak mknął w ich stronę, plując ogniem spod skrzydła. Pociski trysnęły na nich jak strumień płonących piłek do golfa.

Środkowy strzelec, który obrócił już lufę karabinu, żeby móc wskoczyć do kabiny i pomóc cywilom, nagle przeraźliwie ryknął i upadł na podłogę. Lisa krzyknęła. Strzępy twarzy opadły mu na poszarpaną kulami pierś jak kawałki jasnoczerwonego wosku. Challenger pochylił się nad nim, choć wiedział już, że strzelec jest martwy. Histeryczny szloch Lisy spowodował, że momentalnie odwrócił głowę i spojrzał na nią z wściekłością tym samym wzrokiem, który tak przerażał studentów nie umiejących dostatecznie szybko odpowiedzieć na pytanie w czasie ustnego egzaminu. \* Przestań... przestań natychmiast!

Ale młoda kobieta nie przestawała. Jej ramionami wstrząsały gwałtowne szlochy, jak płacz zrozpaczonego dziecka.

Challenger nie wahał się. Uderzył ją w twarz \* mocno.

Wydała stłumiony okrzyk. \* Co...

\* Cicho! \*przerwał jej brutalnie. \*Zaraz wodujemy. Słuchaj, co masz robić. Pochyl głowę, ręce na twarzy, kolana uniesione. Teraz szybko \*już!

Policzek odniósł szybki efekt. Pochyliła głowę i zasłoniła twarz rękami. Przez moment mignęły mu jej białe nogi, ale zaraz przywołał się do porządku. Nie było czasu na żadne fanaberie. Walczyli o życie. Rzucił się na podłogę koło niej w tej samej pozycji, otaczając ją silnym ramieniem.

W samą porę. Strzaskany samolot z hukiem i potężnym pluskiem uderzył w wodę. Ogromna siła szarpnęła pilota do tyłu. W tej samej chwili wydał straszliwy krzyk bólu. Koło sterownicze złamało się i

zaostrzony kawał przebił mu pierś jak włócznia. Po chwili już nie żył, przygwożdżony mocno do własnego fotela.

Nagle zapanowała cisza. Gdzieś daleko ocalały meserszmit zatoczył triumfalny krąg nad Tobrukiem, a potem skierował się do bazy w Ben\*ghazi. W roztrzaskanym brytyjskim wellingtonie wszystko jakby zamarło. Bez najmniejszego dźwięku unosił się na falach Morza Śródziemnego.

Ciszę przerwało głębokie westchnienie ulgi. Challenger delikatnie uwolnił Lisę z żelaznego uścisku i zwrócił się do niej cicho (jak na niego): \* Chodźmy, młoda panno. Lepiej wydostać się z tego grata, zanim zaczniesz tonąć. Wyciągnął z kieszeni mały geologiczny młoteczek, który zawsze przy sobie nosił (przed wojną studenci żartowali sobie z niego, mówiąc, że stary Challenger zabiera go z sobą nawet do łóżka) i jednym silnym uderzeniem zrobił wyrwę w sklepieniu samolotu. Następnym potężnym ciosem połamał co najmniej sześć drewnianych rozpór wellingtona i dziura była już na tyle duża, że mógł się w niej zmieścić człowiek.

\* No to, wychodzimy \* i podniósł Lisę, jakby była lalką. Pomógł jej się wydostać przez otwór na zewnątrz, mimowolnie zerkając na wspaniałe, mocne uda dziewczyny. \* Leż tam i nie ruszaj się. Jeśli będziemy mieć trochę szczęścia, to może ktoś nas zobaczy i przyplynie z pomocą. Ja idę sprawdzić załogę.

Ale przedzierając się na tył samolotu przez szczątki potrzaskanych sprzętów i rozrzuconych łusek po nabojach, wiedział, że trzeci członek załogi też nie żyje. Gdyby było inaczej, to dałby już znak życia.

Miał rację. Trzeci żołnierz, właściwie chłopiec jeszcze, leżał twarzą na podłodze. Plecy miał głęboko rozorane odłamkami bomby, a strzaskane kości błyszczały we krwi i rozszarpanych mięśniach jak wypolerowana kość słoniowa. \*Nieszczęsny dzieciak\* mruknął Challenger ze smutkiem i zdając sobie sprawę, że ma niewiele czasu, wrócił do

otworu i bez trudu wspiął się na dach. Położył się na brzuchu i przez parę chwil mrugał oczami oślepiiony ostrym światłem słońca.

W odległości około mili od nich, z morza podniósł się wodnoptak sun\*derland.

Lisa odwróciła się i spojrzała na niego pytająco.

Potrząsnął swą wielką głową, a potem spojrzał w stronę rozciągającego się przed nimi na wybrzeżu miasta. Z płonących składów paliwa unosił się dym, niemiecka artyleria ostrzeliwała nieustannie okopy i umocnienia po obu stronach portu, a w samym porcie z wody sterczały maszty zatopionych statków.

\* Tobruk \* powiedział cicho i zauważył na wodzie białą wstęgę, którą zostawiała za sobą płynąca zygzakami motorówka. Zmierzała im na ratunek. \* Są otoczeni przez wojska Rommla już od paru tygodni. Zastanawiam się, kiedy... \* urwał, uświadamiając sobie po raz pierwszy, w jakich tarapatach się znaleźli. Dwójka znakomitych naukowców, on i ona \* niemiecka Żydówka, mający dostęp do największej tajemnicy drugiej wojny światowej i skazani na uwięzienie w tej przeklętej pułapce. \* Chryste Panie \* mruknął pod nosem. Przyszły mu do głowy słowa, które często słyszał jako siedemnastoletni żołnierz piechoty w okopach pierwszej wojny: „teraz to dopiero jest prawdziwy szajs!”

## Rozdział drugi

Churchill skończył się pławić w ciepłej kąpieli i usiadł prosto w swojej wannie. Wyglądał teraz jak różowy, bezzębny Budda, po jego nagiej, jasnej piersi spływała woda z pianą. W szklance obok wanny leżała sztuczna szczeka, w drugiej, stojącej obok niego, czekała spora porcja brandy z wodą. Choć po różowej twarzy ściekała mu woda, palił wielkie cygaro \* double Corona.

\* Feldmarszałek sir Alan Brooke, sir \* zameldował służący, starając się nie patrzeć na nagie ciało sławnego człowieka.

Churchill posłał mu bezzębny uśmiech. Klasa pracująca! pomyślał, oni zawsze byli zahamowani, jeśli chodzi o nagość. \* Poproś go tu, Graves \* powiedział sepleniąc i kiwnął swym wielkim cygarem jak batutą.

\* Czy mam przynieść ręcznik, sir? \* zapytał niepewnie chłopak.

\* Ależ skąd! \* prychnął Churchill. \* Myślisz, że marszałek polowy armii królewskiej nie widział w życiu nagiego mężczyzny? Proś go. Nie będę marnował tej cennej, gorącej wody. \* Zaśmiał się cicho do siebie i chlapnął wodą na opasy brzuch.

Wszedł Brooke, jak zawsze z surowym i pełnym dezaprobaty wyrazem twarzy. Churchill spojrzał na tego Ulsterczyka, dowódcę sztabu generalnego, który w wolnym czasie z zapalem oddawał się obserwacji ptaków. \* A więc, Brookie \* zaczął kąśliwie, wiedząc, że to przezwisko zawsze irytowało marszałka \* cóż cię sprowadza o tak wczesnej porze? Twoi żołnierze chyba nie zaczęli walczyć, co? \* to była zamierzona złośliwość. Churchill był zdania, że brytyjska armia nie walczy tak dzielnie i odważnie, jak powinna. Od wybuchu wojny w 1939 roku poniosła już zbyt wiele porażek i klęsk.

Smagła twarz Brooke'a oblała się lekkim rumieńcem. Odebrał tę uwagę osobiście. Teraz spojrzał z niesmakiem na nagiego Churchilla z jego szklanką brandy i cygarem, choć była dopiero dziewiąta trzydzieści rano. \* Niepomyślne wieści, sir. Z Tobruku.

Churchill natychmiast wyjął cygaro ze swych bezzębnych ust. \* Co z Tobrukiem? \* zapytał szorstko. \* Chyba się jeszcze nie poddali, co?

\* Nie, sir. Jeszcze nie.

Churchill odetchnął z ulgą. \* Dzięki Bogu. Moje biedne stare ciało nie zniesie już więcej takich wstrząsów! Kreta, Hongkong, Singapur... wszystko wpada w ręce wroga, po kolei jak kostki domino.

Brook w milczeniu skinął głową. Rok temu Australijczycy utrzymywali oblężony Tobruk przez wiele miesięcy. I w końcu pokonali Rommla, „Lisa pustyni” \* tak go nazywała ta piekielna prasa, jakby był co najmniej jakąś gwiazdą filmową. Teraz libijskiego portu broniło wojsko południowoafrykańskie, a oni, jak

sądził, nie mieli tej siły, co Australijczycy.

\* A więc \* zagadnął Churchill, zaciągając się swym drogim cygarem \* proszę mnie oświecić.

Brook, zwykle niewzruszony i srogi, zmieszał się i wyglądało na to, że bał się odezwać. Rozejrzał się po pokoju, jakby obawiał się podsłuchu. \* Chodzi o tube alloys, sir\* powiedział niemal szeptem.

\* Tube alloys \* parsknął Churchill zdziwiony. I po chwili dotarło do niego: \* O Boże, ktoś sygnął?

\* Nie, panie premierze \* odparł szybko Brook. \* A przynajmniej, jeszcze nie.

\* Ale co ma wspólnego Tobruk z tube alloys!

\* Właściwie nic, sir, z wyjątkiem jednego. Profesor Challenger i doktor Stein byli zmuszeni tam lądować i są teraz uwięzieni w porcie. Jeśli Niemcy zaatakują i zdobędą Tobruk, to oboje dostaną się do niewoli, a wtedy... \* Brook wzruszył ramionami i nie musiał kończyć zdania. Churchill zrozumiał.

Niespiesznie wyjął z ust cygaro. Powoli docierały do niego wszystkie możliwe skutki tego, o czym mówił Brooke. \* Ci dwaj cywile wylecieli do belgijskiego Kongo, żeby sprawdzić tamtejsze złoża uranu, tak? Informowano nas, że są to najlepsi geolodzy w kraju.

\* Tak jest, sir. Mieli wracać etapami. Zatankowali paliwo w Kairze i mieli lecieć dalej do Gibraltaru, a potem do Croydon, żeby złożyć raport. Ale ich samolot został zestrzelony nad Tobrukiem.

Churchill milczał przez dłuższą chwilę. W tym czasie Brooke wyciągnął szyję i nasłuchiwał uważnie, a niepokojące myśli o Tobruku na chwilę gdzieś odpłynęły. Był pewny, że usłyszał z ogrodu śpiew pokrzewki.

\* Czy ci ludzie, Challenger i \* ee, Stein \* wiedzą co to jest tube alloys? \* \* odezwał się Churchill.

Brook przestał nasłuchiwać głosu ptaka i spojrzął na premiera:

\* Obawiam się, że tak, sir. Profesor Challenger \* wielka, włochata bestia jest, o ile pamiętam, dość bezpośredni, więc zapytał prosto z mostu, dlaczego wysyłamy ich w kosztowną i kłopotliwą podróż do belgijskiego Konga w środku wojny, żeby prowadzili tam inspekcję złóż uranu. Jednak musiał przysiąc i podpisać akt tajemnicy urzędowej. Wtedy powiedzieliśmy mu, że potrzebujemy materiału do budowy bomby i że Amerykanie nie mają wystarczających zasobów uranu.

Twarz Churchilla nie wyrażała żadnych uczuć. Powiedział: \* Proszę mi podać tamten ręcznik.

Szef sztabu generalnego wzdrygnął się nieznacznie. Traktuje mnie jakjakiegoś boya, pomyślał. Mimo to wręczył Churchillowi miękki, biały ręcznik. Premier wstał i zaczął w zamyśleniu wycierać brzuch i genitalia. Brook skrzywił się lekko na ten widok, a Churchill, mimo że zajęty myślami, zauważył to, zachichotał i odezwał się: \* Nic się nie martw, Brookie. Ten ptaszek nie będzie już latał.

Na twarzy Brooke'a pojawił się rumieniec.

Churchill spokojnie skończył wycieranie dolnej części ciała i owinął się ręcznikiem, a potem zwrócił się do niego już całkiem poważnie:

\* W takim razie musimy mieć pewność, że ta dwójka zostanie wywieziona z Tobruku jak najszybciej. Nie mogą wpaść w ręce szwabów.

Brook zasępił się. \* To będzie trudne, panie premierze, nadzwyczaj trudne \* powiedział poważnie. \* Rommel kontroluje każdy metr wokół Tobruku. Wiem, że linia graniczna jest tam długa, ale wszędzie ma patrole z wozami pancernymi. Arabom też nie można ufać. Niemcy płacą im za każdego naszego, którego im wydadzą.

\* Drogą powietrzną?

Brook potrząsnął głową. \* Całkiem niemożliwe. Jedyne pas powietrzny jest cały czas pod ostrzałem. Już od dwóch tygodni nie możemy wydostać z Tobruku ani wysłać tam żadnego samolotu.

\* A morzem? \* nie poddawał się Churchill.

Brooke zawahał się przez chwilę. \* Wejście do portu jest zaminowane, a sam port leży w zasięgu niemieckiej artylerii. Ich osiemdziesiątki ósemki zdmuchują z powierzchni wody wszystko, co tam podpłyne. Jest jednak mała zatoka, naturalny port dwadzieścia mil na zachód. Jakiś niewielki statek mógłby tam przybić i zabrać tych dwoje. Kłopot w tym, że musieliby wydostać się najpierw z Tobruku \* pokręcił głową w zamyśleniu.

\* Rozumiem, że nie ufa pan wojsku Afryki Południowej i nie powierzyłby im pan tego zadania? \* badał Churchill.

\* Nie, szczerze mówiąc, panie premierze \* nie. Wydaje mi się, że stracili ducha walki. A poza tym nasz wywiad donosi, że są w ich szeregach szpiegzy. Jednym słowem, powierzanie im takiej misji byłoby zbyt ryzykowne.

\* W takim razie, jak jest pana propozycja? \* zapytał Churchill i pociągnął łyk brandy.

Brooke skrzywił się na ten widok. Sączenie drinka o tej porze przez dowódcę Imperium Brytyjskiego wydało mu się czymś zgoła nieodpowiednim. Ale zaraz pomyślał, jak zwykle w takich chwilach, że Winston Spencer Churchill stanowił prawa sam dla siebie. \* Wyślemy tam specjalny oddział pustynny: Long Range Desert Group. Słyszał pan o nich, sir?

\* Tak, przeprowadzają rajdy na szwabskie obozy na pustyni. Uderzają i uciekają.

\* Tak właśnie. Więc, panie premierze, rozkażę jednemu z patroli LRDG, żeby prześlizgnął się przez pozycje Rommla do Tobruku. Jeśli im szczęście dopisze, to wydobędą stamtąd profesora Challengeera i tą kobietę. Ale nie możemy się spodziewać, że cywile będą w stanie przebyć setki mil w czerwcowym upale przez pustynię aż do naszych linii w Egipcie. Proponuję więc, żeby dotarli do tego małego naturalnego portu, o którym wspominałem, a stamtąd jedna z naszych łodzi zabierze ich na Maltę.



\* Łódź podwodna?

\* Nie, sir. Wody przybrzeżne są za płytkie. Niemieckie samoloty od razu by ją wyśledziły, nawet pod wodą.

\* Rozumiem \* odpowiedział Churchill po chwili. \* W takim razie to musi być statek powierzchniowy.

\* Tak. Coś niepozornego, co nie przyciągnęłoby ich uwagi. Mamy taki stary holownik na Malcie, zresztą niemiecki, więc z łatwością będzie udawał niemiecką jednostkę. Nazywa się BlackSwan. Powinien być odpowiedni.

Churchill zaśmiał się, odślaniając bezzębne dziąsła. \*Wiesz, Brookie, jak nazywają w marynarce te Black Swany?

\* Nie, panie premierze.

\* Powiem ci. Jest taki zwyczaj, że mówi się o nich Mucky Duck. Feldmarszałek sir Alan Brooke nie był tym szczególnie rozbawiony.

Niecierpliwie czekał na decyzję Churchilla. Na Środkowym Wschodzie znowu coś się działo. Chciał już wrócić do swego biura i przeczytać najnowsze wieści z Kairu.

Churchill wreszcie odpowiedział. \* Dobrze. W takim razie natychmiast wprowadź ten plan w akcję. Mam tylko jedną małą uwagę, Brookie.

\* Co takiego, sir?

Nagle cherubinkowata twarz Churchilla zmieniła wyraz. Chociaż owinięty w ręcznik i bosy, to nieoczekiwanie wydał się groźny i przerażający. \* Jeśli będzie choćby najmniejsze ryzyko, że ten Challenger i ta Stein dostaną się w szwabskie ręce, oficer dowodzący musi natychmiast ich zgładzić. Nie możemy ryzykować zdradzenia tak ważnej tajemnicy.

Brooke spojrział na premiera z niepokojem. \* Zabić, z zimną krwią zabić? i kobietę też? Ale sir... \*wyjąkał.

Churchill ręką nakazał mu ciszę. \* Nie ma żadnego „ale”, panie marszałku. Podjąłem decyzję. Mają zostać zastrzeleni. A teraz, o ile nie da się pan namówić na drinka, a wiem, że nie, to mówię panu: do widzenia.

\* Churchill odwrócił się i poszedł do sypialni, pozostawiając za sobą na podłodze mokre ślady. Marszałek polowy sir Alan Brooke patrzył za nim z kompletnym niedowierzaniem.

Za oknem pokrzewkaprzestała śpiewać.

Rozdział trzeci

W Kairze panował nastrój paniki. Kiedy gharri wyjeżdżało ze stacji Hard, zobaczył grupę zalęknionych

Europejczyków tłoczących się na peronie, z którego miał odjechać pociąg do Palestyny. Widział też setki brytyjskich żołnierzy z karabinami zarzuconymi na ramię, o włosach jasnych od afrykańskiego słońca, znużonych upałem, wojną i gippos, jak określano miejscową ludność. Każdy ich gest wyrażał niezadowolenie i lęk, bo wiedzieli, że wkrótce pójdą znowu „w siną dal”, jak mówili o pustyni, na spotkanie Rommla i jego straszliwych dywizji pancernych.

W pewnej chwili egipski policjant w fezie zatrzymał ich gharri, żebyprze\*puścić jakiegoś generała w służbowym samochodzie. W tym czasie Hard zobaczył, jak egipski handlarz podchodzi do brytyjskiego żołnierza, chcąc mu widocznie sprzedać owoce, które miał w koszu. Żołnierz wytrącił mu kosz z rąk krzyżąc: \* Wynocha, brudny egipski gnojku! \* Egipcjanin bliski płaczu schylił się, żeby pozbierać swój cenny towar, ale żołnierz zaczął z wściekłością rozdeptywać toczące się owoce. Potem odwrócił się i odszedł z rękami w kieszeniach szortów. Handlarz wstał, splunął w biały piasek i z jego ust potoczył się strumień gardłowego arabskiego.

Hard uśmiechnął się, gdy w trakcie tej przemowy handlarz podniósł nagłe swoją brudną szatę, pokazując nagi członek i zawołał: \*Niedługo będziesz uciekać za Nil, ty angielski psie. A wtedy ja tu zostanę i będę pieprzyć twoje kobiety!

Zaniepokojony woźnica gharri odwrócił się i spojrzał na szczupłą, opaloną twarz angielskiego majora. \* Czy pan rozumie, Effendi! \* zapytał po arabsku.

Hard przytaknął. \* Tak, całkiem dobrze. Choć myślę, że jeśli byłby rozsądny, to nie chciałby tego robić z angielskimi kobietami. Aprzynaj\*mniej nie z tymi, które są w Kairze.

Woźnica świsnął batem i stara, chuda jak szkielet szkapą ciągnąca wózek ruszyła przed siebie. Małe dzwoneczki na uprzęży zadźwięczały słabo, jakby im też brakowało sił.

Hard postanowił wstąpić najpierw do kantyny na drinka. Tęsknił za lodowatym Rheingoldem już od sześciu tygodni, czyli od czasu, gdy wyruszyli na kolejny pustynny rajd, którego celem były pozycje Romm\*la. Wiedział, że powinien natychmiast złożyć raport, ale Hard nie był człowiekiem, który traktuje rozkazy zbyt dosłownie. Dlatego właśnie w 1941 roku zgłosił się na ochotnika do oddziału pustynnych komandosów \* Long Range Desert Group.

Bar pełen był oficerów w eleganckich, gabardynowych mundurach, popijających dżin z tonikiem i machinalnie wachlujących się specjalnymi różeczkami, choć w pomieszczeniu nie widać było ani jednej muchy. Zamówił piwo u barmana w wykrochmalonym białym uniformie i przysłuchiwał się plotkom i rozmowom wokół siebie. Oficerowie sztabowi byli najwidoczniej równie spanikowani jak reszta zagranicznej ludności w Kairze. W rozmowach przewijały się tematy palenia dokumentów, wysyłania „swojej małej” następnym pociągiem do Palestyny, generałów, którzy siedzieli już na spakowanych kufrach i „tych bezczelnych gippos”, którzy pokazywali na brązowe drapieżne ptaki \* kairskich padlinożerców \* i szydzieli: \* Czekają na was, Effendi, jak tylko zaczną się naloty.

Hard z odrazą patrzył na odbijające się w wielkim lustrze za barem wypielegnowane, miękkie twarze. Defetyzm wisiał tu w powietrzu. Jak można wymagać, żeby żołnierze ósmej armii, którzy poszli już „w

siną dal", walczyli z oddaniem, podczas gdy oni, sztab, już myśleli o tym, kiedy zdezerterować? Przez chwilę miał przemożną ochotę zamówić sobie następnego Rheingolda, ale potem się rozmyślił. Nie chciał składać raportu, zalatując piwem. Uśmiechnął się nieznacznie na widok swojej wychudzonej twarzy w lustrze, podpisał rachunek i wyszedł.

Czekał dosyć długo w przestronnym holu wejściowym siedziby dowództwa. Ale był do tego przyzwyczajony. Sztab zawsze trzymał oficerów liniowych w poczekalni, bez względu na to jak pilną sprawę mieli do załatwienia. Być może to polityka, pomyślał Hard, sposób na utrzymanie oficerów frontowych na należnym im miejscu.

I tu również zauważył oznaki niepokoju. Motocykliści z meldunkami i depezbami, cali w kurzu wchodzili i wychodzili pośpiesznie, niosąc swoje skórzane torby. Młodzi oficerowie sztabowi przechodzili tamtędy, rozmawiając przyciszonymi głosami. Zza uchylonych drzwi, na których widniał stary plakat ostrzegający „zachowaj tajemnicę”, dobiegał podniesiony, niemal histeryczny głos: \* Ale mówiłem już, sir. Jeden z naszych patroli doniósł, że widzieli Niemców dżgających szpikulcami piasek na Wielkiej Depresji. Oczywiście, sir, sprawdzali, czy ich czołgi będą mogły tamtędy przejechać. A jeśli już przejdą Wielką Depresję, wtedy dostaniemy za swoje!

Hard z odrazą pokręcił głową. W tej samej chwili podszedł do niego nieskazitelnie ubrany kapitan sztabu w wykrochmalonej koszuli khaki i z lśniącem pasem oficerskim z szelką naramienną. \* Major Hard? \*zapytał.

Hard wstał. \* Tak, kapitanie, jestem Hard.

Młody oficer spojrzał na jego znoszony mundur, szczupłą twarz z orlim nosem i bezwzględny wyrazem błękitnych oczu i pomyślał: „Nomen omen. Ten wygląda jak prawdziwy hard”. (hard (ang.) \* twardy, surowy \*przyp. tłum.)

\* Generał chce się z panem widzieć, sir\*powiedział.

Generał nie przypominał Hardowi ludzi, których spotkał dotychczas w Kairze. Był drobny, miał ostry głos i pasującą do niego nieustępliwość wymalowaną na twarzy. Jego pierś zdobiła spłó wiała czerwień Krzyża Wiktorii. \* Hard \* rzucił głośno bez zbędnych wstępów \*jest robota dla twoich chłopców. Ważna sprawa. Pan premier sam wydał rozkaz. \* Wyrzucał z siebie słowa krótkimi, szorstkimi szczęknięciami, jakby nie chciał wkładać zbyt dużego wysiłku w sformułowanie dłuższego zdania.

\* Tak jest, sir\* automatycznie odpowiedział Hard, nieco oszołomiony niecierpliwym sposobem bycia małego generała.

\* Jeszcze nic nie jest \* uciął ostro generał i rzucił na stół dużą, brązową kopertę. Hard zauważył, że nie ma dwóch palców u prawej ręki. \* To są pana szczegółowe rozkazy. Ma pan je otworzyć dopiero wtedy, kiedy będziecie już bezpieczni na pustyni. W Kairze roi się od cholernych szpiegów i gippos, którzy tylko czekają, żeby te szkopy ich „wyzwolili”. Jego twarz wykrzywił grymas. \* Pół tego całego egipskiego wojska jest na ich usługach. Parę dni temu nakryliśmy szefa ich sztabu, który planował ucieczkę. Nieważne \* opanował się z wysiłkiem. \* Więc krótko: Musicie dostać się do Tobruku. Jacyś dwaj głupi cywile są tam

uwięzieni. Musicie ich wydostać.

\* Możemy ich wydostać, sir, z tym nie ma problemu. Ale nie będziemy mogli ich odstawić z powrotem. Tacy cywile nie zniosą kilkuset mil przez pustynię z małą ilością wody i w upale...

Generał podniósł rękę bez dwóch palców na znak ciszy. Uśmiechnął się, a Hardowi wydawało się, jakby jego szczęki poruszały się na mocno napiętych sprężynach. Pomyślał, że nie chciałby pracować na stałe dla tego małego generała. \* Kto mówi o zabraniu ich w drogę powrotną przez pustynię, co? \* Pan! \* generał przerwał i zmarszczył brwi, słuchając głosów zza drzwi.

\* Nie może pan tak po prostu wejść. Chwileczkę... \* słychać było protesty owego nieskazitelnego młodego kapitana, który przyprowadził tu Harda.

\* Zamknij gębę \* przerwał mu bezceremonialnie chrapliwy głos z surowym akcentem z Yorkshire. \* Tu mi kazali przyjść. No to idę się spotkać z tym całym generałem. \* W chwilę potem drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich przysadzisty mężczyzna w podniszczonym marynarskim mundurze. Zachwiał się lekko i Hard pomyślał, że zaraz zwali się jak bela do środka. Nawet na odległość czuć było od niego silny zapach whisky.

Spojrzał na starszego kapitana marynarki, z twarzą jakby wyciosaną z kamienia, a potem na małego generała. Czekał na niechybnie nadciągającą burzę. Ale nic się nie stało. Zamiast tego generał odezwał się dość przyjaźnie \*jak na niego: \* Pan jest pewnie Christian z Black Swana.

\* Aj \* burknął przybysz i spojrzał podejrzliwie na generała, zastanawiając się, dlaczego nie wyrzucono go jeszcze na zbity pysk za niepoprawne zachowanie.

Generał krótko przedstawił ich sobie. Hard owiany chmurą wyziewów whisky przybladł nieco, gdy Christian ścisnął mu rękę swoją twardą łapą. Spotykał już w życiu twardych facetów i wiedział, że ma teraz przed sobą jednego z nich. Zauważył też, że marynarz nosi na piersi wygniecionego i brudnego munduru wstążeczki odznak DSO i DSC, a obok odznaczenia z pierwszej wojny światowej.

\* Panowie, nie będę zajmował wam więcej cennego czasu. Będziecie razem stacjonować w małej kwaterze, w naszym obozie. Tam będzie cicho i spokojnie i nikt wam nie przeszkodzi w omawianiu planów. Macie na to dwadzieścia cztery godziny. Chcę mieć krótki zarys waszego planu na kartce, którą prześlę do Departamentu Wojny. Pamiętajcie, panowie, że to ma być naprawdę cichutka sprawa. \* Potem mały generał spojrzał na Harda i dodał: \* Aha, tak przy okazji, Hard, to właśnie jest pana transport powrotny \* i mrugnął porozumiewawczo...

\* Jesteśmy na miej scu \* oznajmił elegancki kapitan. Wskoczył z jeepa, starając się unikać bliskiego kontaktu z oficerem marynarki, który przez całą drogę do obozu pociągał whisky prosto ze swej piersiówki. \* To jest wasza kwatera. Jak widzicie, dobrze strzeżona, według rozkazu pana generała.

Hard był pod wrażeniem. W przeciwieństwie do rozleniwienia w siedzibie dowództwa generalnego, tu królowały porządek, dyscyplina i celowość. Na płaskim dachu pomalowanego na biało piętrowego budynku stał otoczony workami z piaskiem strażnik uzbrojony w bren. Dwaj inni, również za piaskową

ochroną, trzymali straż po obu stronach wejścia, a w drzwiach budynku czekał na nich żołnierz żandarmerii wojskowej o kamiennej twarzy, z thompsonem pod prawym ramieniem.

\* A to co znowu? \* warknął Christian, kiedy żołnierz głośno szurnął butami i zsalutował \*jakiś sakramencki pałac czy co?

\* Nie, sir\* odparł żołnierz rzeczowo \* to tylko specjalnie zabezpieczony teren wojskowy. Generał rozkazał dać stałą ochronę, dwadzieścia cztery godziny na dobę tak długo, jak będziecie w Kairze. W tym mieście nie jest bezpiecznie, sir\*ponownie szurnął butami i jego surowa twarz rozpuściła się w uśmiechu.

Christian wciągnął powietrze nosem. „Chyba muszę się napić”. Wyjął swoją piersiówkę, potrząsnął nią i na jego twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia. Była pusta.

\* Butelka miejscowej whisky Victory Scotch stoi na bocznym stoliku w pokoju\*żandarm pośpieszył ochoczo z wyjaśnieniem. \*Nie najlepsza, niestety.

\* Whisky to whisky\*mruknął Christian i bezpardonowo odpychając łokciem oficera ruszył do środka, jakby spieszył się do swojej butelki.

Oficer bezradnie wzruszył ramionami, a Hard się uśmiechnął. Wiedział, że będzie miał z kapitanem Christianem pełne ręce roboty. Oficer ulotnił się.

\* Jeśli mamy pracować razem, postawmy sprawę jasno \* mówił Christian pięć minut później. \*Nie jestem łatwym facetem, i zawsze taki byłem. Pewnie dlatego po trzech latach wojny ciągle jestem pierwszym kapitanem starego holownika \* Mucky Duck\* dla ciebie Black Swan. Ale powiem ci coś. \* Wycelował palec wskazujący, podobny do włochatej parówki, w pierś Harda. \* Znam się na tej robocie. Jestem na morzu, od kiedy skończyłem szesnaście lat. Trzydzieści lat wszystkiego, w marynarce wojennej i handlowej. Aha, no i lubię wypić. \*Łyknął pół szklanki miejscowej wody ognistej, jakby pił sok pomarańczowy.

\* A teraz powiedz mi coś o sobie\*napełnił pustą szklankę.

\* Żołnierz zawodowy \*powiedział Hard, czując, że polubi Christiana mimo jego licznych przywar. Mówił prosto i do rzeczy, a on lubił bezpośrednich ludzi. Nauczył się, że w czasie wojny nie ma czasu na ceregiele. W ten sposób przegrywa się bitwy. Mówił dalej:

\* Prosto z Sandhust do gwardii w 1939. We Francji, w czterdziestym byłem ranny, potem w niewoli, w Grecji. Uciekłem stamtąd i wzięli mnie na Pustynię Zachodnią. Zgłosiłem się na ochotnika do Long Range Desert Groups w czterdziestym pierwszym. I jestem z nimi od tamtej pory.

\* Z tego wynika, że masz jakieś dwadzieścia pięć lat.

Hard skinął głową.

\* Wyglądasz na starszego \* mruknął Christian i wziął kolejny potężny łyk whisky. \*No dobrze. Myślę,

żejakoś się dogadamy. Tylko żadnych wojskowych spekulacji. Nie zniosę tego.

\* Nie będziesz musiał \* zgodził się Hard, a potem pośpiesznie powiedział: \* W porządku, Christian, zaczynamy. Mamy robotę.

\* Już się zamieniam w słuch \* odparł Christian i położył rękę na szklance, ale tym razem nie wypił...

#### Rozdział czwarty

\* Powinienem, jasny szlag, wiedzieć \* jęczał kapitan żandarmów wojskowych, przytrzymując już czerwony od krwi opatrunek na głowie. \* Myślałem, że znam wszystkie sztuczki tych cholernych gippo, ale teraz złapali mnie naprawdę znieca.

Był wieczór. Hard i Christian wrócili właśnie z kantyny, gdzie zjedli (w przypadku Christiana głównie wypili) kolację.

Teraz obydwaj rozglądali się skonsternowani po „specjalnie zabezpieczonym terenie wojskowym”. Okna budynku były powybijane. Ściany podziurawione pociskami, a na gruzach leżał martwy strażnik. Słysząc już było zbliżający się alarm ambulansu.

\* Co się stało? \* zapytał Hard, instynktownie sprawdzając, czy w kieszeni na piersi są papiery z tajnymi rozkazami od małego generała. Są, dzięki Bogu.

\* To było o zachodzie słońca. Wie pan, jak tu jest. W jednej chwili jeszcze jasno, a za moment zapadają egipskie ciemności. Przechodziła wtedy grupa Egipcjan z osłami załadowanymi perskimi dywanami. Tymi, wie pan, oryginalnymi perskimi, robionymi pokątnie gdzieś w zakamarkach Kairu. Spojrzałem na nich i pomyślałem, że znam takich handlarzy. Niby dywany, a potem świńskie obrazki, a jeśli chcesz, to w każdej chwili załatwią ci kobietę \* wykrzywił twarz, naśladując szyderczo śpiewny egipski akcent: \* różowe ciało, jak angielska panienka.

Christian wyciągnął swoją piersiówkę. Potrząsnął nią, upewniając się, że wystarczy jeszcze na jednego głębszego do poduszki, a potem podał butelkę strażnikowi. \* Przełucz pan sobie gardło \* mruknął.

Hard czekał niecierpliwie, aż wdzięczny strażnik pociągnął łyka i mówił dalej:

\* Jeden z nich podszedł tu z dywanem na ramieniu. Żołnierz przy wejściu powiedział mu, żeby się wynosił, i w tej samej chwili jakby wybuchło piekło. Ten gippo z dywanem zaczął walić z thompsona. Jeden z tych, którzy zostali przy osłach, rzucił granat prosto w brena biednego kaprała Jamesa. No i zaczęło się. Dołożyliśmy im. \* Wskazał na leżące we krwi martwe osły. \* Ale jak na gippo byli wyjątkowo zacięci. Wiecie jacy oni są, wystarczy na nich spojrzeć, a już zwiewają. A ci nie. \* strażnik przetarł ostrożnie krwawiące czoło. \* Chyba wystrzelaliby nas wszystkich, gdyby nie włączyły się syreny. Wtedy szybko się zwinęli, z wyjątkiem tych dwóch \* wskazał ręką ciało Egipcjanina rozciągnięte na

podziurawionych workach piasku obok strażnika i jego roztrzaskanego karabinu. Drugi gippo leżał zwinięty w drzwiach budynku. \* Mamy tych dwóch sukinsynów...

Hard skinął głową, dając do zrozumienia, że usłyszał już wystarczająco dużo. W tej samej chwili podjechał wojskowy ambulans podobny do pudełka na kołach. \* Niech pan jedzie i opatryj dobrze to czoło. Rana wygląda nieciekawie. Będziemy na siebie uważać przez resztę nocy. Dziękuję.

Strażnik z trudem pokuśtykał do czekających przy noszach sanitariuszy, a Hard odwrócił się i podszedł do leżącego w przejściu ciała. Widział je dobrze w żółtym świetle padającym z wewnątrz zdezelowanego budynku. Jak na Egipcjanina był to wyjątkowo wysoki i muskularny mężczyzna. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl i podciągnął jego lewy rękaw. Christian stał za nim i przyglądał się ciekawie.

Hard pokiwał głową. To potwierdziło tok jego myśli.

\* No i? \* niecierpliwił się Christian.

\* Nie widzisz? \* wskazał ślady po szczepieniu na umięśnionym ramieniu nieboszczyka.

\* Nie.

\* Ślady po zastrzykach \* i spójrz tam \* pokazał zakurzone stopy Egipcjanina.

Christian w zdumieniu potrząsnął głową.

\* No, są bose, jak u każdego egipskiego wieśniaka \* uniósł lewą stopę nieboszczyka. \* Zobacz, są miękkie od spodu, a na palcach mają odciski.

\* Dobra, Hard. Nie jestem Sherlockiem Holmesem, do cholery. O co tu chodzi?

Hard uśmiechnął się pomimo napięcia. \* No dobrze, zaraz cię wtajemniczę. Ten gippo nie był żadnym handlarzem. Po pierwsze ma ślady po szczepieniach, a większość wieśniaków nie widziała lekarstwa na oczy. Musiał się dobrze odżywiać i regularnie ćwiczyć. Zobacz, jakie ma mięśnie. A poza tym najwyraźniej był przyzwyczajony do noszenia butów.

Christian podrapał siwą głowę zadziwiony i mruknął z pretensją:

\* Do diabła, ciągle nie wiem wiele więcej niż na początku.

\* Ten człowiek był w armii\* w wojsku egipskim. Kto w Egipcie umie strzelać z thompsona? No i jak słyszałeś od strażnika, przeciętny gippo nie jest raczej agresywnym stworzeniem.

\* No dobrze, Hard, teraz chyba rozumiem. Ale co z tego wszystkiego wynika?

\* No cóż, oczywiście nie chodziło im o strażników. Co by w ten sposób zyskali?

Christian gwizdnął cicho. \* Myślisz, że chodziło im o nas? \* Najwidoczniej.

\* Ale dlaczego?

Hard zmarszczył brwi, a na jego twarzy pojawił się wyraz poirytowania. \* Sam chciałbym to wiedzieć \* odparł po chwili. \* Muszą już wiedzieć, że coś przygotowujemy.

\* Oni muszą? Jacy oni? \* przerwał mu Christian. \* No wykrztuszę wreszcie.

\* Ci zdrajcy w armii egipskiej, którzy... \* zawahał się przez chwilę ważąc słowa, a potem zakończył: \*którzy mają konszachty ze szkopami.

\* To znaczy, że fryce mają nas na oku, jeszcze zanim cokolwiek zaczęliśmy.

\* Obawiam się, że tak. \* Przygryzł wargi w zamyśleniu, a potem dodał: \* Znasz teraz plan, Christian. Myślę, że naj lepiej będzie wrócić do dowódz\*twai spędzić w ich siedzibie resztę nocy. Będziemy tam bezpieczniejsi.

\* Tak.

\* A jutro rano wyruszysz na Maltę i postawisz w stan gotowości swój \*jak go nazywacie? \* uśmiechnął się nagle.

\* Mucky Duck\* Christian chrząknął i po raz pierwszy, od kiedy się poznali, Hard zobaczył na jego twarzy szeroki uśmiech, odsłaniający rząd pożółkłych zębów.

\* Właśnie, Mucky Duck. I będziecie czekać na nasz sygnał. Christian skinął głową i zapytał: \* Ile czasu wam to zajmie... mam na

myśli dostanie się i wydostanie z Tobruku.

\* Chodźmy, pokażę ci \* odparł Hard. Weszli do zrujnowanego domu i zbliżyli się do ściany z dużą mapą Pustyni Zachodniej, przez którą przebiegał rząd dziur po kulach thompsona.

\* Tutaj jest droga do Libii przez kuchenne drzwi. Właściwie są dwie drogi. Można jechać na południowy zachód, mijając piramidy w Gizie i za dwa dni jest się w Ain Dulla. To mała oaza na wschodnim krańcu czegoś, co nazywa się Great SandSea\*. (\* Great Sand Sea \* Wielkie Morze Piaskowe \*przyp. tłum. )

Potem skręcasz na zachód i dojeżdżasz do tego, co pierwsi badacze pustyni nazwali EasyAscent (Easy Ascent \* Łatwe Podejście \*przyp. tłum.)

\* wskazał na mapę w miejscu, które było niemal całkowicie puste, zapewne jeszcze niezbadane.

Christian skinął głową ze zrozumieniem i czekał aż Hard będzie mówił dalej. Pomyślał sobie, że twardy z niego chłopak, jeśli zamierza przeprowadzić patrol tą drogą.

\* Easy Ascent to wielki zaokrąglony piaskowy próg biegnący na szczyt skalnej ściany. Ostatnio jest tam trochę bałaganu, bo co trzy tygodnie przejeżdża tamtędy jeden z naszych patroli Long Rangę Desert, więc wbrew swojej nazwie nie jest wcale łatwy do pokonania. Ale, naturalnie, można to zrobić.

Christian chrząknął, patrząc na pustą przestrzeń poniżej EasyAscent.



\* Jak już się przedostaniesz przez ten wąski skalny grzbiet między dwoma bardzo głębokimi rowami \* o tu \* mówił dalej Hard \* to znaczy, że jesteś na terenie Great Sand Sea i drzwi do Libii stoją otworem.

\* Zamilkł, a po chwili zaczął mówić wolno, jakby ważąc w myślach

kwestię, o której mówił. \*Ale jest jeszcze inna droga\* wskazał krawędź Great Sand Sea, jakieś może sto mil dalej na południe, w głębi pustyni. \* Tutaj kończy się zbadany obszar. Wiemy jednak, że jest tam pasmo gór. Może być przejezdne, bo skały tworzą dobre podłoże dla pojazdów.

\* Ale skąd to wiadomo? \* w głosie Christiana brzmiało powątpiewanie.

\* No cóż, ja sam nigdy nie byłem aż tak daleko. \* Hard zamyślił się na chwilę. \* Ale w 1937 roku Towarzystwo Angielsko\*Egipskie wysłało ekspedycję, która miała zbadać te tereny. Była prowadzona przez trzech ludzi: Egipcjanina, oficera angielskiego i Węgry \* hrabiego von Almaszy. Ten hrabia miał bzika na punkcie odnalezienia dawnej oazy, do której w piątym wieku przed naszą erą uciekł jeden z faraonów po tym, jak postradał zmysły. Z tej wyprawy wrócił tylko hrabia. Ludziom

w Kairze powiedział, że pozostali zmarli na skutek porażenia słonecznego i z braku wody. Wkrótce potem von Almaszy wyjechał do Niemiec. \* Hard wzruszył ramionami. \* Nie wiadomo, czy udało mu się przejść. Nie wiemy też, czy zrobił jakieś mapy, bo od wybuchu wojny Niemcy oczywiście nie przesyłali nam żadnych nowych map.

\* Więc \* zaczął powoli Christian \* sądzę, że chcesz pojechać tą drogą.

\* Czytasz w moich myślach.

\* No dobrze, to kiedy chcesz, żebyśmy byli w tym małym porcie? \*Christian był zaskakująco rzeczowy jak na stan po spożyciu połowy butelki whisky w czasie obiadu.

Hard zrobił w myślach krótką kalkulację. \* Za dwa tygodnie od jutra \*oznajmił po chwili namysłu.

Christian pokiwał głową. \* Będziemy tam \* powiedział pewnie.

\* Możesz polegać na mnie i na naszym starym Mucky Ducku.

\* Wiem, że mogę \* Hard wyciągnął rękę.

Christian uścisnął ją mocno i dodał: \*No, to zasłużyliśmy sobie chyba na małego kielicha.

\* O to chodziło. Chodźmy do kwatery dowództwa i ja stawiam tego

\* hmm \* „małego kielicha”.

Przyjaźń została zawarta.

Rozdział piąty

W klubie Kit\*Kat tej nocy było pełno. Przy każdym stoliku siedzieli jacyś oficerowie i prostytutki z Aleksandrii, głównie Francuzki. Powietrze było szare od dymu i co chwila słychać było strzelające korki od szampana. Kelnerzy w czerwonych fezach i długich białych szatach uwijali się między stolikami, błyskając srebrnymi tacami. Dziewczyny sprzedające papierosy zalotnie oferowały swój towar \* a nie był to wcale wyłącznie tytoń.

Pułkownik Wharton\*Ware z generalnego dowództwa bawił się wspaniale. Wysłał swoją memsahib razem, z jej wiktoriańskimi majtkami i ciągłym łajaniem: „Archie, miałeś to już raz w tym miesiącu. Przecież nie możesz oczekiwać tego znowu” do Palestyny, jak tylko zaczęły się oznaki paniki w mieście. Teraz rozkoszował się „tym” co noc i miał zamiar to robić do chwili, kiedy, jak powiedział innemu oficerowi: „Będziemy musieli przed nimi zwiewać, gdzie pieprz rośnie, co, stary?”

Siedział wciśnięty między Yvonne i Carłą, obydwie o połowę młodsze od niego, ale nader ochocze. W oparach alkoholu śledził płynne ruchy pulchnej egipskiej tancerki, tańczącej taniec brzucha i w myślach cieszył się już na nadchodzące nocne rozkosze. Za każdym razem, kiedy tancerka wysuwała do przodu biodra, wydając ten szczególny dźwięk podobny do stęknienia, mógł sięgnąć po jedną ze swych towarzyszek. Yvonne była gotowa mu pomóc. Jej zwinne paluszki majstrowały już przy guzikach rozporka i poszukiwały tego, co lubił nazywać swoim Johnem Thomasem. (John Thomas \* (ang. sl. wulg.) \* penis \*przyp. red.)

„Sprawy mają się doprawdy doskonale”, mówił sobie w duchu.

Pięć minut później wszystko zaczęło iść nawet jeszcze wspanialej, kiedy Carla, z błyszczącymi oczami i olśniewająco białymi zębami, wkładając rękę do jego kieszeni z drugiej strony zaczęła poszukiwania tej samej rzeczy. Pułkownik Wharton\*Ware, który przed upływem nocy miał już nie żyć, zdał sobie sprawę, że dzisiejszy dzień jest dla niego punktem kulminacyjnym tej wojny \* i pal sześć tego całego Rommła!

O jedenastej chwiejnie wstał na nogi i jeszcze raz spojrzął na swoje spodnie, sprawdzając czy aby są zapięte. Wszystko było na miejscu. \*A więc \* obwieścił bełkotliwie \* moje panie, myślę, że już czas, abym odwiózł was do domu. Wkrótce będzie godzina policyjna i nie chciałbym, żeby tak urocze młode damy wpadły w łapy jakiegoś niegrzecznego strażnika\*ścisnął z lubością odziany w jedwab pulchny pośladek YWonne i dodał scenicznym szeptem: \* Bo to ja będę dziś niegrzeczny, hm?

„Młode damy” zachichotały.

Pijany pułkownik rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na egipską tancerkę, której taniec właśnie zbliżał się do punktu kulminacyjnego. Każdy centymetr jej złociście brązowego ciała wibrował, i miało się wrażenie, że piersi i pośladki drżą z przerażenia, kiedy zastygła, odrzucając głowę do tyłu w finalnym paroksyzmie. Wilgotna od potu, wdzięcznie opadła na fotel obok jakiegoś starszego generała i zapytała chropawym głosem: \* Cześć, kochanie. Należysz mi trochę whisky?

„Szczęściarz z tego George'a” \* pomyślał pułkownik na ten widok. „To dopiero gorący towar”.

Poczuł znowu miłe mrowienie w łądźwiach. Potem odwrócił się i ruszył za dziewczętami do czekającej przy wyjściu taksówki.

Pojechali w stronę Nilu. Ulice zaczynały się już wyludniać, choć na każdym skrzyżowaniu stała policja wojskowa. Ruch płynął spokojnie przez most Kasr El Nil. W czarnej, groźnej wodzie odbijały się białe, żółte i czerwone światła.

Zatrzymał taksówkę przy barce, na której dziewczęta uprawiały swoją profesję. Służący czekał na małym pontonowym mostku wiodącym do łodzi. \* Achmed \* powiedziała Yvonne.

\* Jewa. Ta 'ala, proszę madame \* służący podtrzymał ją delikatnie, kiedy chwiejąc się na swych wysokich obcasach przechodziła po mostku.

Carla ruszyła za nią. W żółtym świetle latarni lekko skinęła głową.

Achmed zauważył to i przymrużył swe ciemne okrutne oczy twierdząco.

Na końcu szedł pułkownik, odrzuciwszy z pogardą zaoferowaną pomoc i chwiejąc się niebezpiecznie na ruchomych pontonach.

Yvonne poprowadziła ich do kabiny pod pokładem. Leżały tam jedwabne poduszki i stała długa, niska sofa, oświetlona lampą o ciemnoczerwonym abażurze. Yvonne rzuciła się na sofę. Niedbale. Pułkownik zauważył z zachwytem, że nie miała na sobie bielizny i stwierdził, że nie była wcale prawdziwą blondynką.

Carla usadowiła się na stosie poduszek i klasnęła w ręce. \* Wino \*zawołała.

Achmed odpowiedział: \*Jewa. Chwilę później zszedł na dół, niosąc srebrną tacę z kieliszkami i butelką białego wina.

\* A może wolisz whisky, pułkowniku? \* zapytała Yvonne unosząc się, żeby nalać wina i znów odsłaniając na chwilę swoją rozkoszną sekretną kępkę włosów.

\* Nie, dziękuję ci, moja droga \* odparł WhartonWare. \* Chciałbym zachować trzeźwe spojrzenie na to wszystko co nas tu czeka, hm?

Carla wyciągnęła rękę i pogładziła go wierzchem dłoni po boku opasłej twarzy. \* A to psotnik \* udała, że ziewa. \*\* Może zdejmę już tą ciasną sukienkę. Tak tu gorąco.

Pułkownik automatycznie sięgnął po swój kieliszek, podczas gdy Carla wyślizgnęła się ze swej obcisłej, jedwabnej sukienki, odsłaniając kształtne ciało w czarnej, jedwabnej halce.

Pułkownik wydał stłumiony pomruk i wypił wino jednym haustem. Poczuł, że krew zaczyna mu szybko krążyć w żyłach. Carla miała wspaniałe, duże piersi. Powoli włożyła rękę za dekolt halki i zaczęła znacząco masować lewą pierś. Po chwili wyjęła ją i podała wpatrującemu się w nią łakomie oficerowi. \* Chcesz pocałować? \* zapytała ochryple. \*\*Bądź moim małym chłopczykiem.

\* Och, tak\* sapnął z przejęciem.

Podąła mu pierś. Zatopił w niej usta i zaczął ssać z zapalem, a ona pieśczośliwie głaskała go po tysiącej głowie. Rzuciła spojrzenie Yvonne, a w jej ciemnych oczach malowało się znużenie.

Yvonne potrząsnęła złocistą głową, jakby ostrzegając towarzyszkę.

\* No, no, drogi pułkowniku \* Carla zganiła go łagodnie. \* Nie możemy być tacy łakomi \*jeszcze nie. Mamy przed sobą całą noc na delektowanie się naszymi rozkoszami. Weź jeszcze kieliszek wina.

Pułkownik niechętnie oderwał wargi od wezbranej piersi Carli. \* Tak, tak, pewnie masz rację, moja droga\*przyjął od Yvonne kolejny kieliszek słodkiego białego wina i znowu rzucił spojrzenie na czarną kępkę między jej rozłożonymi nogami.

Przełknął pośpiesznie wino, czując, że twarz mu płonie od gorąca i pożądania.

Carla podniosła się powoli ze swych poduszek i podeszła do drugiej dziewczyny. Tym razem jej podała swoją pierś. Podczas gdy Yvonne wsunęła sutek pomiędzy swe pomalowane na czerwono wargi, spojrzała przez ramię na pułkownika i odezwała się: \* Masz ochotę na małe przedstawienie, pułkowniku?

Wharton\*Ware poczuł, że wiruje mu w głowie. \* To znaczy \* wysa\*pał \* między... wami dwiema?

\* Och, dlaczego nie? \* odparła chrapliwym szeptem, delikatnie kładąc rękę między nogami Yvonne. \* Chcesz popatrzeć, jak się zabawiają kobiety, kiedy są same? \* miękko przesunęła swoim długim palcem po czarnej kępcie w dół.

Yvonne zadrżała gwałtownie, jakby w nagłym porywie namiętnej pasji. Odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła głęboko.

Pułkownik wychylił resztę wina i zamrugął. Obraz przed jego oczami był trochę niewyraźny. Ale musi to zobaczyć. W swoim czasie widywał różne rzeczy w burdelach Bombaju, ale nigdy nie widział dwóch białych kobiet wystawiających taki spektakl z podobną pasją i tak umiejętnie. Yvonne dyszała gorączkowo z nogami rozsuniętymi teraz już całkiem szeroko, a Carla pieściła ją zaciekle, na jej twarzy malował się wyraz brutalnej zaciętości, jakby bardziej chciała sprawiać ból niż przyjemność.

Pułkownik sięgnął drżącą ręką po butelkę i przytknął ją sobie wprost do ust. Pomyślał, że może to poprawi mu nieco zamazany obraz. Musi przecież zobaczyć wszystko, co się tu dzieje. Nie wolno mu uronić ani chwili. Taka gratka nie trafia się często.

Jednak obraz przed jego oczami nie chciał się wyostriżyć, a w głowie dziwnie wirowało. Potrząsnął nią i nagle, ku swemu zdziwieniu znalazł się na podłodze, patrząc w górę na dwie dziwki, które jak na komendę przerwały swoje „przedstawienie”. Ich postacie chwiały się i falowały przed jego zamroczonymi oczami. \* Co... co się stało? \* zapytał drżącym głosem, który nie brzmiał jak jego własny.

Carla spojrzała na niego i bezlitośnie odparła: \* Upiłeś się, ty tłusty wieprzu.

\* Cii \* syknęła Yvonne i mchem głowy wskazała na schody wiodące na pokład.

Wharton\*Ware usłyszał niewyraźnie jakieś kroki. Ale nie był w stanie odwrócić głowy, żeby zobaczyć kto to jest.

Ktoś powiedział coś po arabsku, z czego nic nie zrozumiał. Ciężkie kroki zabrzmiały bliżej i ucichły koło kobiet, które poprawiły teraz resztki strojów, jakie na sobie miały.

Nagle przed jego oczami pojawił się wysoki, śniady mężczyzna o okrągłej głowie, z czarnymi wąsami przyszyżonymi na wojskową modę. Miał budowę zapaśnika i wydawał się nadzwyczaj wysoki jak na Egipcjanina, którym niewątpliwie był.

Pułkownik próbował się podnieść, ale mężczyzna jednym pogardliwym pchnięciem błyszczącego buciora przewrócił go z powrotem na dywan.

\* Mam do pana pytanie, pułkowniku Wharton\*Ware \* odezwał się głębokim, nieznoszącym sprzeciwu głosem człowieka przyzwyczajonego, że jego rozkazy są wykonywane natychmiast.

Pułkownik miał niewyraźne uczucie, że dzieje się coś niepokojącego. Skąd ten człowiek zna jego nazwisko? Nie przedstawiał się przecież dwóm dziwkom.

\*Janie...

\* Cicho \* rozkazał Egipcjanin tonem najwyraźniej nawykłym do wydawania rozkazów. \* Co jest szczególnego w misji majora Harda i co ma z nią wspólnego brytyjska marynarka?

Wharton\*Ware czuł narastające zagrożenie. Skąd ten Egipcjanin wiedział o misji Harda? Musiał też go widzieć z tym brodatym oficerem marynarki \* Christianem. \* Nie wiem o czym pan mówi \* odpowiedział słabo.

\* Spójrz na siebie. Nie jesteś w tak korzystnej pozycji, żeby pozwalać sobie na kłamstwa\* wycodził z zaciśniętymi zębami wielki mężczyzna. \* Jesteś totalnie skompromitowany. Pijany i z dwiema kurwami.

Carla rzuciła spojrzenie Yvonne, ale ona tylko potrząsnęła głową. Gamel Nasser z Armii Egiptu był zbyt niebezpiecznym człowiekiem, żeby próbować go strofować za użycie tego słowa.

\* Za moment \* ciągnął Egipcjanin \* zostaniesz rozebrany. Zrobimy ci zdjęcie w kompromitującej pozycji z tymi dwiema\*i przyrzekam, że nie będzie to miła fotografia. Wyślemy jedną kopię twojej żonie, a inne generałowi i do twojego pułku. Twój a reputacja będzie całkowicie zrujnowana.

\* Nie zrobicie tego \* w głosie pułkownika zabrzmiała teraz błagalna nuta.

\* Oczywiście, że zrobimy.

\* Ale ja właściwie nic nie wiem.

\* A co właściwie wiesz? \* nie ustępował Egipcjanin. Jego czarne oczy rzucały groźne błyski, a ręce

zapaśnika zacisnął w pięści, tak jakby był wściekły z jakiegoś powodu.

\* Wszystko co wiem, to że generał powiedział mi... rozkaz o misji do Libii wydał sam PM.

\*PM?

\* Prime Minister\*premier. \* Egipcjanin syknął. Przez chwilę milczał, ważąc myśli, a w tym czasie pułkownik patrzył bezradnie na niego i na dwie kobiety.

Po chwili mężczyzna rzucił coś po arabsku do Carli. Na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Złapała Yvonne za ramię. Nasser spojrział na nie z pogardą. Potem wyjął z kieszeni plik egipskich funtów i niedbale rzucił na sofę. U drzwi odwrócił się jeszcze i spojrział na leżącego na podłodze Anglika, a potem wyszedł na pokład. Wszyscy troje wsłuchiwali się w jego ciężkie kroki dudniące po pokładzie, a potem na mostku pontonowym.

W kabinie zaległa cisza, która zdawała się trwać całą wieczność. Słyszał tylko ciche chlupotanie wody o burtę łodzi. Potem Carla zawołała: \* Achmed. Na umalowanej twarzy Yvonne rysował się strach.

Pięć minut potem ci troje wyrzucili ciężkie ciało odurzonego pułkownika do Nilu.

## Rozdział szósty

Pierwszy dzień wyprawy był lekki. Jechali dobrą drogą, którą od czasu do czasu zasypywał dryfujący piasek i konwój musiał zwalniać, ale dwa amerykańskie Dodge'e miały napęd na cztery koła i z łatwością radziły sobie w takich warunkach. Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, dojeżdżali właśnie do małego angielsko\*egipskiego obozowiska. Zrobili kilka zakrętów w te i z powrotem, aby wszyscy, a zwłaszcza żołnierze egipscy, na pewno ich zauważyli. Potem zatankowali benzynę i starając się, aby ich obecność była bardzo wyraźna i wszędzie dostrzeżona, rozłożyli się na popas. Gotowali herbatę i zjedli posiłek złożony z konserwy wołowej i rzadkiego luksusu\*brzoskwiń z puszki. Potem zwinęli się w koce i poszli spać.

Gwardzista Smith, który miał wartę od dwunastej do pierwszej w nocy, obudził Harda punktualnie o pierwszej. Potem obudził całą resztę i bez zwyczajowej „herbatki” o świcie, cicho wykradli się w stronę swoich Dodge'ów. Na komendę zaczęli je pchać. To była ciężka robota, ale udało się wypchnąć je jakieś dwieście jardów poza granice obozu, gdzie droga zaczynała opadać w dół. Tam żołnierze wskoczyli do samochodów, a kierowcy wrzucili pierwszy bieg i zwolnili hamulce. Dodge'e zaczęły powoli staczać się w dół. Hard obejrzał się za siebie. W małym obozie nie słychać było żadnego ruchu. Nikt ich nie zauważył. Po chwili pojazdy nabrały prędkości. Kierowcy włączyli silniki, które zaczęły pracować niemal bezgłośnie. Po paru minutach przyspieszyli i oddalali się od obozu ze stałą prędkością trzydziestu mil na godzinę.

O świcie droga zaczęła być coraz mniej widoczna. Po obu stronach wznosiły się wielkie wydmy drobnego piasku, tak rażąco białego, że wyglądał jak śnieg. Niebo nad nimi było jaskrawoniebieskie, a słońce

świeciło jak wielka biała kula. \* Już niedługo się zacznie zabawa, sir \*rzucił sierżant Williams, twardy, mały żołnierz, który był weteranem tych długodystansowych patroli.

\* Nie zdziwię się, sierżancie \* zgodził się Hard, myśląc sobie, że kiedy jest na pustyni, nienawidzi jej z całego serca, z tym ciągłym pragnieniem i bezlitosnym upałem. Ale po kilku tygodniach wygodnego życia w bazie zawsze zaczyna tęsknić za dziką wolnością, którą można było znaleźć tylko tutaj. Był przekonany, że jego ludzie doświadczali tego samego. Życie w bazie polegało na nieustannym salutowaniu. Jak mawiali starzy wyjadacze:, jeśli się rusza\*salutuj, jeśli nie\*przykryj prześcieradłem". Zapewne dlatego większość z nich zgłosiła się natychmiast na ochotnika do LRDG. Rzucił na nich spojrzenie przez wsteczne lustro. Byli brązowi od słońca, w świetnej kondycji, bardzo wytrzymali. Na ich kościstych, wyschniętych twarzach odbiły swe piętno wszystkie trudy, które przeszli na pustyni. Nagle poczuł przypływ dumy. Nie zawiodą go.

Trzeciego dnia ich mały konwój ominął w bezpiecznej odległości okupowaną oazę Ain Duła na wschodnim krańcu Great Sand Sea. Kiedy byli już daleko od oazy, wyglądającej jak mała zielona wysepka na morzu płonącej bieli, Hard zarządził postój na herbatę. Paru żołnierzy wypełniło stary kanister piaskiem i pokropili go benzyną, żeby na takim ogniu zagotować wodę. W tym czasie Hard studiował kompas, wyznaczając kierunek do pamiętnego Easy Ascent.

Godzinę później byli już pod, "Łatwym Podejściem". Gwardzista Smith, ich najlepszy kierowca przejął teraz kierownicę. Wiedział dokładnie, co ma robić. Wcisnął mocno pedał gazu. Tylko w ten sposób można było uniknąć zakopania w miękkim piachu. Dodge ruszył w górę po pochyłości poślizgniętej koleinami innych pojazdów LRDG, które przejeżdżały tędy wcześniej. Kiedy dojechał do szczytu wzniesienia, kierowca ostro skręcił koła w prawo. Wielki Dodge zakręcił w chmurze białego piasku i zatrzymał się drżąc i stękając jak koń, który nagle odmówił skoku. Po

drugiej stronie piasek tworzył opadającą w dół stromiznę. Hard spojrzął na drugiego Dodge'a. Ten także nieźle sobie radził z podjazdem. Mały „Dicky” Bird, który nim kierował, znał się na swojej robocie.

Smith otarł opalonym przegubem pot kapiący mu z brwi. \* Nigdy się nie przyzwyczaję do tego piekielnego podjazdu, sir, nawet gdybym miał żyć sto lat. A nie będę.

\* Bardzo dobrze sobie poradziłeś, Smithie \* odparł Hard. \*No dobra, a teraz dawaj go w dół.

Smith zacisnął szczęki i z kamienną twarzą wrzucił pierwszy bieg. Wolno puścił sprzęgło. Powoli, bardzo powoli skręcając koła raz w jedną, raz w drugą stronę posuwali się w dół stromego zbocza, zostawiając za sobą zygzakowaty wzór na piasku. Hard patrzył nic nie mówiąc. Wiedział, jak niebezpieczna była to gra. Jeden niewłaściwy krok i wóz stoczy się z niezwykłą szybkością i rozbije na dole. Kątem oka widział, że Dicky Bird posuwał się za nimi w podobny sposób, walcząc o każdy metr. Dwa razy Dodge omal nie stracił równowagi, ale udało się go wyprowadzić i teraz jechali dalej w dół jakieś trzydzieści kilometrów na godzinę. Im bliżej końca tym częściej koła wozu grzęzły w miękkim piasku. Wtedy wszyscy musieli wyskakiwać i łącznie z Hardem brali się za łopaty i zaczęli ciężką, czasochłonną robotę odkopywania kół i robienia kanałów, żeby można było podłożyć pod koła stalowe maty, po których wytoczyłyby się znów na powierzchnię.

Tego popołudnia zrobili niecałe czterdzieści kilometrów. Upał był niesamowity. Żar z nieba lał się na nich bezlitośnie i cały czas złani byli potem. Choć mieli arabskie osłony na głowę i ochronne gogle, to piasek przenikał we wszystkie zakątki ciała \* mieli go w uszach, nosie, ustach, oczach i na całym, bez przerwy swędzącym ciele. Z trudem posuwali się po nieskończonej piaskowej równinie, całkiem pustej, jakby byli ostatnimi żywymi istotami na tej planecie. Tej nocy, po zwykłym posiłku złożonym z herbaty i konserwy z duszonej wołowiny, byli tak wyczerpani, że wszyscy natychmiast zapadli w sen. Hard obudził się około drugiej. Było teraz lodowacie zimno i Hard w duchu dziękował za swój ciepły koc. Ponad nim aksamitne niebo lśniło błękitnawym światłem gwiazdnych miriad. Na parę chwil zatonął w myślach. Zdał sobie sprawę z tego, jak nieważna

i żałosna była ta grupka wątłych śmiertelników rozgrywających jakieś śmieszne wojenne gry, gnana swoimi małymi ambicjami i mizernymi marzeniami. .. Potem zmusił się, żeby pomyśleć o czekającym go zadaniu.

Mniej więcej za cztery dni znajdą się w rejonie Tobruku. W tych dniach cała armia Rommla będzie już tam i otoczy port, a także nadbrzeżną drogę z Libii do Egiptu. Muszą przeciąć tą drogę i przebić się przez niemiecki front. Robili to już wcześniej, kiedy atakowali niemieckie lotniska i obiekty w takich miejscach jak Derna czy Benghazi. Ale teraz Niemcy będą zaalarmowani. Obliznął spierzchnięte wargi. Gdyby tylko mogło zdarzyć się coś, co odwróciłoby ich uwagę na jakiś czas, a wtedy prześlizgnęliby się niezauważeni.

Nagle z zamyślenia wyrwał go jakiś odgłos. Nadpłynął gdzieś z daleka, ale na tej bezkresnej pustyni dźwięki rozchodziły się szeroko. Ktoś musiał tam być. Ale kto? Albo co?

Wysunął się z koca i przeszyło go dojmujące zimno. Pośpiesznie ruszył w kierunku pierwszego Dodge'a, w którym sierżant Williams pełnił nocną wartę. Bezszelestnie wśliznął się do samochodu i usiadł obok niego. Wyciągnął z kieszeni kilka landrynek. Na warcie nie można było palić. Żarzący się papieros w nocy na pustyni był widoczny z odległości nawet dwudziestu mil. Williams podziękował. Ssanie słodczy pomagało jakoś przetrwać wlokący się czas. \* Sierżancie \* zaczął Hard, kiedy żołnierz odpakował już kwaskowego dropsa i wrzucił go sobie do ust. \* Słyszałeś coś przed chwilą?

\* Nie, sir. Nic takiego. Może to wiatr? Jak zaczynałem wartę, było dosyć wietrznie.

Hard potrząsnął głową. \* Nie, to nie wiatr. Ale od razu się urwało \* opuścił boczną szybę i wystawił głowę na zewnątrz.

Williams zrobił to samo i przez chwilę obydwaj wsluchiwali się uważnie w ciszę pustyni. Ich twarze oświetlało lodowatosrebrne światło gwiazd. Nic, cisza. Wreszcie Hard zamknął okno i powiedział: \* Mógłbym przysiąc, że coś słyszałem.

Williams również przykręcił szybę po swojej stronie i odpart: \* Żaden z naszych nie wychodził na patrol, sir, więc jeśli ktoś tam jest... \* nie skończył zdania.

\* Tak \* zgodził się Hard pogrążony w myślach. \* To może być tylko wróg.

\* Taa \* mruknął Williams \* jakiś sakramencki szwabus...



O świcie ruszyli znowu. Poranne powietrze było chłodne i świeże. Teraz krajobraz wokół nich nieco się zmienił. Płaskie morze piasku i te mordercze wydmy ustąpiły miejsca nierównemu terenowi z płasko zakończonymi wzniesieniami, po którym jechało się znacznie wygodniej. Zaczęli wreszcie nabierać tempa i Hard mógł zostawić prowadzenie kierowcom, a sam skupić myśli na swoich problemach: nawigacji i możliwej obecności wroga.

Co chwila przeszukiwał wzrokiem niebieski, lekko falujący horyzont, który pozostawał uparcie pusty. Jeśli ostatniej nocy rzeczywiście ktoś oprócz nich był na pustyni, myślał z niepokojem, to musiał niezłe się maskować.

O jedenastej Hard zarządził postój. Chciał, żeby ludzie coś zjedli, napili się herbaty i trochę odpoczęli, zanim zacznie się największy upał. Przynajmniej w czasie jazdy chłodził ich lekki wiatr. Zatrzymali się więc i zeszywniali żołnierze zaczęli wyładowywać się z wozów. Rano dyżur przy herbacie miał pełnić Dicky Bird. Wrzucił łopatę piasku do kwadratowego kanistra po paliwie i poleił go odrobiną cennej benzyny. Potem za pomocą bagnetu zamieszał wszystko do konsystencji masła i wrzucił w to zapaloną zapałkę. Fuch! z kanistra buchnął błękitny płomień. Dicky Bird umieścił nad nim dużą, poczerniałą menażkę z wodą, która już po chwili bulgotała wesoło. Żołnierze czekali wokół, żując swoje suchary.

Hard odczekał parę minut. Nagle poczuł pierwsze skurcze w dole brzucha, którym towarzyszyło burczenie. No tak, musiał złapać „pustynne tryskanie”, jak to nazywali. Zresztą wszyscy je mieli. Przyczyną były wszędobylskie muchy, które roznosiły różne zarazki. \* Biorę łopatę i idę na spacer, chłopaki \* oznajmił, wyciągając łopatę przymocowaną do bocznych drzwi Dodge'a i odrywając trochę „wojskowego formularza”, jak nazywali papier toaletowy.

Żołnierze odpowiedzieli cichym śmiechem, a ktoś rzucił: \* Jeśli nie wróci pan za dziesięć minut, sir, wyślemy patrol zwiadowczy.

Hard przywykł do żartów. Na pustyni różnice stopni wojskowych zwykle jakoś się zacierały. Poza tym wiedział, że nie były to złośliwe żarty; wszyscy przechodzili to samo. \* Tylko nie wypijcie całej herbaty \* zawołał jeszcze przez ramię i znikł za najbliższym wzniesieniem. Przykucnął w samą porę. Poczł ścisk jelit, a potem ruszył do akcji. Ale mimo że był pochłonięty swoimi czynnościami, czuł, że coś jest nie w porządku. Podniósł głowę i przez chwilę patrzył przed siebie, nie mogąc uchwycić, co to jest. Chwilę potem miał: na lewo, wiele mil od nich, ale dobrze widoczny, migał błysk jasnego światła. Pojawiał się parę razy na mgnienie oka, poruszając się wzdłuż grzbietu wzniesienia.

\* Jezu Chryste \* szepnął.

W pierwszym odruchu chciał wciągnąć szybko spodnie i pobiec do swoich, ale powstrzymał się. Spokojnie skończył swoje sprawy i zapiął spodnie, jakby miał masę czasu. Podniósł łopatę i zaczął przysypywać swoje odchody, a potem wziął garść piasku i „umył” nim ręce. Z łopatą na ramieniu niespiesznie wspiął się na wzniesienie i wrócił do miejsc postojów. Dicky Bird podał mu kubek z herbatą i powiedział z ujmującym uśmiechem: \*Dziś specjalność starszego sierżanta, sir. Jest tu cała puszcza skondensowanego mleka. Taka gęsta, że można postawić w niej łyżkę.

\* Dzięki \* odpowiedział Hard, delektując się pierwszym łykiem mocnego, brązowego napoju. Pozornie spokojny, wyglądał jakby po prostu rozkoszował się jej smakiem. Jednak w rzeczywistości jego myśli pędziły i wirowały, starając się ogarnąć to, co przed chwilą zobaczył.

W końcu dopił ostatnie krople cennej cieczy. Wylał kubek piaskiem i zawołał: \* Chodźcie wszyscy, tylko niech to wygląda naturalnie. Mam wam coś do powiedzenia.

Sierżant Williams spojrzał na niego z ciekawością. \* Będą kłopoty, sir?

\* Coś w tym stylu. Teraz słuchajcie. Kiedy byłem za potrzebą tam na tym wadi, zauważyłem odbłask światła z jakiegoś poruszającego się przedmiotu.

\* Odblask z reflektorów samochodu\* rzeczowo stwierdził Smith.

\* Właśnie. Wiecie, że my zawsze je malujemy, żeby nas nie zdradzały. Wszyscy nasi to robią. \* Lekko wzruszył ramionami. \* Stąd wnioskuję, że tam gdzieś jest wróg.

\* To trochę daleko jak na szkopy, sir\* zauważył Williams. \* Zwykle trzymają się blisko nadbrzeżnej równiny. Nie znają naszych kruczków w tej grze.

\* Wiem \* zgodził się Hard. \* Może już wpadli na ten pomysł i mają swoje oddziały Long\*Range. Nieważne. Musimy być gotowi na kłopoty. Chcę, żebyście za moment sprawdzili swoją broń i browningi \* wskazał głową na działa maszynowe stojące na każdym Dodge'u. \* Miejcie pod ręką granaty. Zwykle zasady, jak w przypadku ataku podczas drogi. Rozdzielamy się\* to utrudni cel wrogowi. Zbieramy się jak tylko skończą się kłopoty. Ktoś ma pytania?

\* Tak jest, sir. \* To był Tubby Henderson, etatowy kpiarz oddziału. Gruby Szkot, który jakimś cudem zdołał zachować swoją tuszę na ich marnym wikcie. \* Czy nie przeniósłby mnie pan w trybie natychmiastowym do płatnego korpusu?

Wszyscy zaśmiali się cicho. Tubby był niezawodny w rozładowywaniu napięcia.

\* W porządku, chłopcy \* zakończył Hard. \* No to jedziemy. Na horyzoncie znowu coś błysnęło i równie szybko zgasło.

## Rozdział siódmy

\* Hauptmann Graf von Almaszy zur Stelle, Herr General \*feld\*marschall \* zaanonsował żołnierz w średnim wieku z miękkim austriackim akcentem.

Szeroka twarz Rommla pokryta była potem. Podniósł ją znad prowizorycznego biurka polowego, które zrobiono ze starych skrzynekpo żywności i zamachał łapką na muchy, odpędzając rojące się wszędzie owady. Przed nim stał najbardziej niewojskowo wyglądający oficer, jakiego nie widział od dawna. Wysoki

i bardzo chudy, w długich, zwisających szortach wyglądał raczej jak starzec z domu dla emerytów niż jak żołnierz Wehrmachtu, pomyślał Rommel, a głośno powiedział: \*Ach, ach, słynny hrabia von Almaszy od brandenburczyków. (Specjalnie szkolona niemiecka formacja wojskowa; odpowiednik brygady antyterrorystycznej \*przyp. tłum.)

Proszę spocząć. Wygląda pan na stnidzonego.

Hrabia skinął na wiedeńską modłę i usiadł. \* Dziękuję, Ekscelencjo. To bardzo miło z pana strony. Przeszedłem dwieście kilometrów piechotą w ciągu ostatnich czterech dni, a pogoda jest dość ciepła.

Rommel wyglądał na zaskoczonego. Nawet najbardziej sprawny, młody żołnierz nie dokonałby takiego wyczynu. Musi być z niego twarda sztuka. \* Może drinka? \* zaproponował.

\* Angielska whisky, jeśli można \* ośmielił się von Almaszy.

Rommel zdziwił się. Była dopiero dziewiąta rano. Cóż, pomyślał, widać staruszek ma taką potrzebę. \* Ordonanz \* zawołał \* ein Whisky fur den Herrn Hauptmann.

Za drzwiami słychać było trzaśnięcie obcasów. \*Jawohl, HerrFeld\*marschall\*krzyknął w odpowiedzi jałaś głos. Chwilę później w drzwiach pojawił się służący, z powagą niosąc tacę, a na niej butelkę whisky, wodę i szklankę.

Nalał dużą porcję whisky do szklanki i zapytał: \* Wasser, Herr Hauptmann?

Von Almaszy potrząsnął siwą głową. \*Nie, dziękuję. Woda jest tu zbyt cenna, żeby ją marnować.

Szeroka szwabska twarz Rommla rozjaśniła się w uśmiechu. Ten stary był nie tylko twardą sztuką, ale też wesołą. \* Zum Wohle \* zawołał, zwalnając ordynansa machnięciem swojej łapki na muchy. Służący postawił tacę na stoliku i zniknął.

Von Almaszy uniósł szklankę do poziomu trzeciego guzika od koszuli, ramię przepisowo zgięte pod kątem czterdziestu pięciu stopni, skłonił głowę w stronę Rommla, a potem wypił ognisty napój jednym haustem.

Rommel był pod wrażeniem. W swojej trzydziestoletniej karierze wojskowej nieraz widział pijących ludzi, ale nigdy nie spotkał oficera, który o dziewiątej rano jednym haustem wypiłby szklankę whisky do dna. \* Bravo, Herr Graf\* powiedział z podziwem. \* Myślę, że mnie by to zabiło.

\* To dobre na trawienie w tym klimacie, HerrFeldmarschall\*od\*parł stary hrabia, bez cienia chrypki w głosie.

\* No dobrze, więc do rzeczy. Jakie są wieści z Kairu? Jakie zamiary mają Anglicy? \* Rommel rzucał pytania z niecierpliwością. Jeśli pokona wielki port zaopatrzeniowy w Tobruku, wypakowany wielomiesięcznymi zapasami dla brytyjskiej Ósmej Armii, będzie miał środki, żeby przesuwać się dalej, w stronę stolicy Egiptu. A kiedy zdobędzie Kair i dojdzie do Nilu, wojna na pustyni się skończy \* Niemcy odniosą zwycięstwo.

\* Moi informatorzy donoszą, że Kair jest całkiem pogrążony w panice \* odpowiedział hrabia i utkwiał łakomie wzrok w zakorkowanej butelce Scotcha. \* Anglicy ewakuowali już większość cywilów. W dowództwie palą dokumenty, a armia egipska przygotowuje się do buntu, Wasza Ekscelencjo.

\* Kapital... Grossartigl \* Rommel zachichotał z zadowoleniem.

\* To tylko kwestia paru dni. Skończymy z Tobrukiem i idziemy dalej!

\* Spojrzał na pustynię, gdzie widać było krążące po niebie Stukasy, które jak stalowe jastrzębie od czasu do czasu nurkowały gdzieś w obłęzonym porcie. Wielkie słupy czarnego dymu otoczone u dołu wściekłymi jasnoczerwonymi płomieniami wznosiły się na tle jaskrawoniebieskiego nieba. \*Widzi pan, ich pozycje prawie nie odpowiadają. Całkiem podupadli na duchu.

\* To wojsko z Południowej Afryki \* zauważył von Almaszy. \* Wielu z nich, na przykład Buro wie, nienawidzi Brytyjczyków. W końcu ich ojcowie walczyli przeciw nim. W tej wojnie nie są sercem po stronie Imperium Brytyjskiego.

Rommel rozpromienił się. \*Właśnie, właśnie. To tym lepiej. Im szybciej się poddadzą, tym szybciej możemy ruszyć na Kair. A potem złożę prośbę o przeniesienie do Europy. Mam już z całego serca dość tej Afryki.

Von Almaszy milczał. „Któż by zamienił magię Afryki na prozaiczną nudę Europy?”, myślał w duchu, a głośno powiedział: \* Jest jeszcze jedna kwestia, Exellenz.

Rommel spojrzał na niego twardo. \* Co takiego? \* niemal warknął.

\* Z informacji wywiadu wynika, że Anglicy wystali jeden ze swoich oddziałów Long Rangę Desert. Jego celem jest prawdopodobnie Tobruk.

\* No więc? \* sarknął Rommel. \* Cóż oni mogą? Najwyżej lekko ukłu\*ją. Parę zniszczonych samolotów, wysadzona droga \* wzruszył ramionami. \* Denerwujące, ale bez większego znaczenia dla wyniku wojny.

\* Ten oddział może mieć pewne znaczenie \* odparł spokojnie von Almaszy z wzrokiem zwróconym w stronę butelki ze Scotchem.

\* Jakie?

\* Dowiedziałem się z kontaktów z armią egipską, że rozkaz wykonania tej misji wydał ni mniej ni więcej tylko Winston Churchill.

Rommel wyprostował się. \* Co pan mówi? Hrabia powtórzył ostatnie zdanie.

\* Donnerwetter \* zaklął Rommel. \* No proszę, przywódca tego kraju wydaje rozkaz pojedynczemu patrolowi. Fuhrerw swojej nieskończonej mądrości nigdy by o czymś takim nawet nie pomyślał.

Von Almaszy czekał cierpliwie, aż Rommel skończy. Wiedział, że mówi tylko dla efektu, jednak w rzeczywistości zaniepokoiło go to. \* Mamy ludzi na pustyni, którzy już czekają na ich patrol. Jestem

pewien, że ich zatrzymają. Jedyna rzecz, jakiej potrzebujemy, to jeniec, który nam powie, co zamierzali.

Rommel rozchmurzył się. \* Oczywiście \* zgodził się z zapałem. \* Wszystko to dziwnie wygląda. Musimy dowiedzieć się, co Anglicy \* cwana rasa \* planują. Ale powiedzmy, że wasi ludzie nie zdołają ich zatrzymać \* w końcu pustynia to ogromny teren \* co wtedy?

To było pytanie, którego von Almaszy się spodziewał i był na nie przygotowany. Uśmiechnął się nieznacznie i odparł: \* Mamy naszych ludzi w Tobruku. Oni nas poinformują.

Rommel uśmiechnął się.

Von Almaszy spojrział znacząco na butelkę whisky. \* Oczywiście, oczywiście \* pośpiesznie rzucił Rommel. \* Napije się pan jeszcze whisky? Proszę, sam panu naleję. Zasłużył pan. \* I nalał mu następnego drinka.

Dwie mile dalej, w oblężonym porcie profesor Challenger i Lisa odważyli się wyjść z dużego podziemnego schronu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Bombardowanie się skończyło, jednak wciąż jeszcze trwał ostrzał, głównie w stronę granicznych okopów. \* Myślę, że przez jakąś godzinę będzie względnie bezpiecznie \* stwierdził Challenger. \* Musimy trochę odetchnąć \* podrapał się w brodę pod gęstym zarostem, bo teraz także i oni, jak wszyscy broniący Tobruku, mieli pchły i dodał: \* Może zdejmę koszulę i... \* przerwał i spojrział na Lisę. \* No, naturalnie, ty tego nie zrobisz.

Jego wzrok spoczął przez chwilę na jej kuszących piersiach, a ona zauważyła figlarnie: \* Nie sądzę, żeby to dobrze podziałało na morale żołnierzy, jeśli bym to zrobiła.

Ryknął głośnym śmiechem i odparł: \* Och, przeciwnie. Myślę, że to by gwałtownie podniosło ich morale.

Ruszyli wolno wzdłuż zrujnowanego frontu, rozglądając się wokół. Upał panował nieznośny. Wszędzie dookoła widać było świadectwa

strasliwych ciągów, jakie w ciągu ostatnich dni spadły na miasto. Port pełen był zniszczonych, w połowie zatopionych wraków. Ich maszty i kominy sterczały z wody pokrytej warstwą gęstego oleju. Większość małych, białych domków wzdłuż nabrzeża nie miało dachów, a ich ściany porane kulami szrapneli wyglądały, jakby dotknęła je jakaś straszliwa choroba skóry. Oczywiście wszędzie byli żołnierze. Brytyjscy strzelcy ack\*ack w przekrzywionych czapkach i z połówkami papierosów za prawym uchem, żołnierze z Południowej Afryki, opaleni i rośli w słonecznych topi i czarni z kompanii pracy; wielu z nich brodziło w wodzie, próbując ocalić to, co się dało z zatopionych statków. Dowodzili nimi biali podoficerowie z oskardami w rękę, które podnosili groźnie, kiedy czarni robotnicy ociągali się z pracą.

\* Co pan myśli, profesorze? \* Lisa przerwała milczenie, ignorując żołnierzy, którzy wpatrywali się w nią, jakby nigdy przedtem nie widzieli kobiety. \* Jak długo tu jeszcze będziemy?

Spojrzał na nią. Wiedział, że była zaniepokojona, nie tylko niebezpieczeństwami, na które wszyscy byli narażeni, ale także hamowaną pożądliwością spragnionych kobiet żołnierzy. \* Sądzę, że już niedługo \* odparł uspokajająco. \* Władze nie będą chciały, żebyśmy dostali się w niemieckie ręce. Nie teraz, kiedy wiemy to, co wiemy. Uśmiechnął się do niej.

Lisa również się uśmiechnęła, choć z wysiłkiem.

Na prawo od nich jakiś przysadzisty oficer z Południowej Afryki wszedł po kolana do wody i z całej siły bił w nagie plecy zgiętego wół czarnego robotnika, wrzeszcząc grubym akcentem Afrykanerów: \* Do roboty, leniwy czarnuchu! Do roboty, bo cię tu zatłukę na śmierć!

Profesor potrząsnął głową. \* Kto by pomyślał \* odezwał się ze smutkiem.

Lisa przytaknęła. \* Tak, naziści sanie tylko w Niemczech.

\* Ale musi pani zrozumieć \* odezwał się za nimi jakiś głos \* że temu podoficerowi zapewne wpajano od dziecka, że czarny człowiek jest niewiele więcej wart niż małpa. Nie uważa go za istotę ludzką, ale za służącego, który uprawia jego pola i sprząta mu dom.

Odwrócili się jak na komendę.

Przed nimi stał niski, schludnie ubrany mężczyzna w okularach i uśmiechał się. Miał odznakę południowoafrykańskiego korpusu medycznego, a na pagonach dwie mosiężne gwiazdki pierwszego porucznika. Podniósł rękę do topi i powiedział: \* Czy mogę się przedstawić? Porucznik Smits z południowoafrykańskiego korpusu medycznego. „Nazwisko brzmi jak burskie”, pomyślał Challenger, „ale akcent ma czysto angielski”.

Challenger przedstawił Lisę i siebie.

Mały mężczyzna wyjaśnił: \* Podobnie jak wy musiałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Jak tylko skończył się ostrzał, pomyślałem, że zostawię na chwilę pacjentów i przejdę się.

\* Jest pan lekarzem, jak rozumiem? \* zagadnął Challenger.

\* Tak. Niezbyt dobrym \* odpowiedział z uśmiechem \* ale robię, co mogę, żeby połatać naszych chłopców, jak dostaną kulę. \* Spojrzał pytająco na Lisę. \* A może i pani jest doktorem medycyny? \* zapytał. \* Chętnie przyjmujemy każdą pomoc, zwłaszcza teraz, od kiedy tak nas ostrzeliwują.

Lisa potrząsnęła głową. \* Obawiam się, że nie będę pomocna. Mam doktorat z nauk przyrodniczych, nie z medycyny.

Mały południowoafrykański doktor znów się uśmiechnął. „Jakoś dużo się uśmiecha”, pomyślał Challenger.

\* Rozumiem. Wielka szkoda. Ale słyszę, że nie jest też pani rodowitą Angielką.

Challenger wtrącił się, zanim Lisa zdołała cokolwiek powiedzieć.

\* Może pospacerujemy jeszcze trochę, zanim zacznie się znowu ostrzał? \* powiedział szybko.

\* Oczywiście \* zgodził się Smits, znów nieznacznie się uśmiechając. \* Wykorzystajmy czas, zanim te cholerne szkopy znowu zaczną w nas walić. \* Rzucił szybkie spojrzenie na Lisę, kiedy mówił słowo

„szkopy”.

Challenger zauważył to, choć nie wiedział, co to mogło oznaczać.

Przez pewien czas szli w ciszy, spoglądając na rozebranych do pasa czarnych robotników, wyciągających co się dało z rozbitych statków, i dużą grupę niemal nagich, wesołych angielskich żołnierzy próbujących prac swoje ubrania na płyciźnie. Daleko, na jaskrawoniebieskim niebie

zobaczyli czarny punkt \* samolot krążył w te i z powrotem nad wodą i Challenger przerwał niezręczną ciszę pytaniem: \*Jeden z naszych?

Smits, jak zawsze z uśmiechem, potrząsnął głową. \* Obawiam się, że nie, profesorze, to jeden z ich samolotów wywiadowczych. Zawsze pilnuje, czy ktoś nie próbuje się dostać albo wydostać stąd. Widzi pan, profesorze \* dodał i nagle uśmiech znikł z jego twarzy \* teraz już nikt z nas nie wydobędzie się z Tobruku...

## Rozdział ósmy

\* Nienawidzę ich! \* syknął młody szeregowiec, kiedy czołgali się w piasku. \* Nienawidzę ich z całego serca. \* Jego czarne oczy wyrwiły się dziko. \* Mógłbym pozabijać wszystkich Anglików tymi rękami \* wszystkich. Wyrzucić ich z naszego kraju, żeby wreszcie dali nam spokój, psy \* splunął sucho na piasek.

\* Cicho bądź \* szepnął porucznik Amal. Ten żołnierz, pomyślał, jest jak wszyscy ludzie z Delty \* zapalczywi i histeryczni, lubiący dużo gadania. Ale kiedy przyszło co do czego, nie byli już tacy chętni.

Wyostrzył lornetkę, ostrożnie przysłaniając szkła, żeby błysk słońca odbijający się w soczewkach nie zdradził ich pozycji. Niedługo będzie zmierzch, ale ze swojego miejsca na krawędzi wydmy widział dokładnie żółtego Dodge'a, który brnąc w piasku podjeżdżał pod wzniesienie. Wyostrzył jeszcze raz soczewki i policzył osoby jadące samochodem. Było ich sześć i wszyscy, z wyjątkiem kierowcy, chyba spali, bo ich głowy podskakiwały w przód i do tyłu za każdym razem, jak Dodge podskakiwał na jakiejś przeszkodzie. Pokiwał głową z satysfakcją, choć niezbyt cieszył go widok dwóch browningów. Mimo to oczywiste było, że Anglicy nic nie podejrzewają. Odwrócił się i zaczął mówić do swojego plutonu ukrytego za skałami. Byli to najlepsi żołnierze armii egipskiej, jakich przysłał mu major Nasser. A jednak większość była niecierpliwa i zapalczywa jak ten szeregowiec obok niego. \* Pamiętajcie \* zwrócił się do nich swoim poprawnym arabskim \* celem jest pojmanie jednego z nich. Musimy się dowiedzieć, po co jadą. Będziemy strzelać. Zabijemy kilku, a resztę zmusimy do poddania się. Czy to jest jasne?

Do jego uszu dobiegł twierdzący pomruk.

\* Dobrze \* mówił dalej. \* A teraz przygotujcie broń \* żadnego ruchu. Będziemy strzelać, kiedy wóz dojedzie do tej żółtej skały. To dokładnie dwieście metrów, zmierzyłem odległość.

Ludzie posłusznie podnieśli swoje staromodne karabiny Lee Enfields, nieużywane już przez armię brytyjską, ale Amal mówił sobie, że to wyjątkowo dobra broń. Jego najbardziej zaufany żołnierz, sierżant, kucał za brenem. W tej chwili jednym szarpnięciem odciągnął zamek i wpasował kolbę w kościste ramię. Byli gotowi.

Amal wycelował swój karabin. Był to niemiecki mauzer kupiony na czarnym rynku w Kairze. Sprzedawał go jakiś brytyjski żołnierz, który przywiózł go ze sobą z walk na pustyni. Była to standardowa broń Afri\*ka Korps, ale ta sztuka miała dodatkowo teleskop. Zapewne używał jej jakiś snajper. Amal skupił spojrzenie na nadjeżdżającym samochodzie. Widział teraz tamtych żołnierzy tak samo wyraźnie przez teleskop, jak przez lornetkę. Pokiwał głową z zadowoleniem.

Teraz Dodge wolno zbliżał się do żółtej skały. Amal skoncentrował wzrok na Angliku drzemiącym za browningiem. Będzie celował w niego pierwszego. Jeśli Anglicy zdołaliby otworzyć ogień z karabinu maszynowego, wiedział, że jego pluton wpadnie w panikę. Owszem, byli najlepsi, ale nie miał złudzeń co do bojowych umiejętności ludzi z Delt.

\* Każdy wybiera sobie osobny cel \* rzucił rozkaz. \* Celujcie w najszerszą część ciała, nie w głowę.

Dodge dojeżdżał już do skały. Amal zaczął odczuwać napięcie. Zaciśnął palce wokół spustu karabinu, aż zbiały mu knykcie. Nigdy jeszcze nie był w akcji, ale nie czuł strachu. Miał raczej uczucie podniecenia i wiedział, że to, co za chwilę nastąpi, będzie mu się podobało. Obca mu była nienawiść do Anglików, jaką pałali jego żołnierze, w gruncie rzeczy lubił nawet tych, których spotykał w kantynach i barach. Nie znosił jedynie tego, że okupowali jego kraj w ten arogancki, wielkopański sposób. Byłoby miło zobaczyć niektórych, jak wzięci do niewoli kulą się ze strachu.

Dodge zrównał się z żółtą skałą. \* Teraz! \* krzyknął i w tej samej chwili sam pociągnął za spust. Poczut uderzenie kolby. Anglik za browningiem pochylił się na swoim siedzeniu i w chwilę potem upadł do tyłu, znikając z pola widzenia Amala.

Dookoła wszyscy jego ludzie strzelali. Jak szaleńcy, pomyślał. Ale trafiali w cel. Widział srebrny bok Dodge'a podziurawiony kulami. Następny z Anglików przechylił się i upadł. Człowiek siedzący obok kierowcy osunął się na kierownicę.

Teraz kierowca wcisnął pedał gazu do dechy. Amal wiedział, co zamierza zrobić. Chciał dojechać do szczytu wzniesienia, gdzie będzie poza zasięgiem ich ognia. \* Celować w kierowcę! \* krzyknął niecierpliwie. \* Dalej, głupki, w kierowcę! \* Podniósł swój karabin, wyrzucił wystrzelany magazynek i naładował go na nowo. Skupił się teraz na prawej tylnej oponie Dodge'a. Wstrzymał oddech i strzelił. Chybił. Chwilę potem kierowca Dodge'a z bagażem martwych ludzi znikł za krawędzią wzgórza. Przez chwilę Amal zastygł w bezruchu. Co ma teraz zrobić? W mgnieniu oka otrząsnął się jednak na myśl o tym, że kierowca może im uciec. Potrzebowali przecież jeńca. \* Wszyscy na nogi \* wrzasnął w stronę swoich ludzi, którzy śmiali się do siebie jak pawiany i triumfalnie poklepywali po plecach, chwając jedni drugich za wspańnięte strzały. \* Szybko \* do ciężarówek. Kierowca nie może nam uciec. Potrzebuje\*myjeńca.

Ruszyli szalonym biegiem do dwóch ciężarowych Bedfordów, które dowiozły ich aż tutaj przez linie



niemieckie \* najkrótszą drogą na pustynię. Nasser umówił wszystko z Niemcami.

Kierowcy wskoczyli do samochodów i zapalili silniki, podczas gdy reszta ładowała się w podnieceniu na tył. Wiedzieli, że nie grozi im niebezpieczeństwo, w końcu było ich dwudziestu na jednego Anglika.

Tymczasem za krawędzią wzniesienia Dicky Bird uśmiechnął się szeroko, choć po twarzy ściekał mu pot. Numer się udał, pomyślał, choć kiedy kule zaczęły przelatywać tuż obok niego, omal nie narobił w spodnie ze strachu. Przycisnął klakson trzy razy, tak jak się umówili, i zaczął wyciągać z Dodge'a worki z piaskiem odziane we fragmenty zapasowych ubrań. Potem stanął i czekał aż zacznie się zabawa...

\* Jadą\* rzucił Hard. Pierwszy Bedford zaczął zjeżdżać z pokrytego rozrzuconymi kawałkami skał wzniesienia. \*Przygotować się.

Jego ludzie nie potrzebowali zachęty. Spędzili ostatnie trzy kwadransy, brnąc z mozołem piechotą przez piasek, żeby zasadzić się w tym miejscu. Teraz chcieli zemsty za swój wysiłek.

Rozciągnięty na piasku obok Harda Williams wycelował groźnie wyglądającym „piatem”, śmiertelnością bronią przeciwpancerną. Potrzebował całej swej siły, żeby móc ją utrzymać. Inni wokół nich również czekali z różnego rodzaju bronią gotową do strzału. Ciężarówka jechała w ich stronę w chmurze żółtego piasku. Była teraz jakieś trzysta jardów od nich. Za nią ukazał się drugi wóz. Ten także był wypełniony ludźmi w długich szatach egipskich wieśniaków. Hard założyłby się o ostatniego dolara, że nie byli to wcale cywile, ale żołnierze armii egipskiej.

\* Pozwólmy im podjechać w zasięg \* rozkazał cicho. \* Żeby żaden z tych podstępnych gnojzków mi nie uciekł, zrozumiano?

Doszedł go twierdzący pomruk. Jak wszyscy brytyjscy żołnierze, także i oni nienawidzili gippos, a już najbardziej zdrajców z pozornie sprzymierzonej armii egipskiej. Williams powtarzał zawsze: „Najpierw cię naciągną, a potem wbiją nóż w plecy, jeśli będą, sukinsyny, pewni, że im to ujdzie na sucho. Tacy oni są, ci gippos”.

Teraz ciężarówka była w odległości mniejszej niż dwieście jardów i jechała z prędkością może dwudziestu kilometrów na godzinę. Idealny cel, pomyślał Hard. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła i krzyknął: \* Ognia!

Obok niego sierżant Williams pociągnął za spust swojego topornego karabinu. Wyściefana kolba walnęła go w ramię z taką siłą, że aż stęknął z bólu. Wielki pocisk o kształcie butelki przeszył powietrze wśród gradu kul. Chwilę potem bomba eksplodowała na masce pierwszej ciężarówki. Zatrzymała się gwałtownie. Gęsty biały dym zaczął się wydobywać z pękniętego silnika, który w kilka sekund później wybuchł z rykiem wściekłym płomieniem. Egipcjanie tłoczyli się w panice, starając się wydostać ze zniszczonej ciężarówki. Biegli prosto w stronę skoncentrowanego ostrzału. To nie była wojna. To była masakra. Egipcjanie, kompletnie zaskoczeni zasadzką, nie mieli szans. Padali na ziemię jak muchy, wrzeszcząc przeraźliwie i machając rękami.

Sierżant Williams pośpiesznie załadował broń i wycelował jeszcze raz. I znów butelkowany pocisk popędził w kierunku drugiej ciężarówki.

Williams nie mógł spudłować z takiej odległości. Bomba trafiła w tylną oś wozu. Tył ciężarówki na moment podskoczył w powietrze jak dziki koń, któremu po raz pierwszy założono siodło. A potem samochód zarył się w piachu. Z pogruchoanej osi odpadły oba koła i potoczyły się jak dziecięce obręcze do zabaw.

\* W porządku, wystarczy \* Hard przekrzykiwał wściekłe szczekanie małej broni. \* Wstrzymać ogień... nie marnujcie na nich więcej amunicji. Dostali już za swoje.

Rzeczywiście dostali za swoje. Ci, którzy jeszcze byli na nogach, rzucili broń i przerażeni podnosili ręce do góry. Ich ciemne twarze były teraz zielonkawoblade ze strachu. \* Kryjcie ich \* rozkazał Hard, podnosząc się z piasku z wyciągniętym przed siebie rewolwerem.

\*\* Tak jest \* odpowiedział Williams \* banda podstępnych gnojków z tych gippos. Uważajcie na nich chłopcy. On również się podniósł, odpiął swój karabin i ostrożnie ruszył za Hardem. Zbliżyli się do grupki tych, którzy ocalili i stali teraz nie zwracając uwagi na jęki swoich rannych, najwidoczniej skupieni tylko na tym, żeby przeżyć.

\* Gdzie wasz oficer? \* Hard zwrócił się do nich po arabsku. Wiedział już, że byli egipskimi żołnierzami. Poznał to po dwóch Bedfordach, w które armia brytyjska wyposażała egipskie wojsko.

\* Ja nim jestem \* powiedział młody mężczyzna, nieco formalnym, ale poprawnym angielskim.

Hard spojrzał na egipskiego oficera, któremu po policzku ciekła krew.

\* Możecie opuścić ręce. Powiedz to swoim ludziom... i powiedz, żeby opatryli rannych. Nie można tak zostawiać tych nieszczęśników.

Egipcjanin popatrzył na Harda wyzywająco, ale opuścił ręce i przekazał polecenia swoim żołnierzom. Z wdzięcznością opuścili ręce i kilku z nich pochyliło się nad rannymi, ale było całkiem jasne, że nie mają najmniejszego pojęcia o opatrywaniu rannych.

Hard prychnął niecierpliwie: \* Sierzancie Williams, proszę sprawdzić, czy mają jakieś opatrunki polowe i pokazać im, jak się je zakłada.

Williams pokręcił głową, jakby nie mógł zrozumieć, że ktoś może chcieć pomagać gippo. Jednak wypełnił rozkaz, w czasie gdy Hard odwrócił się do młodego mężczyzny, który wciąż patrzył na niego arogancko, w jego ciemnych oczach malowała się nienawiść. \* No dobrze, więc co to wszystko ma znaczyć, co? \* zażądał wyjaśnienia. \* Kto was tu przysłał?

\* Marnujesz czas. Nic nie powiem.

\* Wiesz, że mogę cię za to kazać zastrzelić? To jest jawna zdrada. Egipcjanin zaśmiał się z pogardą. \*No to każ mnie zastrzelić. Są

setki, tysiące patriotów, którzy zajmą moje miejsce. Myślisz, że możesz zatrzymać cały naród, jeśli zabijesz jednego albo nawet i stu z nas? Brytyjska władza w Egipcie i na całym Bliskim Wschodzie już się

kończy.

\* Cicho bądź! Nie jestem, cholera, politykiem \* warknął Hard wyprowadzony nieco z równowagi. \* Jestem żołnierzem. Mów to, co chcę wiedzieć. To twoja ostatnia szansa. Zasłużyłeś na śmierć i umrzesz, jeśli nie będziesz mówił.

Egipcjanin zawahał się przez moment, ale już po chwili na jego przystojnej twarzy znów odmalował się zacięty wyraz pogardy. \* Zrobisz, co zechcesz \* powiedział tym swoim wyniosłym angielskim. \* Mówić nie będę.

Hard podziwiał odwagę młodego oficera, ale wiedział, że musi to zrobić. Bez niego reszta Egipcjan będzie całkowicie zagubiona. Wody i zapasów starczy im na parę dni, a potem umrą, bo nie będą potrafili znaleźć drogi powrotnej. Ten oficer musi zostać zabity. Czyż nie jest zdrajcą? Poza tym powiedział mu między słowami wszystko to, co Hard chciał wiedzieć. Egipcjanie pracowali dla Niemców. A to znaczy, że Niemcy wiedzą o patrolu. Przypuszczał, że nie znali jednak jego celu\*ocalenia dwójki cywilów. Ale wywnioskował, że Niemcy wiedzą, iż patrol kierował się do Tobruku. A więc Egipcjanie muszą zginąć, zanim mogliby donieść o ich obecnym położeniu. Podjął decyzję w jednej chwili. Odwrócił się do gwardzisty Smitha. \*Przeszukaj te ciężarówki, Smitie. Jeśli znajdziesz gdzieś radio \* zniszcz je.

\* Sir \* Smith mówiąc to tupnął prawą nogą, jakby był na paradzie w koszarach Pirbright.

Hard uśmiechnął się lekko i zwrócił się do pozostałych żołnierzy: \*No dobrze, chłopcy. A wy połamcie iglice w całej broni, jaką znajdziecie u tych gippo. Żeby nam nie strzelili w plecy, jak będziemy odjeżdżać.\*

Wskazał na oba Dodge'e, które właśnie wyjeżdżały zza skarpy. \* Sierzancie Williams.

\* Sir? \* odezwał się Williams.

Hard kiwnął głową w stronę młodego oficera: \* Pozbądź się go \* powiedział bez emocji.

\* Sir\* odpowiedział Williams również głosem pozbawionym uczuć. Młody oficer przez moment miał w oczach panikę, ale natychmiast

opanował się i rzucił: \* Jeszcze was pogrążymy, Anglicy.

\* Idziemy \* powiedział Williams niezbyt ostro i wziął Egipcjanina za ramię. Ten dał się prowadzić bez oporu. Jeńcy i żołnierze odprowadzili ich wzrokiem i w ciężkiej ciszy patrzyli, jak znikają za skałą. Potem usłyszeli pojedynczy strzał. Po chwili sierżant Williams wrócił z karabinem przewieszonym przez ramię i wzrokiem utkwionym w ziemi. Egipcjanie zaczęli lamentować.

Hard potarł koniec nosa, jakby z zawstydzeniem. Ale nie wstydził się. Wiedział, że podjął słuszną decyzję. Jeśli egipscy żołnierze nie wrócą, ich zwierzchnicy \* niemieccy i egipscy \* wywnioskują, że zabili ich Anglicy. Ale jeśli zostaną złapani, to nikt nie będzie się nad nimi litował. Zostaną zastrzeleni od ręki.

Odwrócił się i zawołał: \* W porządku, już dosyć czasu zmarnowaliśmy. \* Spojrzał jeszcze na jęczących Egipcjan, wiedząc, że wkrótce ich także czeka śmierć. \* Ładujemy się, chłopcy.

Pięć minut później jechali znowu z równą prędkością. Siedzieli w ciszy, każdy otoczony kokonem własnych myśli i obaw. Nikt nie obejrzał się za siebie...

## Część druga

### Mucky Duck idzie na wojnę

„Wygląda mi na to, sir... że szkopy zlecą się tam zaraz jak pioruńskie pszczoły do miodu”.

bosman Thirsk do kapitana Christiana, czerwiec 1942

### Rozdział pierwszy

Kapitan Christian siedział w blaszanej balii, a pochylona nad nim dziewczyna myła mu plecy, kiedy nagle ziemią wstrząsnął wybuch, a ze stropu jaskini posypały się odłamki skalne. \*Nie można nawet, do cholery, spokojnie się wykąpać! \* zaklął Christian.

Cara uśmiechnęła się jak do niegrzecznego dziecka, choć ten brodac z wściekłym spojrzeniem błękitnych oczu i oddechem zionącym whisky nie miał w sobie zbyt wiele z dziecka.

Od kiedy zakwaterowano go na Malcie, jakieś pół roku temu, Christian mieszkał z dziewczyną w jednej ze skalnych grot niedaleko portu, w strefie nieustannie zagrożonej nalotami. Na szczęście strop jaskini był bardzo gruby i Christian wiedział, że zawalić go może tylko bezpośrednie uderzenie bomby. Choć nie należał do wylewnych, to na swój szorstki i bezpośredni sposób lubił Carę. Przygotowywała posiłki z ich skromnych racji żywnościowych, prała jego ubrania, a w te noce, kiedy wracał dostatecznie trzeźwy, dostarczała mu przyjemności w łóżku.

Spojrzał na nią. Wyciskała właśnie gąbkę, szykując się do mycia go z przodu. Przypuszczał, że mając dwadzieścia lat, była szczupłą, ciemnowłosą dziewczyną o błyszczących, czarnych, wesołych oczach. Wyraz radości zniknął z jej twarzy w chwilach, kiedy myślała o swojej rodzinie mieszkającej gdzieś w głębi wyspy. Była to rodzina katolicka, jak większość miejscowych ludzi, toteż kiedy Cara odeszła, żeby zamieszkać z Christianem, rodzina wyrzekła się jej. Mimo to co parę dni dziewczyna przedzierała się przez bombardowane tereny, żeby zanieść im to, co zostawało z niewielkich przydziałów żywności.

Myła mu teraz pierś, wolno posuwając się w dół. Lubiał to, choć nie zamierzał jej o tym powiedzieć. Długie

życie i bogate doświadczenia z kobietami różnych krajów i różnych ras nauczyły go jednego: nigdy nie pozwalać kobiecie na zbyt wiele. „Weź sobie taką, co to zadziera nosa, przyjacielu”, wygłaszał w tym czy tamtym pubie, „a będziesz miał w domu tyrana. Kobieta musi znać swoje miejsce. Tylko wtedy będziesz miał spokój”. I powiedziawszy to, z miną wyrażającą całkowite przekonanie o słuszności swojego sądu, sięgał po kolejnego drinka.

\* Wyptywasz dzisiaj, Christian? \* zapytała, umiejętnie masując go gąbką wokół jąder.

\* Nie, jeszcze nie dziś \* zapewnił ją. \* Jest trochę roboty przy statku. Czekam na sygnał... hej, żadnych takich... \* mruknął, ale niezbyt gniewnie.

Pociągnęła go pieśczośliwie za członek i uśmiechnęła się, najwidoczniej zadowolona, że nie musiał jeszcze odpływać. Niemcy i ich sprzymierzeńcy ciągle wypatrywali statków wychodzących z Malty. \*No, już \* zakomenderowała z uśmiechem. \* Skończone. Teraz wstawaj. Będę wycierać.

Wstał posłusznie. Wzięła szorstki, stary ręcznik wojskowy i zaczęła go wycierać tak delikatnie, jakby wycierała niemowlę. Nie miał nic przeciwko temu. Nawet mu się to podobało. Pomyślał, że mimo ciągłego poczucia zagrożenia na obłązonej wyspie, miesiące, jakie spędził tu z Cara, były najszcześniejszymi miesiącami w jego życiu.

Skończywszy wycieranie, rzuciła ręcznik na podłogę i odeszła, zostawiając go stojącego nago na kwadratowym skrawku dywanu, który gdzieś kiedyś sobie „pożyczył”. Podchodząc do prostego drewnianego stołu zapytała: \* Teraz plaster?

\* Tak, dawaj ten sakramencki plaster. Kiedyś, jeszcze w Hull, aptekarz z Hedon Road mawiał, że stary, dobry Wintergreen wypali jaja każdemu bykowi.

Zrozumiała tylko częściowo jego słowa. Podchodząc, próbowała włożyć palec między plaster a przytrzymujący go papier. \* Dlaczego to nosisz? On piecze.

\* Musi piec, żeby działało, dziecino \* burknął, ale w jego głosie nie było urazy. \* Dlaczego to noszę? Powiem ci dlaczego. Bo mam cholerny reumatyzm w ramieniu. I nie chcę, żeby całkiem przestało się ruszać. Wtedy dowództwo wyrzuci mnie na zbity pysk. A na to jeszcze za wcześnie. \* Sapnęła głośno, kiedy dziewczyna przyłożyła mu plaster do prawego ramienia. Jego ciało natychmiast pokryło się potem. \* O do diabła \* prychnął \* dobrze mi to robi.

Cara wygładziła dokładnie wszystkie nierówności, aż plaster zrobił się idealnie gładki. \* No dobrze Christian, teraz się ubieraj.

Tym razem to on uśmiechnął się szeroko: \* Myślałem, że założysz mi też spodnie.

Zrobiła żartobliwy ruch w kierunku jego podbrzusza, ale on cofnął się i powiedział szybko: \* no dobrze, dobrze, zrobię to sam.

Pięć minut później miał na sobie swój zniszczony mundur. Poklepał kieszeń na biodrze, chcąc się upewnić, że cenna flaszka whisky jest na swoim miejscu. \*No i co? Na co czekasz? Muszę już iść. Daj

całusa.

Rzuciła mu się w ramiona. Objął ją czule, a ona przywarła do jego ust, próbując wsunąć język między jego wargi. On jednak odsunął ją stanowczo i klepnął po pośladku. \* Ej, wstyd moja panno! Takie rzeczy o tej porze?

Potem wyszedł z jaskini w oślepiające słońce poranka, słońce kolejnego dnia wojny na Malcie. Pylista droga między resztkami zrujnowanych domów wiodła do Wielkiego Portu. Roilo się na niej od ludzi. Marynarze z ekip roboczych w spodniach na szelkach, białych czapczkach zsuniętych na tył głowy i z papierosem za uchem kręcili się między umundurowanymi marynarzami. Ci z pewnością wyruszyli dziś na morze. Christian automatycznie podniósł głowę i spojrzął w czyste, błękitne niebo. Gdzieś wysoko nad ich głowami krążył nieustannie mały, czarny punkt. \* Cholerny szkop \* mruknął Christian. Był to niemiecki samolot zwiadowczy, który pojawiał się codziennie o tej porze nad Wielkim Portem. Artylerzyści przeciwlotniczy dali już sobie spokój z próbami strącenia go, bo trzymał się zawsze poza ich zasięgiem. Teraz pewnie niemiecki łącznościowiec nadawał przez radio meldunek na Sycylię z najnowszymi wieściami o ruchach w porcie.

Bomby na Rzym \* głosił napis na ścianie zbombardowanego budynku.

\* Aj, zbombardujcie ich wszystkich! \* Christian mruknął pod nosem.

\* Niech i ten cały papież posmakuj e trochę tego, co my tu mamy na co dzień.

Zatrzymał się, przepuszczając maszerujący z naprzeciwka oddział marynarzy, którzy dźwigali na plecach duże, białe worki. Przewodzący im starszy bosman był na pierwszy rzut oka starym wygą. Spojrzął spod oka na Christiana i krzyknął: ~No dobra, chłopcy, ruszcie się trochę. Wyciągnijcie te nogi \* klejnoty wam z portek nie wypadną. A jak wypadną, to za wami pozbieram. Pamiętajcie, że z was porządni żołnierze z szylingiem dniówki, nie to, co ci biedni dokersi, co to dostają tyle samo na tydzień i to, co im się uda zwędzić. Na prawo patrz! \* Stary bosman zasalutował z rozmachem. Christian mrugnął do niego. Znał ten typ starych wyjadaczy. Bosman mrugnął w odpowiedzi.

Przepuścił zdyszanych marynarzy i przeszedł na drugą stronę drogi, do budynku dowództwa. Przy obłożonym workami z piaskiem wejściu wyciągnął przepustkę i pokazał ją uzbrojonym wartownikom, a potem wszedł do środka.

Niemal natychmiast skierowano go do biura dowódcy, rosteo i bezpośredniego w obyciu komandora w białym mundurze z rzędami kolorowych wstążeczek na wydatnej piersi. \* Aha, to pan, Christian. Proszę, niech pan siada i ulży trochę nogom.

\* Dziękuję \* Christian usiadł.

Komandor wyciągnął rękę ze srebrną papierośnicą nad wielkim, zawalonym papierami biurkiem: \* Życzę pan sobie papierosa?

\* Nie dziękuję, sir. Staram się zachowywać zdrowe zwyczaje. Komandor spojrzął na zaczerwienione oczy

Christiana i powiedział:

\* Jak nie to, to co innego. Wszyscy tu piją. Kochana gorzałka to jedyna rzecz, której na Malcie nie brakuje. \* Uśmiechnął się i od razu przeszedł do sprawy: \* Mamy wiadomość z Londynu, że powierzono wam ważną tajną misję.

Oczy Christiana załśniły: \* Przyszedł rozkaz rozpoczęcia? \* zapytał niecierpliwie.

\* Niezupełnie \* odparł dowódca.

\* Och \* Christian poczuł rozczarowanie.

\* Proszę posłuchać. Dziś w nocy planujemy przybycie konwoju na Maltę. Oczywiście Niemcy już go namierzili. Wiedzą dokładnie, co wypływa z Gibraltaru dzięki tym piekielnym południowcom, którzy im o wszystkim donoszą. Tak czy owak, dotychczas ten konwój miał sporo szczęścia. Zatonął tylko jeden statek handlowy i jeden niszczyciel z eskorty. \* Kapitan umilkł i spojrzał w twardą, okoloną brodą twarz Christiana tak, jakby czegoś w niej szukał.

Christian skinął głową, zastanawiając się gorączkowo, co to wszystko ma wspólnego z nim. Po chwili komandor wyjaśnił sprawę.

\* No więc wiecie zapewne, że Niemcy mają już na Sycylii jakieś trzysta samolotów i w przeciwieństwie do Włochów nieustannie atakują. Sądzą, że uda im się zmusić nas do kapitulacji, jeśli nie będą dopuszczać do nas konwojów z dostawami żywności, więc je bombardują. Jestem pewien, że zrobią wszystko, żeby najbliższy konwój namierzyć przy wejściu do portu. Dziś w nocy cały system obronny ma być w stanie najwyższego alarmu. Spodziewamy się ataku. A teraz, kapitanie, dostaliśmy wiadomość z dowództwa, że pana statek Black Swan \* po jego twarzy przemknął cień uśmiechu, jakby dobrze wiedział, pod jaką nazwą znany jest powszechnie BlackSwan \* nie może w żadnym razie zostać uszkodzony. Na godzinę przed wejściem konwoju do portu musi pan, Christian, wypłynąć w stronę Gibraltaru. Tam będziecie bezpieczniejsi. Zdążycie przygotować wszystko do wieczora?

Christian skinął głową. \* Oczywiście, sir. Może nie jest już najnowszy ten mój BlackSwan, ale trzyma formę.

\* To dobrze \* w głosie komandora słychać było ulgę. Najwyraźniej dowództwo w Londynie dreptało mu po piętach. Wstał. Był to znak, że spotkanie dobiegło końca.

Christian wstał także i włożył czapkę, żeby zaszalutować. Komandor wyciągnął rękę. \* Życzę powodzenia, Christian, jakiegokolwiek zadanie ma pan przed sobą.

\* Dziękuję, sir. \* Zaszalutował, odwrócił się i wyszedł.

W porcie pełno było marynarzy, robotników cywilnych i artylerzystów przeciwlotniczych. Panował tu nieopisany harmider: łoskot stalowych lin okrętowych, oszalałe, szarpiące nerwy klekotanie nitownic. Przygotowywano port na wejście kolejnego cennego konwoju i porządkowano zniszczenia po nalotach ostatniej nocy.

Christian przepychał się wśród ciżby, pokonywał wciąż jeszcze dymiące sterty zgliszcz, przeklinając, kiedy ktoś stanął mu na drodze; spieszył się. Skręcił na keję i zobaczył go \* swój Mucky Duck.

Zawsze kiedy patrzył na swój holownik, czuł się niezmiennie zaszokowany: nieremontowany od wielu miesięcy, cały upstrzony plamami rdzy, z wysokim kominem, z którego obłaziła farba maskująca, Black Swan sprawiał wrażenie wyłowionego gdzieś z dna morza wraku. Brakowało tylko ociekających wodą wodorostów i pąkli przyczepionych do kadłuba.

\* Ale z niego stary twardziel \* powiedział do siebie, wchodząc na cuchnący ropą, olejem i rdzą pokład. Wytrzymał wiele sztormów, te jego sześćset ton. A silnik pociągnąłby ważący pięć tysięcy ton frachtowiec.

Stary bosman Thirsk czekał na zaśmieconym pokładzie. Zamaszycie zsalutował swemu kapitanowi, próbując jednocześnie złapać w nozdrza zapach jego oddechu. „Kiedy stary jest zalany, to prawdziwy z niego sukinsyn”, mówił innym oficerom po służbie. „Ale jak przyjdzie po kilku głębszych, to da się z nim wytrzymać”.

\* Dzień dobry, sir \* odezwał się Thirsk. \* Próbnny alarm?

Christian rozejrzał się na boki. Wiedział, że Włosi mieli wśród miejscowych swoich szpiegów. \* Wypływamy o pomocy, zanim do portu wejdzie konwój, ale trzymaj język za zębami. Po prostu przygotuj statek tak jak zwykle. Mamy zaopatrzenie, amunicję i wszystko, co nam potrzebne. Nie powiem ci na razie więcej. Idę do kabiny.

\* Aj, aj, kapitanie \* wrzasnął Thirsk i znów zsalutował z rozmachem. Mimo wyglądu Mucky Ducka, bosman Thirsk ze swą pomarszczoną twarzą i siwymi włosami nie poluzował ani na jotę marynarskiej dyscypliny na statku. Wśród załogi mówiono, że jest w królewskiej marynarce tak długo, że chyba musiał pływać jeszcze z samym Nelsonem. Oczywiście zaprzeczał temu, ale czasami, zwłaszcza po łyčku whisky Nelsons Blood zastanawiał się, czy nie mogłaby to być prawda... wydawało mu się, że żyje na morzu od zawsze.

Christian wszedł do „kabiny” \* metalowego boks, w którym mieściła się koja, stół i zniszczone skórzane krzesło, a w powietrzu unosiła się woń rdzy i tytoniu. Szybko przejrzał papiery i meldunki, które „Sparks”, jego oficer łącznościowy, położył na biurku. Rzucił okiem na mapę, choć znał tę część Morza Śródziemnego jak własną kieszeń. A potem pomyślał, że właściwie czas już na pierwszego drinka. W końcu była ósma trzydzieści rano. Właśnie wtedy, gdy pociągnął łyk ze swej wysłużonej srebrnej pierśiówki, przyszła mu do głowy nagła myśl: jak ma powiedzieć o tym Carze?

## Rozdział drugi

Była noc. Malta została całkowicie zaciemniona. W tej chwili zapewne większa część ludności wyspy i



stacjonujące wojsko znajdowało się pod ziemią, czekając aż rozpocznie się nalot. Lodowatobiałe światła reflektorów błędziły po atramentowym niebie nad wyspą. Zrobiło się zimno i Christian wtulił głowę w kołnierz niebieskiej, wełnianej kurtki, czując powiew morskiego wiatru na twarzy. Jeden z marynarzy robił coś na pokładzie, ubrany wciąż w lekką koszulę, nucąc pod nosem ciągle ten sam monotony refren piosenki: I've got spurs that jingle jingle, jingle... as I go riding merrily along.

Christian pokręcił głową z podziwem. To był jeszcze jeden z tych ludzi, którzy zostali powołani do służby „tylko na czas działań wojennych”, ale tak jak i inni z jego załogi \* przywykł do morza i czuł się na statku jak ryba w wodzie.

Przepływali właśnie przez wejście do Wielkiego Portu. Christian odwrócił się do Thirską, który stał za sterem.

\* Cała naprzód, szefie. Musimy być daleko stąd, zanim przyplynie ten cholerny konwój. Będą tu mieli dziś w nocy trochę fajerwerków.

\* Aj, aj, kapitanie \* mruknął Thirsk swoim twardym akcentem ze wschodniego wybrzeża i powtórzył rozkaz przez tubę. Silniki MuckyDucka zaczęły pracować głośniejsze i Christian poczuł jak pokład wibruje pod jego stopami. Skinął głową z zadowoleniem. Stara łajba nie wygląda na wiele wartą, pomyślał, ale ma jeszcze sporo werwy. Zaczęli szybko oddalać się od portu.

Przez chwilę Christian pozwolił, aby ogarnęły go wspomnienia z \* siejszego wieczoru. Tak jak się tego spodziewał, Cara źle przyjęła wiadomość o jego nagłym wyplnięciu. Najpierw płakała, a potem zaczęła się złościć. \* Dlaczego to robisz? \* krzyczała w swojej niezdarnej angielszczyźnie z płonącymi oczami i dramatycznie wyciągając ręce. \* Ty jesteś za stary. Dlaczego to robisz? \* Potem nagle rzuciła się na niego namiętnie: \* Kochaj mnie teraz. Choć... choć... szybko! \* i zaczęła niecierpliwie zdierać z niego ubranie. Była na nim, kiedy nagle coś się w niej przełamało, opadła na jego nagą pierś, łkając żałośnie, jak zrozpaczone dziecko.

Christian był twardym człowiekiem, ale wtedy ogarnęła go fala szczerego współczucia. Nie myślał już o swojej przyjemności, ale objął ją delikatnie brązowymi ramionami, głaszcząc jej włosy i próbując ukoić żal.

Po pewnym czasie przestała płakać. Patrząc mu w oczy w białym świetle syczącej latarni naftowej powiedziała całkiem prosto i pewnie, tak jakby mówiła o powszechnie znanej sprawie: \* Zabiją cię, wiem to. Zabiją cię, Christian.

\* Oczywiście, że nie \* odparł. \* Próbowali to zrobić w dwóch wojnach, a wciąż jestem na tym świecie.

Potrząsnęła głową z przekonaniem, jej kruczoczarne włosy opadły na szczupłą twarz, wciąż mokrą od łez.

\* Tak. Zabiją cię \* powiedziała wyzywająco.

Kiedy przygotowywał się do wyjścia, prawie na niego nie patrzyła. Dał jej ostatnie cztery szylingi bez pięciu centów. To niedużo, zdał sobie sprawę po chwili i odpiął z przegubu srebrny zegarek. Będzie mogła go zastawić, jeśli zabraknie jej pieniędzy, w okolicach portu było pełno małych lombardów. \*

Myślę, że jest wart jakieś dziesięć funtów \* powiedział wręczając go jej.

Wiedziała jak cenił sobie ten zegarek; obróciła go w rękę, żeby przeczytać wyrytą z tyłu dedykację. Wymawiała słowa wolno i z wysiłkiem: Dla komandora porucznika B.B. Christiana... od załogi H... M... S... Orion... czerwiec 1940.

To był prezent od załogi spod Dunkierki. Będąc w Londynie, podczas jednej z pijackich burd uderzyłjakiegoś admirałskiego sługusa obwieszzonego złotymi galonami prosto w nos. Nie pamiętał już nawet, o co poszło. Ale kosztowało go to jedną rangę i dowództwo niszczyciela Oriona.

Cara podniosła głowę znad zegarka i spojrzała, jak zawiązywał krawat. \* Teraz wiem, że nie wrócisz. \* Podeszła do krzesła, odwróciła je i usiadła demonstracyjnie twarzą do ściany. Nie odpowiedziała na jego pożegnanie.

Christian westchnął. „Życie jest czasem piorunsko ciężkie”, pomyślał. Ale ona da sobie radę, próbował się pocieszyć. Jest młoda i ładna. Znajdzie z pewnością jakiegoś mężczyznę, jeśli coś...

\* Sir\*jego rozmyślania przerwał głos Thirsk.

\* Co tam, szefie?

\* Tam, na prawej burcie... widzi pan?

Christian wpatrywał się przez chwilę w ciemność i nagle zobaczył \*daleka, niewyraźna czerwona tona na horyzoncie gasła i rozbłyskiwała na nowo. Widywał ten rodzaj tony już zbyt wiele razy w ciągu tej wojny. Wiedział aż za dobrze, co to jest. \* Konwój \* mruknął. \* Mają nieszczęśnika.

\* Na to wygląda, sir \* zgodził się Thirsk ponuro. \* I taki tam szaleje ogień, że szkopy pewno roją się przy nim jak pieprzone pszczoły przy miodzie.

\* Masz chyba rację, szefie \* wolno odpowiedział Christian. \* Chryste, co za piekielny bałagan, a dopiero co wypłynęliśmy z tej cholernejskiej wyspy.

Stary bosman dobrze wiedział, co ma na myśli kapitan, mówiąc te słowa. Płonący statek postawił go przed dylematem. Wszystkie konwoje na Maltę miały rozkaz nie zatrzymywać się, jeśli jeden ze statków zostanie trafiony albo będzie miał kłopoty z silnikami i zostanie w tyle. Dowódca konwoju wiedział, że jego pierwszym obowiązkiem jest dostarczenie zapasów na wyspę. Maruderzy musieli się martwić sami o siebie. Ale Mucky Duck nie był częścią konwoju. Christian mógł zrobić, w granicach rozsądku, to, co chciał. Mógł starać się ratować tych, którzy ocaleli, ale równie dobrze mógł płynąć dalej, prosto do Gibraltaru.

Christian zaklął cicho. \* Dobra, szefie \* powiedział w końcu, jakby był zły sam na siebie \* nie możemy dać się potopić chłopakom. Kieruj kurs na nich \* i ze złością kopnął barierkę.

Pół godziny później z ciemności przed nimi wyłonił się transportowiec, ogromna pływająca platforma, niebezpiecznie przechylona na lewą burtę. Załoga krzątała się po pokładzie, dogaszając pozostałości

pożaru wodą z gumowych węży.

\* Może wyciągną tego wraka, zanim dopłyną do Malty \* mruknął Thirsk, kiedy mijali transportowiec, kierując się w stronę coraz wyraźniej widocznej łuny. Na jej tle rysował się chwilami kontur płonącego statku, zapewne dużego frachtowca. Christian zastanawiał się, czy Mucky Duck zdoła doholować go do Gibraltaru.

Teraz było już wyraźnie widać kontur statku na horyzoncie. Płomienie wypalały pokład jak gigantyczna pochodnia. Zaczęli też pojawiać się pierwsi rozbitkowie. Było ich około sześciu, z twarzami czarnymi od oleju, przerażonych, wołających o pomoc. Christian pośpiesznie kazał spuścić sieci na bok statku i po paru minutach wszyscy byli na pokładzie, zabrani do kambuza, gdzie kucharz „Dirty Dick” rozdawał wrzącą herbatę z rumem. Torpedoed... torpedoed, powtarzali w kółko, jak słowa litanii, pijąc gorący napój, torpedoed.

Choć wiedział, że to niebezpieczne, Christian rozkazał zatrzymać statek, a sam wraz z Thirskiem wsiadł do motorowego pontonu i skierowali się do płonącego frachtowca. Statek wciąż był wysoko nad wodą, mimo olbrzymiego postrzępionego rozcięcia na dziobie, śladu po torpedzie, który zapewne był bezpośrednim powodem rozkazu „opuścić statek”. Przy odrobinie szczęścia byliby w stanie ugasić płomienie i wziąć go na hol.

Wraz z Thirskiem szybko wdrapali się po metalowej drabince, która była już nieźle rozgrzana. Człowiek w czapce oficera przyglądał im się z góry, jego twarz w krwawej poświacie pożaru wyglądała jak czerwona maska śmierci. W prawej ręce trzymał butelkę. \* Welkom ~~ powiedział. \* Wy, Engelsman, napijcie się ze mną?

\* Zalany w trupa \* mruknął Thirsk za plecami Christiana.

Christian podciągnął się, przeskoczył przez reling i pośpiesznie zameldował, jednocześnie tocząc spojrzeniem po płonącym takielunku i maszcie, który w każdej chwili mógł się zawalić. \* Christian z holownika marynarki królewskiej HMS Black Swan. Czy mogę pomóc?

Gruby Holender, około czterdziestki, potrząsnął głową. \* Już nie \* powiedział z odcieniem stanowczości. Pociągnął spory łyk Genevera z butelki.

\* Pozwoli mi pan rzucić okiem? \* nalegał Christian. Nie mógł znieść, kiedy jakiś statek szedł na zmarnowanie.

\* Nein. Patrz. \* Holenderski kapitan zamachał władczą ręką i powiedział: \*Kom.

Chroniąc twarze przed żarem przeszli razem przez stertę gruzu i spojrzeli w dół, na zejściówkę. Spod spodu dobywały się głośnie bulgoty; Christian widział, że to wielkie bańki powietrza ze zniszczonego luku towarowego. Zeszli w dół po żelaznych schodkach. Woda sięgała im do kolan. Na powierzchni w te i z powrotem bujały się bochenki chleba, puszki i ziemniaki. Wśród tego bałaganu, podtrzymywany przez gumowy kapok, unosił się kucharz. Był bez głowy. \* Dobry kucharz \* powiedział Holender, kiedy brodząc w wodzie obchodzili ciało. \* Najlepszy, jakiego znałem od czterdziestu lat na morzu. \* Dotknął warg

czubkami palców, w geście konesera: \* Co za knedle z wątróbką...

Thirsk pokręcił głową. Ruszyli, brnąc dalej. Kot okrętowy leżał zwinięty w kłębek na unoszącej się po wodzie skrzynce. Wyglądało, jakby spał, ale łapy miał całe we krwi. Był martwy. Nie żyli również dwaj marynarze, których siła torpedy musiała pchnąć w metalową ścianę z takim impetem, że wciąż w niej tkwili, tworząc groteskową ludzką rzeźbę: \* Boże miłosierny! \*wykrztusił Thirsk, głośno przełykając ślinę.

Nagle frachtowiec zakołysał się gwałtownie. Usłyszeli wściekłe syczenie wydobywającej się skądś pary. Christian wiedział co to znaczy. Woda zalała maszynownię. \* Chodźmy \* powiedział \* wychodzimy stąd. Już nie mamy szans. \* Zaczęli przedzierać się z powrotem na pokład. Kapitan z rozmachem łyknął końcówkę swojego ginu i rzucił butelkę do wody obok martwego kucharza. \* Co za knedle z wątróbką... \* wybełkotał żalem.

Na pokładzie płomienie sięgały coraz wyżej. Oprócz hałasu uchodzącej pary i bulgotu olbrzymich bąbli powietrza Christianowi wydało się, że słyszy daleki warkot silnika samolotu.

\* Chodźmy, kapitanie. Przez burtę. Musimy się śpieszyć.

Gruby Holender stanął w miejscu i z upartym wyrazem twarzy pokręcił głową: \*Nein, nie idę.

\* Co się stało? \* wysapał Christian. \* Nie masz tu nic do roboty.

\* Od 1940 już trzy moje statki poszły na dno od torped \* powiedział Holender z uporem. \* Po co mam jeszcze pływać? Pójdę na dno razem z tą starą łajbą.

\* Nie bądź pioruńskim frajerem \* zniecierpliwiał się Christian. Dźwięk silników samolotowych słychać było coraz bliżej.

Holender skrzyżował ręce na swej wydatnej piersi. \* Nie, to moje ostatnie słowo.

Christian nie tracił czasu. Skinął głową na Thirską, który stał za Holendrem. Thirsk wiedział, co ma robić. Ze specjalnej kieszeni ukrytej w nogawce spodni wyciągnął kawałek ołowianej rury, który zawsze nosił przy sobie (lata służby w obcych portach nauczyły go być zawsze w pogotowiu). Z całej siły uderzył nim w łysągłową Holendra, który osunął się na ziemię. Parę minut później obydwaj przenosili go do pontonu, kiedy zaczęły spadać pierwsze wrogie bomby oświetlające, zamieniając noc w dzień.

## Rozdział trzeci

Junkersy namierzyły ich o świcie. Niebo nabrało już koloru krwistej czerwieni, a na horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie słońca, kiedy trzy z nich pojawiły się z północy, lecąc nisko, jakby niechętnie, aby podnieść się do góry.

Stojący na mostku Thirsk nacisnął alarm. Na całym statku rozbrzmiał ostrzegawczy sygnał. Ci, którzy nie

byli na służbie, wyskakiwali w pośpiechu ze swoich koi. Natychmiast zaroilo się od ludzi biegnących na stanowiska, zakładających w biegu hełmy. Artylerzyści obracali działka na spotkanie wroga.

Christian podniósł lornetkę do oczu. W jasnych, skalibrowanych kręgach soczewek pojawiły się bombowce \*junktorsy 88. Leciały jeszcze w szyku. Za chwilę, wiedział to, rozbiją szyk i podejda do indywidualnych ataków. Pytanie brzmiało: z której strony uderzą?

\* Mają torpedy? \* spytał niecierpliwie Thirsk stojący za sterem.

\* Nie \* głos Christiana był zachrypnięty.

\* Dzięki Bogu \* odetchnął bosman. Christian wiedział dlaczego. Mieli większe szanse, żeby uniknąć bomb. Torpedy to całkiem inna sprawa.

\* Lecą! \*krzyknął. \*Złamali szyk!

Poniżej artylerzyści obrócili swoje Chicagopianos \* masywne bloki ciężkich karabinów maszynowych. W napięciu śledzili każdy ruch dwusilnikowych bombowców.

Pierwszy junkers wyraźnie kierował się na nich. Zdawało się, że samolot dotyka powierzchni wody, wzbudzając ją strumieniem zaśmigłowym w gniewną falę. Christian zacisnął pięści, próbując pohamować rosnące napięcie. Junkers zbliżał się szybko i za chwilę zacznie się walka. Christian znał ich taktykę. Dolatując do statku samolot uniesie się w górę na kilkaset stóp, żeby móc rzucić bomby. Musi to zrobić, w innym razie wysadziłby się w powietrze. Wtedy właśnie artylerzyści będą mieli jedyną szansę strącić sukinsyna.

Christian mógł dostrzec teraz każdy szczegół bombowca: kadłub pokryty maskującą farbą, niebieski jak niebo spód, biało\*czarny krzyż maltański na boku, nawet ciemny kontur pilota w lśniącej kabinie.

\* Sukinkot, podnosi się! \* krzyknął Thirsk podnieconym głosem. Christian rzucił spojrzenie na najbliższe działko. Artylerzysta obracał swój Chicago piano. Był gotowy do strzału. \* Teraz \* krzyknął, choć wiedział, że go nie usłyszy. Nagle ryk podwójnego silnika junkersa wypełnił cały świat. Ale zanim strzelec zaczął salwę, wystrzelił Sparks, który obsługiwał „wyrzutnię Holmana". Holman był żartem marynarki. Działał na parę z maszynowni i używano go jako wyrzutni granatów. W spokojnych czasach marynarze zabawiali się, przerzucając ze statku na statek gorące ziemniaki. Ale teraz Sparks posłużył się nim na poważnie.

Z otwartymi ustami Christian wpatrywał się, jak kręcąca się szybko ciemna kula granatu pędzi w stronę wrogiego samolotu. Na dole strzelcy otworzyli ogień. Pociski mknęły w stronę junkersa jak błyszczące piłki golfowe. Ale granat przebił naboje. Wściekłym rozbłyskiem żółto\*czer\*wonego ognia eksplodował tuż pod prawym silnikiem junkersa. Jak wielki, metalowy liść skrzydło samolotu oderwało się od kadłuba i zaczęło spadać do morza. Za błyszczącą osłoną kabiny widać było wyraźnie szaleńcze próby pilota, żeby zapanować nad maszyną. Na próżno. Samolot spadał w dół. W następnej chwili uderzył o taflę wody i natychmiast zanurzył się w głębinę. Nikt nie wy dostał się na powierzchnię.

Urywane okrzyki i wiaty podniosły się z pokładu Mucky Ducka, a Thirsk chrząknął: \* Jeden trafiony, ale

dwa następne... \* Resztę słów zagłuszył świst lecących pocisków. Drugi bombowiec nadlatywał od strony prawej burty, zrzucając bomby.

\* Lewo na burcie! \* krzyknął Christian instynktownie, a tymczasem bomby zaczęły sypać się z nieba jak grad.

Jak na swój wiek Thirsk zareagował z zadziwiającą szybkością. Jednym szarpnięciem obrócił ster dookoła. Mucky Duck niebezpiecznie przechylił się w gwałtownym skręcie. Jakies pięćdziesiąt stóp od burty bomby uderzyły w wodę. Wielkie gejzery pieniającej się, wirującej wody wytrysnęły w górę. Jednocześnie szrapnel przeleciał przez wanty z groźnym sykiem i maszt radiowy runął na pokład w fontannie błękitnych isker. Jeden z członków załogi zawył z bólu i stał z wyrazem zdziwienia wpatrzony w swoje prawe ramię, z którego tryskał jasnoczerwony strumień krwi.

Bombowiec gwałtownie wzbił się w górę, a za nim buchnął wściekły strumień pocisków. Junkers najwidoczniej wyczerpał zapas bomb i kierował się teraz do bazy na Sycylii. Ale w powietrzu był jeszcze trzeci wróg. Christian miał nieprzyjemne uczucie, że ten pilot przypuści atak ze wszystkich sił.

Niemiecki pilot leciał nad samą powierzchnią wody. Pociski z furią obiegiły jego maszynę. Christian widział go dość wyraźnie. Atak na tej wysokości musiał kosztować go sporo odwagi. Ale wiedział również, że Niemiec był zdecydowany zmieść Mucky Ducka z powierzchni wody i zemścić się za śmierć swych towarzyszy.

Stojący za sterem Thirsk zeszywniał w napięciu. Próbował odczytać zamiary niemieckiego pilota. Na razie płynął regularnym zygzakiem, ale za chwilę, kiedy atak będzie już blisko, zmieni rytm. Tylko kiedy?

Teraz junkers był oddalony od nich tylko o jakieś dwieście jardów. Zaczął się podnosić. Przygotowywał się do zrzucenia bomb. Działa słały ogień z pokładu, celując w błękitny brzuch bombowca. Metalowe pociski odskakiwały od niego jak stalowy grad. Ale wciąż leciał w ich stronę. \* Teraz! \* krzyknął Thirsk i zakręcił sterem z całej siły.

Mucky Duck zatrzęsł się i przechylił tak gwałtownie, że Christian musiał chwycić słupek, żeby się nie przewrócić.

W następnej chwili z nieba sypnął się grad bomb. Christian stał z oczami wytrzeszczonymi jak obłąkaniec i patrzył na zbliżające się pociski. Jeden za drugim wybuchły gwałtownie, wzniesając fontanny wody. Samolot mignął nad holownikiem jak gigantyczny metalowy jastrząb ciągnący za sobą swój złowieszczy cień.

Christian zawsze potem utrzymywał, że widział, jak bomba spadała na statek. \* Padnij! \* zdołał krzyknąć i sam przywarł do pokładu wiedząc, że nikt go nie usłyszy, ale robił to instynktownie.

W napięciu widział, jak Thirsk rozpaczliwie wykręca ster, żeby uniknąć lecącej wprost na nich bomby. Potem przez moment rozbłysło oślepiające, białe światło, które w mgnieniu oka zmieniło kolor na krwistoczerwony. Pokładem szarpnął potężny wstrząs. Wybuch zepchnął mu hełm do tyłu i przez chwilę poczuł okrutny ból w uszach. Pomyślał, że pękły mu bębniaki. „Nie puszczaj,” rozkazał sobie, gdy Mucky

Duck gwałtownie szarpnął i przechylił się na bok. „Trzymaj się Christian, do cholery”. Poczł teraz, że kolana uginają się pod nim. Szaipnął się do przodu, złapał słupek i przywarł do niego, jak bokser słyszcy liczenie sędziego na ringu i ostatkiem sił broniący się przed upadkiem na ziemię. Po chwili samolot zaczął się oddalać i wtedy ogarnęło go nagle uczucie błogiego spokoju. Strzały umiikły i wokół zaległa cisza przerywana tylko chrapliwym postękiwaniem silnika statku.

\* No to mamy mały śmietnik, sir \* Thirsk pociągnął nosem, jakby doszedł go jakiś niemiły zapach.

\* Cholerna racja \* Christian rozejrzał się. Po pokładzie walały się powykręcane kawałki metalu i najróżniejsze szczątki. Bomba przeszła przez górny pokład, eksplodowała w środku, wyrwijąc wielką dziurę w dziobie, tuż nad linią wody. Mucky Duck nabrał już sporo wody. \* Jak tam pompa? Nawaliła? \* wskazał na ośmicalową pompę z napędem benzynowym.

\* Nie, sir \* odpowiedział Thirsk. \* Wygląda mi na całkiem dobry, bristolski sprzęt.

\* Dzięki Bogu, Więć lepiej zabierzmy się za tą dziurę, zanim nabierzemy więcej wody. Zatrzymaj silniki.

\* Ale, sir, jeśli zatrzymamy teraz silniki, to zrobią z nas zaraz kaczą zupę\* próbował oponować Thirsk, a jego pomarszczona twarz przybrała wyraz zafrasowania.

\* Już jest z nas kacza zupa\*ponuro zauważył Christian. \* Szkopy i makaroniarze mogą sobie przylecieć i zdmuchnąć nas, kiedy im się żywnie podoba. No już, zabierajmy się do roboty.

\* Aj, aj, sir \* odpowiedział Thirsk bez zbytniego entuzjazmu. Wiedział dobrze, co znaczy robić łatę w podziurawionym kadłubie \* wiele godzin piekielnie ciężkiej pracy.

Pięć minut potem Mucky Duck łagodnie kołysał się na falach, stojąc w miejscu. Ci, którzy nie byli bezpośrednio włączeni w reperację dziury, stali teraz na straży. Przy każdym dziale dyżurował marynarz, a ci, którzy sprawowali wartę, mieli w ręku karabiny. Nie stanowiły one co prawda wielkiej ochrony w razie ataku wrogiego samolotu, ale sprawiały, że strażnicy obserwujący każdy kawałek błękitnego czerwcowego nieba mieli uczucie, że nie są bezużyteczni.

Ośmicalowa pompa warkotała miarowo, a grupa ludzi bez butów i z podwiniętymi spodniami, jak dzieci bawiące się na brzegu rzeki, zaczęła kolejno umocowywać drewniane deski w poprzek zięjącego w kadłubie otworu. Zajmowało to wieki, żeby każdą deskę zamocować specjalnymi kawałkami metalowego drąga, który z jednej strony miał gwint, a z drugiej był zagięty i wyglądał jak kula inwalidzka. Kiedy deska była już na swym miejscu, przychodził czas na „deser”: uszczelniano konstrukcję kawałem ściśle zwiniętego płótna.

Minęła godzina. Pod pokładem robiło się gorąco i wszyscy pracowali teraz rozebrani; piersi i ramiona błyszcząły im od potu, jakby pokryte warstwą wazeliny. Dziura została załatana niemal w połowie, a w ładowni już właściwie nie było wody. Za plecami pracujących marynarzy Thirsk razem z Inżynierem \* niskim, pulchnym Szkotem z Glasgow, zwanym Mac'iem, pracowali nad uruchomieniem silnika. Kolejne próby nie przynosiły rezultatów. Ale Mac patrzył na to ze spokojem, w rogu ust trzymał pustą fajkę i cierpliwie próbował od nowa. W końcu z silnika wydobyło się pierwsze ochryple stęknięcie. Uplnęło

trochę czasu, kiedy znów rozległo się jakby astmatyczne poka\*sływanie. Minuty płynęły. Nagle soczysty, donośny bulgot wybuchł z pełną siłą i lśniąco stalowe cylindry zaczęły radośnie podskakiwać w górę i w dół.

Christian był zadowolony, że wszystko przebiega zgodnie z planem, postanowił więc zostawić brygadę pracujących żołnierzy i wyjść na pokład.

Dochodziło południe i wiedział, że jego ludzie będą zaraz głodni. Pracowali albo trzymali straż przez sześć godzin bez przerwy. Zawołał do kucharza: \*Przygotuj trochę kanapek z wołowiną i herbatę. Tylko szybko. Silnik pracuje i zaraz płyniemy dalej.

\* Aj, aj, sir \* odchrząknął radośnie kucharz i zniknął w kambuzie. Chri\*stian miał przemożną ochotę pociągnąć łyk ze swojej piersiówki, ale pomyślał, że nie zrobi tego przy załodze. To oni potrzebowali drinka, a nie on. W zamian za to przeszedł się po pokładzie, zatrzymując się na krótką rozmowę z tym i owym albo rzucając parę słów pochwały. Jak zawsze był pod wrażeniem młodego wieku swoich marynarzy. Jeszcze parę miesięcy temu byli odpicowanymi żółtodziobami w płóciennych czapeczkach i jedwabnych szalikach nonszalancko powiewających na sztybach. Interesowały ich głównie „panienki, obrazy i przybytki rozrywek”, jak sami to ujęli. Teraz miał przed sobą prawdziwych mężczyzn, szczupłych i silnych, pełniących służbę tak, jakby od lat pływali na statku. Czuł, że są z siebie dumni i pomyślał, że nigdy nie znieśliby takich warunków w mieście, dawno by już pewnie strajkowali.

Kucharz wyносił właśnie wielką menażkę z herbatą i wiaderko wypełnione kanapkami, kiedy zauważyli go: małą czarną kropkę na horyzoncie, która rosta z każdą chwilą i kiedy była wystarczająco duża Chri\*stian nie potrzebował podręcznego atlasu samolotów, żeby wiedzieć co to jest. \* Włosi \* oznajmił ponuro. \* Cholerny makaroniarski samolot rozpoznawczy!

#### Rozdział czwarty

Dwieście mil dalej, po drugiej stronie Morza Śródziemnego Hard i jego ludzie podnieśli głowy z piasku. Patrzyli jak Fiesler Storch zawraca. Nie zauważył ich. Hard odetchnął z ulgą. Jeszcze raz im się udało. Przez chwilę myślał już, że są do odstrzału. Wstał, strzepując piasek z kolan i ogłosił: \* Dobra, chłopcy, stary fryc poleciał.

\* Chyba przysnął \* zauważył gwardzista Smith. \* Próźniak na paradzie z tego fryca. Powinien nas od razu zauważyć w środku tego pustego zadupia.

\* Donieś na niego \* zasugerował sierżant Williams. \* Powiedz Rom\*mlowi, żeby go wyrzucił. \* Ten tani żart rozładował napięcie i wszyscy się roześmiali.

Byli teraz jakieś pięć mil na południe od nadbrzeżnej drogi, jeszcze daleko od oblężonego Tobruku. Hard wiedział, że już niedługo zbliżą się do głównych pozycji niemieckich. Domyślał się, że gippos zameldowali



o swojej porażce; Niemcy będą się ich spodziewać i wzmocnią strażę.

Wytarł rękawem pot z twarzy. Było gorąco jak w piecu. Niebo nad nimi miało kolor dymu z ogniska. Najmniejszego podmuchu wiatru. Hard przysłonił oczy dłonią i spojrztał południowe słońce. Wyglądało jak miedziany pieniążek pobłyskujący w głębi mętnego stawu. Nagle wstrząsnął nim dreszcz. Wiedział, co znaczą wszystkie te zjawiska. Mieli kłopot \* i to tym razem nie ze strony Niemców, ale przyrody. \* No dobra, chłopcy, zróbmy sobie herbaty\* powiedział ledwo poruszając spierzchniętymi ustami. \* Chyba będzie nam potrzebna.

Mężczyźni, wszyscy starzy wyjadacze, wiedzieli co to znaczy. Ociężale i sztywno zabrali się do przygotowań. Inni usiłowali oddać mocz, ale po wielu godzinach trzęsienia się w Dodge'ach był to dość bolesny proces.

Hard pozwolił im na odpoczynek, sam zaś zabrał się za studiowanie mapy Tobruku i prowadzących do niego dróg. Nie mógł zdecydować, w jaki sposób najlepiej przedostać się przez niemiecki front. Ostatecznie postanowił: wszystko po kolei. Przeprowadzą się przez nadbrzeżną drogę i zaczną stamtąd. Nie miał wyboru.

\* Herbatka ~ głos Williamsa przerwał jego rozważania.

\* Dzięki \* odpowiedział Hard i wziął łyk wrzącego napoju. W takich chwilach kubek „herbatki pana majora” smakował bardziej od najlepszej klasy szampana.

\* O czym pan myśli, sir? \* zapytał Williams, kiedy stali tak popijając gorący napój.

\* Zastanawiam się, jaki jest teraz następny ruch \* odparł Hard. Williams spojrztał na niebo. \* Cóż, sir, ta sakramencka katastrofa

może przynieść błogosławiony skutek. \* Niebo nad nimi ciemniało.

Hard przygryzł wargi w zamyśleniu. \* Tylko skąd mamy wiedzieć, że nie rzuci nas na szwabskie pozycje?

\* Musimy zaryzykować, sir. Już parę razy się udało.

\* Pewnie masz rację \* odparł Hard. \* No dobra, jedziemy dalej. Powiedz Dickiemu Birdowi, żeby się teraz trzymał tuż za nami. Nie chcę nikogo stracić. Nie musi trzymać dystansu konwoju.

\* Tak jest, sir.

Chwilę później wszyscy byli już na nogach. Każdy w napięciu i z lękiem, bo wiedzieli, że wjeżdżają do obozu wroga i jeśli Niemcy dostaną ich żywych, nie będą okazywać miłosierdzia po tym, co zrobili Egipcjanom. Zostaną rozstrzelani z zimną krwią...

Burza piaskowa zaczęła się pół godziny później. Słońce nagle znikło. Poryw wiatru uderzył w prowadzącego Dodge'a jak cios gigantycznej pięści. Pojazd zachwiało się i siedzący za kierownicą gwardzista Smith przez chwilę myślał, że silnik zaraz zgaśnie. \* Dobra \* Hard próbował przekrzyknąć ryk wiatru. \* Mamy go. Jedziemy tak długo, jak tylko zdołamy poruszać się naprzód. \* Spojrztał przez ramię

do tyłu. Dicky

Bird w drugim Dodge'u był tuż za nimi. Światła miał zapalone. Hard kiwnął głową z aprobatą.

Posuwali się wolno na najniższym biegu. Hard siedział z przodu, wpa\*trując się uważnie w coraz gęstszą żółta mgłę i czekając w napięciu na pierwsze znaki nieprzyjaciela.

Z minuty na minutę siła wiatru rosła. Pierwszy Dodge co chwila chwiał się pod uderzeniami wiatru, które były tak mocne, że groziły przewróceniem pojazdu. Gwardzista Smith zastygł w wysiłku, ze strużkami potu spływającymi po twarzy, z całej siły zaciskał ręce na kierownicy, aż mięśnie ramion pulsowały mu z napięcia. Wciąż sunęli do przodu.

W pewnej chwili zobaczyli niewyraźne światła samochodu i Hard pomyślał, że pewnie zbliżają się do drogi. Zmienił kurs i skierowali się bardziej na północ, jadąc teraz w stronę Tobruku.

Dziesięć minut później gorące powietrze chłostało ich z taką furją, że nie mogli już jechać dalej. Wiatr dochodził do stu mil na godzinę. Piasek bił w twarz jak chmura rozgrzanych sztyletów, zaczęli krztusić się i jęczeć z bólu. \* Trzymajcie się czegoś \* ryknął Hard. \* Nie dajcie się oderwać... jeśli wywieje was na pustynię, to zginiecie... nigdy was nie znajdziemy... \* nie skończył. Ostry, gorący podmuch wyrwał mu słowa z ust.

Oddychanie robiło się coraz trudniejsze. Wyjący, piekielny tuman wirującego piasku zdawał się wciskać do płuc. Kaszleli, rozpaczliwie łapiąc powietrze jak astmatycy. Nad przyciśniętymi do samochodu, przerażonymi żołnierzami rozpętał się dziki zawodzący lament. Ten wiatr przebył tysiąc mil, z samego serca Sahary. I pragnął ofiar. Wciąż na nowo miażdżył ich słabe ciała swoją potworną, gorącą pięścią.

Tylko raz, w czasie lekkiego przygaśnięcia zażartej burzy, Hard podniósł głowę i próbował rozejrzeć się zza swoich pokrytych piaskiem gogli. Przez mgnienie oka miał wrażenie, że coś dojrzał, choć może bardziej w swojej wyobraźni niż w rzeczywistości. Po chwili zajadły wiatr znowu uderzył w nich z pełną mocą. Hard szybko pochylił głowę i z całej siły przywarł do jakiejś wystającej części samochodu, a wichura znów smagała niemiłosiernie, chcąc go zmusić do poddania.

Burza szalała po pustyni, jęcząc i wyjąc dziko, jakby jakieś okrutne bóstwo wydało rozkaz, aby zmieść tych wątłych śmiertelników z powierzchni ziemi. Może to kara za to, że zuchwale wdarli się do jego ognistego królestwa...

A potem Khamsin nagle ucichł, tak samo niespodziewanie, jak się pojawił. Szaleńcze wycie zmieniło się w łagodne zawodzenie, a po chwili wiatr całkiem ucichł, pozostawiając po sobie jedynie echo.

Ludzie Harda jak ślepcy wyczołgivali się z samochodu, wydobywając się spod warstw ciepłego piasku. Hard przetaił ręką gogle. Rzucił okiem na gwardzistę przy kierownicy. Jego ciało było całkiem pokryte piachem. Zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Na twarzy miał czerwone rozcięcie. Potrząsnął głową i usiadł.

Pustynia wyglądała teraz inaczej z powierzchnią wzburzoną przez wicher. Pokonując sztywność karku,

obejrzał się za siebie. Drugi Dodge stał za nimi. Ludzie wyczołgali się z niego, jakby byli potwornie zmęczeni. Otrząsali piasek z mundurów. \* Sierzancie Williams \* zawołał \* wszyscy są na... \* przerwał nagle.

Jakieś dwadzieścia jardów na prawo stał zasypany piaskiem jeep. Był to volkswagen ze znakiem palmy i swastyką\* emblematem Afrika Korps Rommla.

\* Wielki Boże! \* wykrztusił Williams, który w tej samej chwili zauważył wrogi pojazd. \* Szkopy!

Zapomniał o pokrywającym go piachu i szybko sięgnął po pistolet maszynowy. W tej samej chwili Hard wyciągał swojego kolta 45. Pasażerowie otwartego jeepa próbowali właśnie wydostać się spod piachu na zewnątrz. Hard wyskoczył z Dodge'a. Razem z Williamsem rzucili się, brnąc przez świeży piach w tamtą stronę. Z jeepa wyłoniła się właśnie charakterystyczna szpiczasta czapka żołnierza Afrika Korps. \* Hande hoch! \* krzyknął Hard, podczas gdy Williams osłaniał go pistoletem.

Niemiec potrząsnął głową, zsypując z niej piach. Wydał stłumiony okrzyk, kiedy ich zobaczył. \*Heinz\* powiedział niewyraźnie \* Tommies!

Mężczyzna obok niego wyglądał na równie zaskoczonego, kiedy oczyścił twarz z piasku i zobaczył dwóch Anglików stojących naprzeciw

nich z wyciągniętą bronią. \* O, jasny szlag... \* zaklął po niemiecku i podniósł ręce do góry.

\* Weź ich papiery i broń \* rozkazał Hard. Jego myśli krążyły gorączkowo wokół nowego planu, który zaczynał formować się w jego głowie.

\* Wyłazić szwaby, no już \* rzucił w ich stronę Williams i potrząsnął pistoletem. O ile nie rozumieli angielskiego, to groźnie skierowana w ich stronę lufa pistoletu powiedziała im wszystko. Pośpiesznie wysiedli z volkswagena, Williams obszukał ich, a inni żołnierze podeszli, żeby zabrać im broń.

Pięć minut później Hard wiedział o nich wszystko, co chciał. Zajmowali się liniami elektrycznymi w siedzibie Rommla, która znajdowała się dziesięć kilometrów stąd. Byli właśnie w drodze do jakiejś awarii, a co najważniejsze \* znali hasło dnia. Ku zaskoczeniu wszystkich brzmiało ono po prostu Maus na odzew Mickey. Kiedy to usłyszeli, Williams prychnął: \* Swojego czasu znałem różne durne hasła, ale żadne, cholera, nie dorasta do pięt Micky\*Mouse. Hard zgodził się z nim w duchu.

\* Dobra, chłopcy. Teraz powiem wam, co robimy. \* Hard rzucił jeszcze okiem na dwóch przygnębionych więźniów, którzy osunęli się na piasek obok jeepa pod czujnym okiem jednego z żołnierzy. \* Jesteśmy jakieś pięć mil od granic Tobruku \* o tam \* wskazał ręką smugę dymu na horyzoncie, która świadczyła o tym, że miasto znów było bombardowane. \* Jesteśmy tuż przy niemieckich liniach. Chcę użyć tych tam dwóch fryców, żeby nas przewieźli na drugą stronę, jak zapadnie zmrok.

\* Sądzi pan, że się zgodzą? \* zapytał Williams z lekkim niepokojem. \* Wyglądają mi na niezłych drani.

\* Będą grzeczni, jak te lale\*zapewnił go Hard z zaciętą determinacją, bo ja będę siedział za nimi w jeepie.

\* Jeśli puszcza farbę, już nie żyją. Poza tym obiecałem, że ich wypuścimy, jak tylko uda nam się przejść

niemieckie linie.

\* Wiem, że mamy hasło i tak dalej, sir \* powiedział Dickie \* ale co będzie jeśli szkopy zaczną coś podejrzewać? Wiepan: dwa Dodgei my... \* Nie skończył i wzruszył ramionami.

\* Myślałem o tym \* odparł Hard. \* My będziemy jeńcami wojennymi tych fryców, których oni niby przywożą. Mają w jeepie dwa karabiny. Posłużymy się nimi i będziemy udawać, że jesteśmy strażnikami, a do tego hełmy. Więc każda grupa więźniów w każdym z Dodge'ów będzie pilnowana przez \* ee \* niemieckiego strażnika.

Żołnierze uśmiechali się, a Hard podniósł się z kucków, streszczenie akcji skończone. \* Dobra, teraz zróbmy herbatę, póki jest jeszcze jasno. Możemy otworzyć puszki z kanadyjskim bekonem i kiełbasę. Zrobimy sobie małą ucztę. To wszystko, do roboty.

Dicky Bird siedząc w kucki na piachu odezwał się grobowym głosem: \* i skazańcy dostali solidny posiłek.

Nikt się nie roześmiał.

## Rozdział piąty

Było zimno. Księżyc w pełni świecił lodowatobiałym światłem nad ich głowami, obrysowując wszystkie czarne kształty wyraźnym konturem. Przed nimi luna płonącego Tobrukuto rozbłysła, to znów przygasła. Hard spojrzął na fosforyzującą tarczę zegarka. Dochodziła dziesiąta. Według niego, walka powinna już się kończyć. O dziwo, większość bitew była prowadzona według pewnych niepisanych reguł. Zaraz po zapadnięciu zmroku ludzie dostawali posiłek, a potem rozkładali się, próbując jak najszybciej zasnąć. Większość dowódców raczej nie miała zaufania do umiejętności swoich żołnierzy, jeśli chodzi o walkę w nocy. To był czas na odpoczynek.

Szturchnął lufą pistoletu plecy siedzącego przed nim zwalistego Niemca. \* Dobra, Heinz \* powiedział po niemiecku \* ruszaj już i pamiętaj. \* Wcisnął pistolet mocniej między żebra Heinza, żeby mu uświadomić, co będzie, jeśli zacznie robić jakieś sztuczki. Heinz zapalił silnik. Kierowcy Dodge'ów zrobili za nim to samo. Samochody ruszyły.

Minęło jakieś trzydzieści minut. Jechali z prędkością dwudziestu mil na godzinę przez niemieckie tyły. Mijali składy amunicji, ciężarówki przykryte maskującymi siatkami i działa artyleryjskie. Zdawało się, że nikt ich nie zauważa. W pewnej chwili skądś buchnął głośny pijacki śpiew. Śpiewano to co zwykle, ulubiony Oh, du schoner Westerwald. Hard pomyślał, że szkopy pewnie dostały dzisiaj swój tygodniowy przydział piwa. To jeszcze lepiej. Jeśli są trochę wstawieni, nie będą się nimi zbytnio interesować, pomyślał.

Zbliżali się do linii frontu. W regularnych odstępach czasu flary szybowały w nocne niebo, zawisając na moment w przestworzach i oświetlając pustynię na czerwono, zielono albo biało, a potem spadały na

ziemię, jak upadłe anioły. Hard parę razy słyszał serię z karabinu maszynowego. Sądząc po dźwięku\* niemieckiego. Tak, teraz byli obok głównych pozycji, wiedział to. Na szczęście nic się nie działo, oprócz tego, że od czasu do czasu jakiś nerwowy wartownik strzelał do własnego cienia.

Ominęli zagrodę z drutu kolczastego, na której widniał ciemny kształt; było to wiszące ciało południowoafrykańskiego żołnierza. Hard nie wiedział, dlaczego wisiał właśnie tutaj. Może był dezerterskim z garnizonu w Tobruku, którego opuścił szczęśliwy los i został rozstrzelany w chwili, kiedy chciał się poddać? Minęli dół zamaskowany ułożonymi wokół wielbłądzimi krzewami. Wewnątrz ktoś grał na harmonijce. W powietrze płynęła jedna z tych ohydnie sentymentalnych melodii, które oni tak lubili. Niemcy zawsze rozwodzą się nad swoją „ojczyznę” i różnymi tam cklowymi bzdurami, pomyślał Hard z niesmakiem.

Samochód zwolnił. Wszędzie dookoła były okopy, ledwo widoczne w srebrnej ciemności i kierowca jeepa musiał jechać z wielką ostrożnością, żeby je ominąć.

Hard śledził w napięciu jego poczynania. Wiedział jak Niemcy budują swoje pozycje. Ich okopy były bardzo szerokie, nie tak jak brytyjskie. Mogły tworzyć nawet trzy linie. Teraz przejechali przez jedną linię, przed nimi mogą być jeszcze dwie. Wpatrzył się w noc; pustynia wyglądała jak monotonna, niezemska tafla srebra, poprzecinana jedynie długimi cieniami, czarnymi bryłami skał i grzbietów wzgórz. Ponad nimi lśniły i mrugały miliony gwiazd. Hard pomyślał, że podobne są noce w tropikach.

Heinz wrzucił teraz drugi bieg i powoli zjeżdżali na wadi. Lawirował ostrożnie wśród rozrzuconych wszędzie kawałków skał. Za nimi oba Dodge robiły to samo.

Pokonali już połowę drogi przez żleb, kiedy nadeszło wyzwanie: \* Wer dal

Hard spodziewał się tego wcześniej czy później, a mimo to aż podskoczył ze strachu na dźwięk zachrypniętego okrzyku. Ciemna postać człowieka stała za skałą z karabinem opartym o kamień i skierowanym na nich. \*Kennwurf! \* padło pytanie.

Hard szturchnął Heinza pistoletem w żebra. Strażnik chciał usłyszeć hasło.

\* Mickey \* wyjąkał Heinz i nawet Hard, który nie mówił płynnie po niemiecku, słyszał, że jego głos brzmiał jakos dziwnie. Słysząc w nim było strach. Czy wartownik zauważy?

\* Mans \* odpowiedział żołnierz, ale nie opuścił karabinu. Zapytał po niemiecku: \* Kto jest w tych ciężarówkach? To pojazdy Anglików, tak?

\* Jeńcy \* odparł Heinz. \* Przewozimy ich z powrotem.

\* Quatsch, Mensch! \* wartownik prychnął nieufnie. \* Macie dobrze w głowie? Jedziecie nie w tą stronę! Co chcecie zrobić z angielskimi jeńcami na głównej linii bitwy?

Hard już wiedział, że zostali nakryci. Wziął pistolet z pleców Heinza i dokładnie wycelował w wartownika, który wyszedł zza skały i skierował się w ich stronę z niedbałą pewnością kogoś, kto sądzi, że ma całkowite panowanie nad sytuacją. Padł strzał.

Z tej odległości nie mógł chybić. Kula uderzyła Niemca prosto w pierś z wielką siłą. Krzyknął, uderzenie szarpnęło nim w górę i jakieś dwie, trzy stopy do tyłu. Kiedy upadł na ziemię, był już nieżywy.

Niemal natychmiast rozpętało się istne piekło. Powietrze przeszyły głosy gwizdków, zewsząd dobiegały wściekłe krzyki, rozkazy i pytania. Ludzie wytykali głowy z okopów i jam. Flary z sykiem wystrzeliły w niebo.

\* Dallil \* krzyknął niecierpliwie Hard do Heinza. \* Wciskaj peda! Zaraz będzie po nas, szybko!

Heinz nie potrzebował popędzania. Wiedział, co to jest front. Tutaj najpierw się strzela, a potem zadaje pytania. Wcisnął peda! gazu z całej siły. Jeep szarpnął do przodu. Jakiś Niemiec wybiegł z okopu przed nimi. Ręce miał wyciągnięte jak chłopiec na szkolnym boisku, który usiłuje zatrzymać kogoś w dziecięcej zabawie. Heinz nie zawahał się. Kiedy samochód go uderzył, żołnierz krzyknął i krzychał wciąż jeszcze, kiedy koła samochodu miażdżyły jego ciało. Hard obejrzał się przez ramię. Obydwa Dodge trzymały się blisko nich. Strzelcy kucali teraz za dwoma browningami, wypuszczając co jakiś czas serię to w prawo, to w lewo. Potrząsnął głową. Niedobrze, pomyślał.

Jakiś Niemiec w długim płaszczu sięgającym niemal do kostek rzucił granat w stronę jeepa. Chybił. Wybuch rozbłysnął wściekłym płomieniem gdzieś za nimi. Siedzący obok kierowcy drugi Niemiec zaczął krzyczeć histerycznie. Na lewym ramieniu miał wielką otwartą ranę, z której buchała krew. \* Zatrzymać się, jestem ranny! \* jęczał błagalnie.

\* Nie zatrzymuj. Jedź albo będzie po tobie \* rozkazał Hard.

Posuwali się dalej.

Dwa Dodge za nim jechały zygzakami po wąskiej wadi, starając się unikać serii z karabinów, które pędziły za nimi jak chmury czerwonych, rozwścieczonych szerszeni. Wjechali na wzniesienie. Było jasne, że już cały sektor linii niemieckich jest w stanie alarmu. Wszędzie widać było biegnących ludzi. Z każdej strony rozlegały się strzały. Hard modlił się w duszy, żeby w całym tym zamieszaniu Niemcy nie zwracali uwagi na trzy uciekające pojazdy. Z przodu rozbłysły z sykiem strumienie pocisków smugowych. Hard ocenił, że były w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów przed nimi. Tam musi być ostatnia linia niemiecka. Jeśli uda im się ją przełamać, będą ocaleni.

Nagle serce niemal stanęło mu w piersiach. Usłyszał wśród dźwięków rakiet daleki, metaliczny zgrzyt gąsienic czołgu \* a jedyny czołg, który mógł się tu znaleźć, musiał być niemiecki.

Hard zaczął gorączkowo wypatrywać go w ciemnościach. Ale jeszcze zanim cokolwiek zobaczył, złowieszco wyglądający Mark III \* wypalił. Usłyszeli potężny wystrzał i pocisk przeciwpancerne pomknął przez noc jak płonąca piłka golfowa. Z sykiem przeleciał tuż nad dachem jeepa i Hard później niejednokrotnie zarzekał się, że czuł jego gorąco, gdy leciał nad nimi i uderzył o ścianę skalną jakieś dwadzieścia stóp od nich. \* Chryste! \* jęknął, kiedy kierowca skręcił instynktownie i przednie koła wozu utknęły w okopie. Ranny Niemiec jęcząc upadł na ziemię, a nieprzytomny kierowca osunął się ze złamanej kierownicy.

Hard poruszył głową. Dostał mocne uderzenie w czoło. Czerwone gwiazdki wybuchły mu przed oczami, a w ustach poczuł metaliczny smak krwi. Czuł, że za chwilę straci przytomność. Ale nie mógł teraz się poddać. To byłby koniec. Zachwiał się na nogach. Smith, który kierował drugim Dodge'em, zahamował w chmurze pyłu. Jakies silne ramiona chwyciły go od tyłu i wepchnęły do samochodu, dokładnie w chwili, gdy Mark III wypalił ponownie. Jeszcze raz straszliwy biały zarys stalowego pocisku świsnął w powietrzu. Smith docisnął gaz do dechy. Dodge ruszył gwałtownie do przodu. W samą porę, bo kolejny pocisk przeleciał tuż za nimi.

Podjeżdżali teraz do granicy niemieckich pozycji. Na przedzie Smith zobaczył rząd słupów i choć nie mógł dojrzeć znaku z czaszką i piszczelami, to wiedział, co oznaczały. Przed nimi rozciągało się obronne pole minowe, które Niemcy założyli przed swoimi pozycjami na wypadek kontrataku wroga \* Brytyjczyków. \* A wsadź sobie gdzieś tą całą historię! \* krzyknął Smith do nikogo konkretnego i jechał dalej z zaciętą determinacją, a za nimi słychać było coraz dalsze i cichsze strzały i wybuchy. Wyjeżdżali już spoza ich zasięgu.

\* Co jest, Smithie? \* zapytał Hard jeszcze na wpół przytomny po uderzeniu.

\* Jesteśmy na pieprzonym polu minowym, sir \* odpowiedział Smith ani na chwilę nie zdejmując wzroku z ziemi przed pojazdem.

\* Szlag! \* zaklął cicho Hard i zaczął modlić się w duchu, żeby nie natknęli się na miny przeciwczołgowe. Jeśli byłyby to tylko zwykłe miny przeciwpiechotne, to pół biedy. Poszarpią oponę, albo coś, ale pasażerom Dodge'a nic nie zrobią. Miny przeciwczołgowe Teller to inna sprawa. Dziesięć funtów czystego dynamitu, które miały w sobie, mogłyby posłać ich wszystkich do piekła i z powrotem.

Teraz, kiedy niemiecki ostrzał ucichł w oddali, Smith mógł całkowicie skupić się na swoim zadaniu. Wiedział, że nie miał najmniejszej kontroli nad sytuacją. Jeśli przejadą przez to pole minowe, to będzie po prostu szczęśliwy traf. Czuł, że pomimo zimna zaczyna się pocić. Z boku twarzy zaczął mu drgać jakiś nerw. „Chryste”, pomyślał z wściekłością, „tylko nie fiksuj akurat teraz”.

Czekali aż to się stanie. Ale kiedy się stało, dla wszystkich było szokiem. Nagle ziemia przed samochodem eksplodowała. Koła wybuchły w powietrze strzępami palonej gumy. Dodge gwałtownie przechylił się na przednią oś i zarył w piachu. \* Wyskakiwać \* krzyknął Hard \* ale uwaga, za mną!

Odczepił saperkę od boku samochodu w chwili, gdy drugi Dodge zatrzymał się za nimi. Hard ruszył przed siebie ostrożnie, badając ziemię szuflą łopaty. Po jego śladach uważnie posuwała się reszta patrolu, a z tyłu wolno jechał drugi Dodge.

Pot zaczął ściekać strużkami po twarzy Harda. Wilgotna i ciepła koszula przylgnęła do pleców. Serce biło mu szybko. Wiedział, że jeden fałszywy krok może go kosztować utratę nogi.

W pewnej chwili ostrze łopaty alarmująco stuknęło o metal. \* Stać \* rzucił głosem, który zabrzmiał nie jak jego własny. Przykłęknął. Bardzo ostrożnie i wolno zaczął odgarniać piasek z miny. Była to metalowa mina przeciwpiechotna starego typu. Sięgnął pod nią palcami, sprawdzając czy nie jest to mina\*pułapka albo czy nie ma kabla łączącego ją z inną. Nie miała. Teraz drżącymi palcami odkręcił przykrywkę i wyjął

detonator. \* Dobra \* powiedział cicho. \* Idziemy dalej. Ta już jest bezpieczna.

Posuwali się w ten sam sposób dalej. Grupa zdrętwiałych ze strachu ludzi, zlanych potem, każdy zawinięty w kokon swojego własnego lęku. Zdawało się, że idą tak całą wieczność, a pole minowe nigdy się nie skończy.

I nagle usłyszeli mocny głos krzyczący z ciemności po angielsku: \* Stój, gdzie jesteś! Wszyscy tam! Mamy was pod trzema brenami.

Kolana ugięły się pod Hardem. Udało się. Byli na pozycjach brytyjskich!

## Rozdział szósty

\* Dzień dobry, panno Stein \* wykrzyknął doktor Smiths radośnie.

Lisa przyglądała się właśnie grupie południowoafrykańskich żołnierzy, którzy zataczali się pijani, choć dopiero co wzeszło słońce. Spojrzała na doktora. Jak zawsze, gdy ona i profesor Challenger go spotykali \*a w ostatnich dniach zdarzało się to dość często jak na zapracowanego lekarza woj skowego \* miał na ramieniu ciężką torbę. Lisa przypuszczała, że są tam jego lekarskie przyrządy. \* Dzień dobry \* odpowiedziała. \* Wcześniej pan dziś wstał, doktorze.

\* Łyknać trochę świeżego powietrza przed poranną gonitwą. Szkopy pewnie wkrótce zaczną ostrzał \* westchnął lekko. \* Ci Niemcy to bardzo zorganizowany naród.

\* Wiem, wiem \* odpowiedziała machinalnie.

Spojrzał na nią bystro. \* Zna pani Niemcy i Niemców? \* zapytał.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego wskazała na pijanych żołnierzy z korpusu południowoafrykańskiego, którzy właśnie szli chwiejąc się po kei i śpiewali swoją Stezza Maris. \* Czy to dozwolone? \* zapytała.

Doktor Smits wzruszył chudymi ramionami. \* Oczywiście, że nie. Ale ich oficerowie stracili kontrolę. Słyszałem, że Generał Kipper \*miał na myśli dowódcę dywizji południowoafrykańskiej broniącej To\*bruku \* nie ma wiele nadziei na ocalenie Tobruku, jeśli Niemcy natrą na nas pełną siłą.

Lisa poczuła jak zimny palec strachu rysuje linię wzdłuż jej kręgosłupa. Mimowolnie wzdrygnęła się. \* Mam nadzieję, że to się nie stanie. Nie chciałabym znaleźć się w niemieckiej niewoli.

Smits uśmiechnął się do niej, choć jego ciemne, zimne oczy nie były wesołe. \* Nic się pani nie stanie. W końcu jesteście cywilami. A tak, nawiasem mówiąc, co dwójka cywilów robi w Tobruku? Nigdy jakoś o to nie zapytałem. A więc, droga pani, co pani i...

\* Dzień dobry, doktorze Smits \* tubalny głos profesora Challengeera przerwał Smitsowi w pół zdania.



Odwrócił się zaskoczony. Challenger patrzył na niego z góry. Był ubrany tylko w krótkie spodenki, włosy miał zmierzwione i ociekające wodą, a ręcznik zwiślał mu z ramion na owłosioną pierś. \* Pomyślałem, że teraz będzie coraz mniej wody, więc przekąpię się w morzu, zanim te fryce zaczną codzienną poranną nagonkę.

Smits wyglądał na niezadowolonego. \* Nie sędzę, żeby rozsądnie było używać tego słowa\* powiedział.

\* Jakiego słowa?

\* Fryce. Niemcom się to nie będzie podobało, kiedy...

\* A guzik mnie to obchodzi, co fryce \* specjalnie wymówił to słowo głośniej \* sobie pomyślą. Niech mnie tylko któryś spróbuje powstrzymać... \* groźnie zmarszczył brwi, a stojąca u jego boku Lisa uśmiechnęła się. Znała Niemców nie od dziś, ale wiedziała, że gestapo to jeszcze za mało, żeby przestraszyć Challengega. Nagle znów poczuła się bezpieczna i chroniona.

Na dole, przy kei pijani żołnierze zaczęli rzucać kamieniami w czarnych robotników, pracujących, jak zwykle, po pas w wodzie, i próbujących wyciągać co się dało z zatopionego statku. \* Banda czarnuchów! \* wrzeszczeli \* czekajcie no tylko, jak przyjdą szkopy \* poobcinają wam wtedy ogony. Ha, ha...

\* Co za motłoch! \* wybuchnął Challenger. \* Całkiem nad sobą nie panują. \* Utkwił teraz twarde spojrzenie w oczach Smitsa. \* Nie może pan czegoś zrobić, Smits? W końcu jest pan oficerem!

Smits słabo wzruszył ramionami. \*\*Nie sędzę, że w takim stanie będą się słuchać kogokolwiek, a tym bardziej jakiegoś konowała z korpusu szpitalnego.

Challenger spojrział na niego uważnie. To słowo, „konował” zabrzmiało nieco dziwnie w ustach człowieka z Afryki Południowej. Zwykle tylko starzy wyjadacze z Armii Brytyjskiej używali języka z różnymi wstawkami i staromodnymi słowami jak „babeczki” czy „złotko”, których nauczyli się w czasie służby w dalekich zakątkach imperium. Zmarszczył brwi. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle na nabrzeże wjechał w szalonym tempie motocykl, zahamował z piskiem opon i stanął w chmurze białego pyłu tuż obok nich. \* Pan Profesor Challenger i pani doktor Stein? \* zapytał młody oficer sztabowy.

\* Tak \* odpowiedział Challenger. \* To ja, a to doktor Stein. Oficer podniósł rękę do wysłużonej czapki. \* Jest pan proszony do

siedziby dowództwa, sir. Natychmiast. Mam rozkaz, żeby państwa tam zabrać.

\* Co się dzieje? \* spytał Challenger, a Smits przyglądał się całej scenie ze zmarszczonymi brwiami i zaskoczoną miną.

\* Nie wiem, sir \* odparł młody człowiek. \* Mój dowódca, pułkownik Mackey z wywiadu powiedział, żebym was przywiózł bezzwłocznie do dowództwa. \* Otworzył drzwiczki przyczepy motocyklowej. \* Proszę bardzo, panno Stein. Trochę tu ciasno, ale może da pani radę.

\* Dziękuję. \* Z trudnością wspięła się na przyczepkę, odsłaniając przy tym na moment swoje kształtne udo. Młodemu oficerowi zabłyśły oczy.

Challenger rzucił mu groźne spojrzenie i wsiadł na tylne siodełko, podczas gdy Smits ciekawie ich obserwował z ręką czule obejmującą lekarską torbę, jakby dla upewnienia, że wciąż jest na swoim miejscu.

\* Do zobaczenia, być może, później \* powiedział, kiedy oficer zapalał silnik.

\* Nie liczyłbym na to, przyjacielu \* wesoło odparł oficer. A potem zakręcił ostro i z warkotem ruszył z powrotem, pozostawiając Smitsa z zagadką do rozwiązania. Dlaczego ta dwójka cywilów, z których jeden był ewidentnie niemieckiego pochodzenia, była tak ważna, że wysłano specjalnego oficera, który miał ich zawieźć do siedziby dowództwa sił wywiadu brytyjskiego w Tobruku? Smits nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, ale w końcu postanowił, że lepiej poinformować o tym Hrabiego. Być może von Almaszy będzie umiał poskładać kawałki tej układanki i odkryć odpowiedź. Był w końcu starym i bardzo szcwa\*ny\* lisem. Smits rozejrzał się powoli w prawo i w lewo, sprawdzając, czy zobaczy kogoś w pobliżu. Nabrzeże było puste. Wślizgnął się do

ruin najbliższego budynku, zdjął z ramienia torbę i ostrożnie wyciągnął z niej nadajnik.

\* Wszystko wskazuje na to, że Rommel zamierza rozpocząć zmasowany atak w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. \* Mówił pułkownik Mackay, zwalisty i szorstki oficer z czarnym monoklem w pustym lewym oczodole. \* Jego działa są już na pozycjach i zapewne koncentruje teraz czołgi na południowym wschodzie \* tu, wzdłuż drogi do El Adem i tamtej wiodącej na południowy wschód do granicy Egiptu.

Hard kiwnął głową ze zrozumieniem, a profesor Challenger i doktor Stein wyglądali na nieco zmieszanych tego rodzaju nieznanymi im militarnymi instrukcjami.

\* Brygada Indyjska trzyma pozycje na tym terenie, bo mówiąc szczerze... \* spojrzął ukradkiem na zastłony u wejścia do jaskini, w której mieściła się główna kwatera \* żołnierze z Afryki Południowej nie mają dość siły moralnej, żeby wypełnić to zadanie... Wydaje mi się, że są już skończeni \* dodał poważnie.

Challenger mając przed oczami sceny, których był świadkiem dopiero godzinę temu, skinął głową potakująco.

\* Czy nie można by jakoś ich wzmocnić? \* zapytał. \* Wlać im trochę hartu ducha?

\* Obawiam się, że nie, profesorze \* odparł Mackay. \* Cała dywizja, od góry do samego dołu, straciła kompletnie wolę walki. W zeszłym roku Australijczycy razem z nami utrzymywali miasto przez wiele miesięcy, ale szpringboków na to nie stać. Cóż, więc jak mówiłem... jeśli uderzą z południowego wschodu, a spodziewam się, że tak właśnie się stanie, i jeśli Niemcy przełamają linie hinduskie, to spotkają się z brygadą brytyjską\* Coldstream Guards, Sherwood Foresters i Worcesters, którzy są rozstawieni pośrodku niedaleko NAAFI \* o, tu. Zatrzymają ich, jak sądzę. Ale dalej, jeśli Rommel uderzy na armię południowoafrykańską\*tutaj \* a oni szybko padną, czego jestem pewien, to wtedy trzy regimenty

piechoty brytyjskiej nie dadzą im rady. Wszystko skończy się w ciągu kilku dni \* wzruszył ramionami z rezygnacją\* albo nawet kilku godzin.

Hard cmoknął w zamyśleniu. Mackay był pesymistą, jak większość oficerów wywiadu, których kiedykolwiek znał.

Na zewnątrz słychać było nieustający huk artylerii, a kiedy nagle wybuchły pierwsze nieprzyjacielskie bomby, zasłony u wejścia do jaskini zatrzępotwały od silnego podmuchu. Mackay poprawił swój czarny monokl w pustym oczodole i słuchał uważnie. \* Poranna kanonada \*oznajmił po chwili. \* Ale chyba ostrzejsza niż zwykle. \* Wydął wargi. \*To może być to \* przygotowujący ogień zaporowy.

\* W takim razie powinniśmy wydostać się stąd jak najszybciej, sir\* powiedział Hard.

\* Tak, właśnie. Ale musicie poczekać do zmroku. W świetle dnia nie macie szans. Nie teraz, kiedy Rommel koncentruje Afrika Korps i dywizje włoskie wokół Tobruku.

\* Zgoda, sir. I nie jesteśmy jeszcze gotowi. Nie znaleźliśmy drugiego pojazdu w miejsce jednego z Dodge'ów, a poza tym jeszcze mamy do rozwiązania kwestię nawiązania łączności z kapitanem Black Swana.

\* O to już zadbałem, majorze \* zapewnił go Mackay.

\* Dziękuję, sir.

\* Nie ma za co. Ale muszę powiedzieć jedno. Jest pan doświadczonym oficerem. Wie pan, że przed bitwą wszystko jest na swoim miejscu i sytuacja wydaje się jasna. Ale kiedy bitwa się zacznie, sprawy nabie\*rająswoistej elastyczności. Ludzie są zbyt zajęci swoją walką i swoim ocaleniem, żeby zauważać, co robią inni. Innymi słowy, jest to rodzaj kontrolowanego chaosu.

\* Wiem, sir.

\* No tak, więc jeśli ja bym miał się stąd wydostawać, to poczekałbym aż zacznie się ofensywa. Miałbym wtedy większe szanse ucieczki.

Hard odpowiedział: \* Tak, ma pan rację, sir. \* A Challenger spojrzął na jednookiego oficera wywiadu i zapytał: \* A co z panem, pułkowniku? Co pan zamierza, kiedy bomba pójdzie w górę?

Mackay przez chwilę nie odpowiadał, a potem zaczął powoli mówić: \*Więc dobrze, my z Ósmej Armii mieliśmy za dużo uciekania w ciągu tych lat. Jeśli o mnie chodzi, to postanowiłem nie robić tego już więcej. \* Dotknął palcami rewolweru, który miał u pasa. \* Może i jestem jednookim kaleką, ale potrafię jeszcze prosto strzelać. Myślę, że przyłączę się do Coldstreamers.

Challenger kiwnął głową z powagą. \*Rozumiem \* powiedział krótko.

Jednooki pułkownik zmusił się do uśmiechu. \* Cóż, nie będę was zatrzymywał. Macie jeszcze sporo do zrobienia przed zmrokiem.

W jaskini obok nich rozdzwonił się telefon i usłyszeli stłumiony głos oficera sztabowego mówiącego z rozdrażnieniem: \* Ale powtarzam, musicie im się oprzeć za wszelką cenę. Słyszycie? To bardzo ważne, żebyście ich wstrzymali!

Pułkownik Mackay odezwał się znowu: \* A więc, panowie \* i hm, pani... zaczęło się! Rommel ruszył.

Challenger spojrzął na Lisę. W oczach miała łzy i wiedział dlaczego: oni uciekali, a pułkownik zginie tutaj. Niezdarnie wziął ją pod ramię i powiedział: \* Chodźmy, moja droga. Nic tu po nas...

## Rozdział siódmy

\* I co pan myśli, szefie? \* Christian zapytał Thirsk nie odrywając oczu od horyzontu. Minęła już godzina, od kiedy samolot morski Fiat namierzył ich, ale wciąż nic się nie działo.

Stojący za sterem Thirsk wzruszył lekko ramionami. \* Ten makaro\*niarz pewnie zobaczył, że jesteśmy trochę nie w formie, sir \* odparł. \*Wiedzą, że mają czas. Ale w końcu nas docisną. Włosi nie lubią twardej roboty i wiedzą, że my jesteśmy łatwym celem. O jasny szlag! Nie wyciągamy więcej niż pięć węzłów na godzinę.

\* Racja \* mruknął Christian posępnie. \* Ale myślę, że nie możemy być już tak daleko od Gibraltaru. Może przyślą nam ze Skały ochronę powietrzną?

\* Aj, sir. Gdybyśmy mogli im tylko dać jakiś sygnał. Ale Sparks mówi, że to cholerne radio już całkiem wysiadło.

\* Hm. Tak czy inaczej musimy walić do przodu i nie oglądać się na nich.

\* Ma pan rację, sir \* zgodził się Thirsk, ale bez entuzjazmu. Minęła kolejna godzina. Słońce stało wysoko, rzucając ciepły żółty

blask na idealnie spokojne, niebieskie morze. Christian był wdzięczny losowi za taką pogodę. Spokojna woda nie nadwężała wyreperowa\*nej wyrwy w kadłubie statku, a wolne tempo było również sprzyjające. Jakkolwiek gwałtowne przyspieszenie, jak w przypadku wykonywania manewrów, rozmyślał, spowodowałoby zwiększenie ciśnienia na połatany kadłub. Modlił się w duchu, żeby udało się płynąć dalej w ten sam sposób.

\* Przygotuj się, maszynownia\*rozkazał Leutnant zur See Bastian. Podniósł lornetkę i jeszcze raz utkwiał wzrok w statku płynącym wołno jakieś dwa kilometry od nich. To musiał być ten holownik, o którym raportował włoski pilot. Zardzewiały stary Anglik z jednym wysokim kominem płynął zygzakiem jakby sternik był całkiem pijany. „Łatwy łup”, pomyślał młody, pewny siebie kapitan niemieckiego ścigacza torpedowego w białej, zawadiacko przekrzywionej czapce. Jedna mała metalowa rybka i po nim. Łatwizna.

Oglądając przez lornetkę stary model holownika w pewnej chwili napotkał wielką, poszarpaną dziurę, załataną od środka. „A więc to dlatego”, mruknął do siebie.

Opuścił lornetkę i rozpryskał trochę taniej wody kolońskiej na swój ulubiony jedwabny, biały szalik. Jej zapach przyćmił nieco wszędybylski okrętowy odór ropy i metalu.

\* Tu mostek \* rzucił zachrypniętym głosem \* cała naprzód, oba silniki. Z maszynowni dobiegła stłumiona odpowiedź i Bastian napiął mięśnie za sterem, czekając na to, co miało się za chwilę stać.

Nagle pokład zaczął rytmicznie wibrować pod jego stopami. Zaciśnął ręce na sterze. Dziób statku przechylił się. Śruby z tyłu ruszyły na wysokich obrotach i po obu stronach statku podniosły się białe grzbiety fal. Kiedy łódź ruszyła do przodu, Bastian poczuł dobrze znany dreszcz emocji. Dwadzieścia węzłów... dwadzieścia pięć... trzydzieści węzłów.

\* Przygotuj się, jedna tuba... druga tuba! \*zawołał.

Po obu stronach dziobu dwóch ludzi obsługujących torpedy nachyliło się nad pociskami.

Leutnantzur See Bastian uśmiechnął się. Za minutę Anglik będzie miał niespodziankę. Wsadzi mu te śmiercionośne śledziki prosto w tyłek. Aż mu oczy wyjdą z orbit.

Obsługujący torpedy żołnierze stali na pokładzie w swoich skórzanych kurtkach, przemoczeni rozpryskującą się z dzioba wodą, ale czujni i gotowi do wypuszczenia pocisków. Bastian spojrzał przed siebie. Wydawało mu się, że holownik jeszcze ich nie zauważył. Teraz zaczął odliczać zasięg... tysiąc metrów... siedemset... pięćset... wystarczy. Złożył dłonie wokół ust i wrzasnął: \* Ognia, jeden!

Żołnierz obsługujący torpedę na lewej burcie odpalił pocisk. Łódź zakotysała się nieznacznie, kiedy ważąca tonę broń odłączyła się od statku i pograżyła w wodzie. Na powierzchni wody pokazały się pęcherze powietrza i zaraz potem zobaczyli, jak mknie do przodu, zostawiając za sobą białą smugę.

\* Ognia, drugi!

Drugi „kipery” wślizgnął się do wody i pognał w stronę holownika.

Bastian pośpiesznie podniósł lornetkę do oczu, czując, że ręce trzęsą mu się z hamowanego podniecenia. Teraz nie było już dla nich ratunku, pomyślał obserwując podniszczony kadłub holownika.

Za chwilę, myślał Bastian, cienki blaszany świat Anglika rozpadnie się na kawałki w wielkim czerwonożółtym gniewnym wybuchu. W napięciu czekał na eksplozję.

Ale nic się nie zdarzyło!

Bastian spojrzał w dół na dwóch oficerów torpedowych. Oni również popatrzyli na niego w najwyższym osłupieniu. Obydwa „kipery” nie wybuchły. Przez chwilę Bastian nie wiedział co robić. Jednak kiedy nagły biały strumień pocisku smugowego przeciął spokojną wodę, wiedział już, że musi działać. Wykonał szaleńczy zakręt, wzburzając wodę i pomyślał z wściekłością, że do cholernych torped musieli się dostać sabotażyści. Ale Anglik mu nie ucieknie, o nie. Był teraz jeszcze bardziej zdecydowany pośłać go na dno.

\* W prawo ster, trzydzieści! \* krzyknął Christian, kiedy torpedy uderzyły o kadłub z głuchym szczękiem metalu o metal. \* Maszynownia, wypuścić dym, zostaliśmy zaatakowani!

\* Chryste Panie! \* krzyknął Thirsk za sterem, kiedy gęsty czarny dym uderzył prawie natychmiast z komina Mucky Ducka.

Christian złapał lornetkę, a dym opadał powoli w dół nad samą wodę. Szczupła sylwetka niemieckiego torpedowca wślizgnęła się w zasięg kalibrowanych soczewek. Wielka biała fala dziobowa płynęła za rufą. Barrierki na prawej burcie niemal zanurzały się w wodzie, kiedy pędził tak do następnego ataku.

\* Przygotować się na torpedę! \* zdążył krzyknąć Christian, a w chwilę potem pod jego nogami strzelec wypuścił dziką serię z Chicago piano

w stronę pędzącego teraz zygzakami torpedowca, gotowego zniszczyć ten bezczelny mały stateczek.

Bastian nie chciał już ryzykować. Odepchnął jasnowłosego oficera aspiranta z za dwudziestomilimetrowego vierlinga\* czterolufowego działa przeciwlotniczego i stanął za nim sam. Kiedy łódź zbliżała się szybko do okrytego dymem celu, nacisnął pedał elewatora. Wszystkie cztery smukłe lufy opuściły się posłusznie. Chmura dymu weszła w zasięg kółka wizjera. Porwany nieopanowaną, pierwotną wolą zabijania, śmiejąc się na głos nacisnął spust.

Cztery lufy plunęły ogniem. Białe pociski świstały w powietrzu i wykuły linię rozszarpanych dziur w nadbudówce holownika.

Strzelec podwójnego browninga za mostkiem zawył dziko i upadł, wymachując rękami. Miał przestreloną twarz, a kość żuchwy lśniła jak polerowana kość słoniowa w jasnoczerwonej kałuży krwi.

\* Trzymaj ster! \* Christian zawołał do Thirsk. \* Idę do karabinów. Zanim Thirsk cokolwiek powiedział, Christian zeskoczył z mostka

kapitańskiego i z nadzwyczajną sprawnością, jak na zwalistego mężczyznę w średnim wieku, wśliznął się na miej sce zabitego artylerzysty. Już po chwili oba browningi wszczęły terkot. Christian zobaczył fontanny wody tam, gdzie uderzały jego naboje. Strzelał za blisko. Rozpaczliwie podniósł zasięg, ale w tej samej chwili kolejny wybuch dwudziestomilimetrowego pocisku rozerwał fragment kadłubu Mucky Ducka. Jakiś marynarz z krzykiem wypadł za burtę, rozpaczliwie wymachując rękami i próbując się ratować, ale mu się nie udało.

\* Jasna cholera\*krzyczał Christian, strzelając zapamiętane. Przygryzł dolną wargę do krwi.

Na mostku bosman Thirsk modlił się na głos, klucząc w prawo i w lewo, na wpół oślepiiony gęstym dymem, który wciąż unosił się z komina. Próbował ocalić Mucky Ducka. W 1916 roku jako chłopiec był na tonącym statku niedaleko Jutlandii. Spędził wtedy w lodowatej wodzie Morza Północnego czternaście godzin, a mimo to czuł, że przeżyje. Teraz czuł, że zaraz umrze. Jakie miał szansę stary holownik przy najszybszym, najnowocześniejszym torpedowcu na świecie? Panie, Ty jesteś moim pasterzem, zaczął odmawiać starą modlitwę, Niczego nie pragnę...

Pomoc nadeszła kompletnie nieoczekiwanie. Niemal bezszelestnie nadleciały dwa wielkie wodnopłaty. To była ich zwykła taktyka wobec statków powierzchniowych. Na stłumionych silnikach ześlizgnęły się wprost na torpedowiec z krwistoczerwonego słońca.

Bastian usłyszał je, kiedy było za późno. Poderwał działo przeciwlotnicze do góry, ale już z nieba leciały pierwsze bomby wodnopłatów sun\*derland z jednostki nadbrzeżnej. Nie trafiły. Rozpryskujące się strumienie wody wybuchały jeden za drugim po obu bokach niemieckiej łodzi, która gwałtownie przechyliła się w przód i w tył. Maszt radiowy zdawał się dotykać wody. Ale bomby drugiego czterosilnikowego wodnopłata nie chybiły celu. Pierwsza z nich uderzyła w śródkręcie. Wybuchł wielki czerwony płomień i od razu opanował cały pokład.

\* Trafiony, kapitanie \* wrzasnął przez interkom żołnierz obsługujący tylny karabin, kiedy samolot unosił się nad trafionym torpedowcem. \*Prosto w zbiorniki gazu! Cholera, zaraz pójdą z ogniem!

Tego, co nastąpiło potem, nie zapomni nikt z załogi dwóch sunderlan\*dów. Ludzie w ogniu. Obłąkane ludzkie pochodnie. Ludzie w szalonym tańcu wymachiwali płonącymi rękoma, na próżno próbując ugasić ogień na mundurach. Ludzie w bezgłośnym krzyku, podczas gdy ich skóra skwierczała, a potem zwęglała się, gdy oni wciąż jeszcze żyli. Ludzie leżący na płonącym pokładzie, którzy czernieli i kurczyli się do rozmiaru Pigmejów. Ludzie w agonii z kręgosłupami napiętymi w łuk, rękami rozrzuconymi na podobieństwo jakiegoś współczesnego ukrzyżowania. Ludzie umierający...

Bastian skoczył z burty do wody i zanurkował. W szkole kadetów w Miirwik był najlepszym pływakiem na swoim roku. Teraz ruszył na oślep w szaleńczym tempie, byle dalej od płonącego i tonącego statku. Dziesięć metrów... dwadzieścia... trzydzieści... uciekał przed tym płonącym, ryczącym piekłem. Ale nie było mu przeznaczone uciec. Nagle rozległ się olbrzymi wybuch. Płomienie wytrysnęły na sto stóp do góry. W tej samej chwili tony płonącej ropy chlusnęły do wody. Zalały też Bastiana. Woda bulgotała i buchała parzącą parą, a on poszedł na dno, paląc się i tonąc jednocześnie. Chwilę potem to, co pozostało po jego statku, również zanurzyło się pod powierzchnię morza.

Parę minut później pierwszy z dwóch australijskich wodnopłatów wylądował obok zniszczonego Mucky Ducka.

Spuszczono ponton i drugi pilot ruszył, wiosłując w stronę holownika. Spojrzał na zarośniętą twarz Christiana, po której ściekała krew. \* Ktoś z was do wzięcia na Gib, kapitanie? \* krzyknął.

Christian potrząsnął głową. \* Mamy dwóch zabitych \* to wszystko.

Australijczyk spojrział na holownik ze złamanym masztem i wyrwą w dziobie. \* Jeśli chce pan otworzyć zawory i zatopić go, to w dwóch naszych samolotach zmieści się cała załoga \* zasugerował.

\* Zatopić go?! \* ryknął Christian. \* Ten BlackSwan będzie pływał jeszcze następne pięćdziesiąt lat.

Młody Australijczyk uśmiechnął się szeroko. \* Jak pan sobie życzy, kapitanie. My w takim razie będziemy się zbierać. Ale Gib ma was na radarach, więc jesteście bezpieczni. Znajdźcie nas, jak dopłyniecie. Stawiam panu grog, kapitanie.

Christian potrząsnął głową i powiedział: \* Nie, sir, to my wam postawimy grog. I dziękuję.

## Rozdział ósmy

Telegraf zaterkotał jeszcze raz i silnik zamilkł. Ale nie zapadła cisza, bo po obu stronach doku cywile i marynarze w niebieskich spodniach na szelkach krzyczeli i wiwatowali. Christian zmarszczył brwi. Z czego tu się cieszyć? Stary Mucky Duck nieźle oberwał. Bosman Thirsk był jednak wzruszony takim przyjęciem. Przetarł błyszczące od łez oczy kościstym palcem. \* Kto by to pomyślał, do pioruna \* mruknął pod nosem. \* Takie wiwaty dla naszego starego Mucky Ducka!

Na nabrzeże wtoczyła się karetka w kształcie kwadratowego pudła i po pomocy wyniesiono rannych. \* Co z zabitymi? \* krzyknął z brzegu sierżant ze służb medycznych. Jego głos był suchy i bez emocji mimo ogólnego entuzjazmu i wiwatów.

Christian spojrzał na niego twardo. Ale po chwili zreflektował się. Podoficer wykonywał przecież swój obowiązek. Pewnie codziennie miał do czynienia z zabitymi. \* Pochowaliśmy ich w morzu, tak jak przystało na marynarzy. \* Odparł i widząc na nabrzeżu jeepa z powiewającą chorągiewką gubernatora, zeskoczył z pomostu i ruszył w jego stronę pośród wiwatującego tłumu. \* Szefie \* krzyknął jeszcze, odwracając się przez ramię. \* Zajmij się wszystkim. Widzę, że ktoś się chce ze mną widzieć.

I rzeczywiście chciał. Młody przystojny kapitan sztabu wysiadł z jeepa i przedstawił się: \* Quayle, kapitan Quayle. Jesteście proszeni natychmiast do Domu Gubernatora, kapitanie. Bomba zaraz idzie w górę.

Gubernator\* generał o twardych rysach twarzy i inteligentnym spojrzeniu przedstawił mu sytuację osobiście. Siedzieli w dużym pokoju przy szklance whisky z wodą, a nad ich głowami obracał się wentylator lekko poruszając ciepłe powietrze. \* Kapitanie Christian, kiedyś pracowałem w wywiadzie, więc wtaj emniczo mnie trochę w tą sprawę. Wszyscy, poczynając od pana premiera naciskają na szybkie działanie. W Tobruku sytuacja lada dzień będzie gorąca, więc trzeba szybko usunąć stamtąd tych ludzi.

Posłał Christianowi twarde spojrzenie i miał wielką ochotę zapytać, dlaczego pan premier tak bardzo przejmuje się losem dwójki cywilów. Jednak po krótkim namyśle zrezygnował i zamilkł.

\* Czy major Hard już tam jest? \* zagadnął Christian i wziął duży łyk whisky. Pomyślał, że nie miał w ustach alkoholu od ponad dwudziestu czterech godzin. Dziwne!

\* Tak \* odrzekł gubernator. \* Long Rangę Desert Group Harda dotarła szczęśliwie do Tobruku. Teraz będą musieli się stamtąd wydostać. Ale po kolei. W jakim stanie jest pana statek i załoga?

Christian dopił whisky i spojrzał znacząco na stojącą z boku butelkę, ale gubernator zdawał się tego nie zauważać. Westchnął więc cicho i odparł: \* BlackSwan jest nieźle pogruchołany, sir. Ma dziurę w kadłubie i zniszczoną nadbudowę.



Gubernator zapisał coś w leżącym przed nim notatniku. \* Robotnicy z doków zaczną nad nim pracować, zaraz jak skończymy rozmawiać. A co z załogą?

\* Dwaj zabici i dwaj ranni.

\* Poradzi sobie pan bez nich?

\* Potrzebujemy jednego artylerzysty, sir, to wszystko. Wolałbym już teraz nie brać na pokład nikogo nowego.

\* Dobrze. \* Znowu zapisał coś w swoim notatniku. \* Przyślę wam natychmiast kogoś z artylerii nadbrzeżnej. Poza tym dostaniecie nowe zapasy i tyle amunicji, ile może być wam potrzebne. Coś jeszcze?

\* Tak, sir \* odparł Christian, wybiegając myślami do chwili, kiedy spotka się z Hardem i jego oddziałem w małej naturalnej zatoce, gdzieś na wybrzeżu Afryki. \* Karabiny dla wszystkich członków załogi. Jeśli tam, dokąd płyniemy, wpakujemy się w kłopoty, to będziemy potrzebować możliwie największej siły ognia.

Gubernator zmarszczył brwi. \* Wysokie żądania \* powiedział. \*Ostatnio wszyscy chcą karabinów. \* Znowu zanotował coś na kartce: \*Ale będzie pan je miał, Christian. \* Postął mu nieco napięty uśmiech. \*Teraz zostawię pana pod opieką kapitana Quayle'a, który czeka na zewnątrz. Pana kwatera jest tu, w siedzibie dowództwa. Załoga będzie miała także możliwość zjedzenia i wykąpania się na brzegu. Damy im trochę odpocząć. Słyszałem, że przeszli swoje.

Christian skinął głową i zapytał: \* Ile mamy czasu, sir?

Uśmiech gubernatora powoli zamienił się na jego twarzy w wyraz powagi. \* Najwyżej dwadzieścia cztery godziny \* odparł. \* Musimy działać szybko. No dobrze, kapitanie, a więc \* miłego wypoczynku. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dać znać Quayle'owi. Ma pan być traktowany \* jak to teraz mówią Amerykanie? \* właśnie, jak very important person, VIP. Będę pana informował, jeśli coś się wydarzy. A jeśli nie, to powodzenia. \* I uściśnął mu rękę.

Przed drzwiami czekał na niego Quayle z filuternym uśmiechem na przystojnej twarzy. \* Wanna już się napełnia. Wyzebraliśmy też czystą koszulę i bieliznę, chyba odpowiedni rozmiar... Niestety, zabrakło nam girlsów dla pana. Trochę ich mało na „Skale”. Ale za to mamy to, kapitanie. \* Wyciągnął zza pleców rękę, w której ścisnął litrową butelkę whisky. \* To pana z pewnością odpręży w kąpeli. \* Oficer spoważniał. \* Jest tylko jedna rzecz.

\* Tak? \* Christian wziął od niego butelkę z wdzięcznością.

\* Gubernator powiedział, że nie powinien się pan zbyt ujawniać. Tu na łodzi szwaby mają swoich wywiadowców. Obserwują wszystko, co się dzieje w porcie, a wasz Muck... \* eee \* Black Swan...

\* Może pan mówić Mucky Duck, kapitanie \* przerwał mu Christian. \* Wszyscy go tak nazywamy.

Quayle uśmiechnął się. \* Więc jak mówiłem, Mucky Duck już wzbudził ogólne zainteresowanie. Z całym tym uroczystym powitaniem i wiwatami. Nie chcemy, żeby Niemcy pomyśleli, że to jakaś ważna jednostka i żeby was ostrzelali zaraz przy wyjściu z portu, prawda?

Christian wzruszył ramionami. \* Będę się martwił jak będzie o co\*odparł niefrasobliwie. \* A teraz, proszę, niech mi pan wskaże tą łazienkę z wanną\* i, ach tak, będę jeszcze potrzebował duuużej szklanki.

\* Będzie pan ją miał, kapitanie. Proszę za mną...

Von Almaszy szybko przeczytał wiadomości z Hiszpanii i wyduł pomarszczone wargi. Wszystko się zgadza. Ta cała sprawa w Egipcie, dwójka cywilów w Tobruku, niecałe pięć kilometrów stąd, zbóje z Long Range Desert Group, a teraz huczne powitanie holownika w Gibraltarze, którym dowodzi ten sam człowiek, który spotkał się w Kairze z Hardem.

Potań w zamyśleniu koniec długiego nosa. Wszystko wskazuje na to, że ta dwójka, o której raportował Smits \* profesor Challenger i ta doktor Stein \* muszą być bardzo ważni dla Churchilla, skoro zorganizował całą akcję ratunkową, nie licząc się z kosztami. „Ale dlaczego, do jasnej cholery, są aż tak ważni?“, zadzwęczał mu w głowie cichy głos.

Zastanawiał się nad tym przez jakiś czas, podczas gdy obok jego namiotu co chwilę grzmiały wystrzały armatnie przed nadchodzącym atakiem. Czołgi przetaczały się z głośnym dudnieniem i szcękaniem żelaza na swoje pozycje. Za nimi szła piechota włoska, bez entuzjazmu szurając nogami i z grobowymi minami na śniadych twarzach. Von Almaszy wiedział dlaczego. Rommel zamierzał wykorzystać ich jako mięso armatnie w pierwszej fali ataku. Dopiero po tym, jak zasmakują siły Anglików, wyśle za nimi swoją wyborową piechotę niemiecką.

W końcu von Almaszy zrezygnował z rozmyślania nad zagadką. Ale wiedział też, że coś trzeba przedsięwziąć. Ci dwaj cywile powinni zostać pojmani żywi, a grupa Harda ukarana za to, co zrobili Egipcjanom. Nassar i inni spiskowcy będą się tego domagać.

Pięć minut później stanął przed polowym biurkiem Rommla. „Lis pustyni“ wyglądał na znużonego i najwidoczniej z trudem znosił upał. Obie ręce pokrywały mu poparzenia słoneczne, a największe z nich na prawym ramieniu miał obwiązane brudnym bandażem. \* Ma pan najwyżej pięć minut, von Almaszy \* oznajmił szorstko. Machnął ręką w stronę podniesionych klap namiotu, wskazując pustynię wypełnioną wojskiem. \* Przygotowania idą pełną parą, jak pan widzi. Czas nagli.

\* Nie będę mówił długo, Ekscelecencjo \* odparł stary oficer. \* Proszę o pozwolenie na zabranie moich brandenburczyków do Tobruku, zanim zacznie się natarcie... powiedzmy... na jakieś dwie godziny przedtem.

\* Po co? \* zdziwił się Rommel.

Von Almaszy pośpiesznie wyjaśnił Rommlowi, jak ważna może być dwójka cywilów w oblężonym forcie. Na twarzy Rommla pojawił się grymas niezadowolenia. Ten człowiek śmiał marnować jego cenny czas w tak kluczowym momencie kampanii! Von Almaszy zauważył to i dodał szybko: \*Musimy pokazać naszym

egipskim sprzymierzeńcom, że jesteśmy gotowi im pomóc i poradzić sobie z tym mordercą Hardem i jego pustynną bandą zbirów. W końcu, Eksceleńco, za jakiś tydzień możemy już być w Kairze, a wtedy to my będziemy potrzebować ich pomocy. O wiele łatwiej będzie niemieckiej armii rządzić Egiptem, jeśli będziemy mogli liczyć na współpracę egipskiego wojska i innych, którzy nam pomogli.

Ten argument okazał się celny. Rommel pokiwał głową. \* Dobrze, zgadzam się. Wejdziecie do Tobruku pierwsi. A teraz krótko: jak to zrobicie?

\* Od południowego wschodu, sir. Weźmiemy zdobyte pojazdy Brytyjczyków.

\* Z tej strony zamierzam przypuścić pierwsze natarcie, zanim uderzę w linię obsadzoną żołnierzami południowoafrykańskimi. Innymi słowy: atak z dwóch stron.

\* Tak jest. I właśnie na południowy wschód będzie próbował przedostać się Hard. Jestem tego pewny. To jedyne logiczne wyjście. Będą się kierować do Egiptu, albo, coś czuję, że ta ich łódź może próbować zgarnąć ich gdzieś dalej przy brzegu. Dlatego chcę ich złapać teraz, kiedy wiem dokładnie, gdzie są\* w Tobruku.

\* W porządku, von Almaszy. Natarcie zaczyna się jutro o świcie. To będzie o piątej trzydzieści. Proponuję, żeby pana ludzie weszli do Tobruku dokładnie dwie godziny wcześniej, o trzeciej rano. Moi eksperci od meteorologii twierdzą, że o tej porze księżyc będzie niewidoczny. Jak pan zapewne wie, Anglicy cenią sobie stały rozkład dnia. Nie będą się spodziewali o tej porze żadnych kłopotów; oni zawsze są w gotowości równo o wschodzie słońca.

\* Dziękuję, Eksceleńco \* von Almaszy stuknęła obcasami, stając na baczność i zsalutowała niezdarnie.

Pomimo napięcia przed nadchodzącą bitwą Rommel roześmiał się i powiedział: \* No cóż, von Almaszy, mam nadzieję, że jest pan lepszy na polu walki niż na musztrze. To wszystko \* i \*Hals und Beinbruch.

(Hals und Beinbruch (niem.) \* połamanie karku! \*przyp. tłum.)

Po wyjściu od Rommla von Almaszy spojrział w stronę Tobruku. Zaczynało się ściemniać. Długie cienie przesuwają się po pustyni jak wielkie ciche ptaki. Skinął głową, jakby zgodził się z jakimś swoim wewnętrznym głosem. Tej nocy załatwi Harda i jego bandę na dobre. I pospieszył przedstawić plan oddziałowi brandenburczyków.

## Rozdział dziewiąty

Lisa Stein przewracała się z boku na bok, leżąc na obozowej pryczy w gorącym namiocie. Hard zasugerował, żeby wzięła jakiś łagodny lek nasenny i odpoczęła trochę, zanim wyruszą. Miała sen. Była znów na granicznej stacji w Emmerich w 1937 r., w dniu, kiedy na dobre opuściła Niemcy.

\* AHes aussteigen \* wrzasnął zawiadowca stacji w czerwonej czapce i wszyscy pasażerowie jadący do

Holandii posłusznie zaczęli wysiadać z pociągu. Na peronie stali rzędem strażnicy graniczni z owczarkami alzackimi i masywnymi karabinami maszynowymi, uważnie obserwując podróżnych.

\* Passkontrolle\* krzyknął jakiś inny funkcjonariusz. Wraz z innymi, posłuszna i przestraszona jak wszyscy, ruszył w stronę stojącego na peronie wysokiego biurka, za którym siedział jeden ze strażników. Wydawał się nie zauważać pary buchającej z lokomotywy, rzucając zza okularów spojrzenie to na paszport, to do dużej książki leżącej obok. Od znajomych Żydów, którzy wyjechali już z Trzeciej Rzeszy, wiedziała co w niej jest. Była to czarna księga zawierająca nazwiska tych, którzy mieli być z miejsca aresztowani, jeśli zostaną zatrzymani. Jej nazwiska tam nie było. Ale sytuacja, w jakiej się znajdowała, była niemal równie zła. W jej paszporcie widniała bowiem wstemplowana na czerwono litera \* oznaczająca Ju de \* Żydówka. Wiedziała, że czeka ją specjalna procedura.

Stanęła naprzeciwko człowieka w okularach. Otworzył jej paszport, zobaczył czerwony stempel i znużonym gestem wskazał na stojącą z boku peronu budkę. \* Żydówki tam \* na specjalne sprawdzenie.

Tłumiąc strach Lisa ruszyła w stronę budki, która, jak teraz zauważyła, została zbudowana na miejscu dworcowej toalety. Otworzyła drzwi i uderzył w nią odór stęchłego moczu i środków dezynfekcyjnych. Jakaś kobieta o surowej twarzy i z włosami zaczesanymi w kok stała z rękami założonymi na masywnej piersi. \* Żydówka? \* rzuciła szorstko.

Lisa skinęła głową, patrząc na nią tępo. Kobieta wręczyła jej od razu papierowy kubeczek. \* Wypij to \* rozkazała. \* To jest olej rycynowy. A potem idź do tamtej kabiny i wysraj się do wiadra.

Lisa mogła krzyżeć, ale milczała. Wiedziała, czego chcą naziści. Chcieli sprawdzić, czy nie połknęła kosztowności i nie próbuje ich w ten sposób przemycać.

Przełknęła obrzydliwie cuchnący olej i posłusznie ruszyła do kabiny.

\* Aha, i rozbierz się\* dodała Niemka. \*Muszę przeszukać twoje ubranie. Potem sprawdzę ciebie.

\* Tak \* odpowiedziała Lisa tępo, starając się nie tracić panowania nad sobą. Policzki jej płonęły, czuła się upokorzona. Ale wiedziała, że to wszystko się skończy za jakąś godzinę i znów będzie siedzieć w pociągu do Holandii, a stamtąd do Anglii, pozostawiając daleko za sobą przekłętą hitlerowskie Niemcy.

Poczuła, że jelita zaczynają pracować. Pospiesznie zdjęła ubranie i usiadła na kubku. Tylko naziści mogli wymyślić coś takiego, pomyślała, podczas gdy jej wnętrzności przewracały się i burczały.

\* Skończyłaś, Żydówko?\* zapytała po jakimś czasie kobieta o surowej twarzy.

\* Tak \* odparła słabo, czując, że robi jej się niedobrze.

\* Wychodź już \* usłyszała rozkaz. \* Nago.

Lisa odsunęła koc zastaniający kabinę i wyszła. Kobieta obrzuciła ją zimnym spojrzeniem. \* Podnieś ręce \* rozkazała.

Lisa posłusznie uniosła obie ręce do góry.

Niemka podeszła bliżej. Lisa z obrzydzeniem poczuła przenikliwy zapach niemytego ciała. Bezceremonialnie zaczęła obmacywać jej pachy, a potem miejsca pod piersiami.

\* Opuść ręce \* powiedziała szorstko.

Lisa zrobiła, co jej kazano, a kobieta zaczęła przeszukiwać grubymi palcami jej włosy.

\* Rozstaw nogi.

Lisa zawahała się. Czy nie starczy już tych upokorzeń?

\* Mówię, rozstaw nogi! \* warknęła Niemka. \* Mówią, że wy, Żydówki lubicie rozkładać nogi, jak wam się tylko nadarzy okazja \* zaśmiała się ochryple. Lisa zrobiła to, co jej kazano.

Kobieta wsadziła palec do jej pochwy. Zrobiła to brutalnie i miała ostry paznokieć. Lisa skrzywiła się z bólu, a kobieta znowu zaczęła się śmiać. \* A co, myślałaś że będzie tu wazelina i uprzejma rozmowa? \* szydziła ze śmiechem. \* No dobrze, Żydówko, możesz się ubrać. Twoje gównno sprawdzę potem.

Lisa pośpiesznie sięgnęła po złożone na stołku ubrania, kiedy twardy, męski głos zatrzymał ją. \* Nie ruszać się.

W drzwiach stał jakiś mężczyzna. W wydatnych ustach miał zgaszone cygaro, a jego oczy łakomie ślizgały się po jej nagim ciele. Zastłoniła rękami piersi.

Miał „gestapo” niemal wypisane na czole. Okryty długim do kostek płaszczem z ciemnozielonej skóry, z czarnym kapeluszem naciągniętym nisko na czoło, jakby chciał ukryć opasłą, plugawą twarz.

W tej samej chwili wiedziała, że się nie myli. Zwrócił się do kobiety: \* Zostaw nas. Chcę sprawdzić tą Żydówkę osobiście.

Niemka spojrzała w oczy mężczyźnie i przez chwilę jakby się zawahała, ale potem powiedziała posłusznie: \* Jawohl, Herr Oberkommis\*sar\* i wyszła, zostawiając ich samych.

Wolno, z rozmysłem, przesuwał niedopałek cygara z jednej strony grubych ust na drugą gestapowiec zaczął rozpinać płaszcz. Całymi latami pamiętała później ten dźwięk trzeszczącej skóry.

\* Chodź tu \* powiedział nie spuszczać z niej ani na chwilę wyłodniałego spojrzenia.

Jak w transie przeszła przez pomieszczenie do miejsca, gdzie stał. Wiedziała, że stanie się coś złego, ale czuła też, że nie może zrobić nic, aby temu zapobiec. Była całkowicie we władzy tego złego człowieka.

Chwilę później gestapowiec upewnił ją w tym przekonaniu.

\* Słuchaj, Żydówko \* powiedział, trzymając rękę na rozporoku. \* Rozumiesz, że mogę z tobą zrobić, co mi się tylko spodoba? \* przesunął cygaro w drugi koniec ust. \* Jestem panem życia i śmierci dla całej waszej rasy. Jedno słowo i pójdziesz do obozu. Wiesz o tym?

Nie mogła wydobyć głosu, więc tylko pokiwała tępo głową i z napięciem czekała na to, co będzie dalej.

\* Dobrze. Więc nie mam zamiaru brudzić mojego uczciwego niemieckiego kutasa, wtykając go w jakąś tam Żydówkę \* uśmiechnął się szyderczo, rozweselony swoim własnym żartem. \* A jednak miałbym ochotę na trochę rozrywki w taki nudny wtorek jak dziś. \* Nie spiesząc się, zaczął odpinać spodnie, nie spuszczać z niej wzroku ani na chwilę.

Czuła, że jej ciało drży, a oczy panicznie krążą wokół, jak oczy złapanego zwierzęcia.

Skończył odpinanie rozporka. Sięgnął wielką, tłustą łapą w głąb i wyjął swój organ, brzydki i zniekształcony, a mimo to już w lekkim wzwo\*dzie. \* Popatrz sobie na to, Żydówko. \* Jego głos brzmiał hamowaną żądzą. \* To jest jedyny kawał prawdziwego niemieckiego salami, jaki zobaczysz w swoim życiu... na kolana!

Poczuła, że zaraz zemdleje. Tylko najwyższym wysiłkiem woli była w stanie zrobić to, co jej kazał.

Teraz patrzył na nią z góry, nie kryjąc pogardy. \* Tu wasze miejsce, wszystkie wy żydowskie dziwki \* kpił \* na kolanach! \* Nagle złapał ją brutalnie za włosy i gwałtownie przyciągnął do siebie. \* Ssij teraz! \* w tej samej chwili poczuł w ustach tą odrażającą rzecz...

\* Lisa... Lisa \* głos Challengeera, cichy (jak na niego) i pełen niepokoju wydawał się płynąć gdzieś z daleka.

Poruszyła głową i otworzyła oczy. Okropny obraz raptownie odpłynął z jej wyobraźni.

\* Jęczałaś przez sen \* powiedział Challenger i teraz już go widziała w ciemnej poświacie księżyca wpadającej przez otwarte klapy namiotu \* i mówiłaś coś po niemiecku, nic nie rozumiałem. Ale brzmiało to okropnie.

Instynktownie otarła usta wierzchem drżącej ręki. Challenger pogłaskał delikatnie jej spocone czoło. \* Już dobrze, Lisa, prawda? \* zapytał z wyrazem zmartwienia w oczach. \* Będę

się tobą opiekował. Jesteś całkiem bezpieczna ze mną\* i z majorem Hardem.

Wzięła jego rękę i ucałowała ją.

Challenger spojrział na nią zdziwiony. \* A co, do licha... \* zagrzmiął.

\* Dziękuję\* wyszeptła. Przerazające wspomnienie tamtego popołudnia już całkiem odpłynęło. \* Wiem, że będziesz mnie chronić. Wiedziałam to od dnia, kiedy wyjeżdżaliśmy w tą podróż.

\* Dzięki Bogu, już ci chyba lepiej \* cicho odparł Challenger i stanął przy jej pryczy. \* Ten koszmarny sen to może efekt uboczny działania środka nasennego połączony ze zdenerwowaniem przed tym, co nas jeszcze czeka.

\* Tak, pewnie tak \* powiedziała tylko, bo nie miała ochoty opowiadać mu, co naprawdę stało się wtedy w Emmerich. Wiedziała, że z jego gwałtownym usposobieniem żaden Niemiec, który wpadłby potem w jego ręce, nie uszedłby z życiem. \* Dziękuję, że się o mnie tak troszczysz. Sama nie wiem, jakież głupstwa mi chodzą po głowie.

Challenger spojrział na nią przenikliwie: \*Niech ci chodzą po głowie wszystkie głupstwa świata, bylebyś nie była nieszczęśliwa. Chciałbym, żebyś już nigdy w życiu nie była nieszczęśliwa. \* Niezdarnie pogładził jej rękę swoją wielką owłosioną łapą i Lisa zdała sobie sprawę, że między nią a „starym Podróżnikiem w Czasie” zawiązała się całkiem nowa i całkiem inna więź.

\* Lisa, major Hard mówił mi właśnie, że ruszamy za jakąś godzinę. Więc myślę, że powinnaś już się szykować do drogi.

Skinęła głową bez słowa.

\* Aha, byłbym zapomniat, ten oficer z wywiadu prosił, żeby ci to przekazać... \* Challenger zmieszał się niespodziewanie. \* Powiedział, że to do torebki, na wszelki wypadek. \* Wyciągnął z kieszeni mały rewolwer z uchwytem z masy perłowej, który wyglądał na jego wielkiej dłoni jak miniatura broni. \* Mówił, że ma to od pewnej włoskiej burdel\*\*mamy, która prowadziła frontowy interes na kótkach, a oni zdobyli tamte tereny. \* Challenger zmieszał się jeszcze bardziej i wręczył jej mały pistolecik, jakby zaczął go nagle parzyć. \* Proszę bardzo. A teraz idę, żebyś mogła się swobodnie przygotowywać.

\* Profesorze \* zaczęła Lisa, zdając sobie sprawę, że nie zna nawet jego imienia \* czy możesz mnie... pocałować, zanim pójdziesz? Proszę cię.

\* Jeju \* szepnął Challenger w osłupieniu \* no coś takiego!

Na zewnątrz Smits cmoknął cicho. Wciąż zastanawiał się, dlaczego ta dwójka cywilów była aż tak ważna. A teraz jeszcze fakt, że ta kobieta, która niebyła wcale doktorem medycyny, bełkotała przez sen po niemiecku... to go zafrapowało jeszcze bardziej. Co oni, do diabła ciężkiego, mieli tu do roboty? W zamyśleniu podszedł do motocykla, który wcześniej „kupił” odjakiegoś kaprała za dwie butelki brandy. Kiedy Hardi jego banda ruszą, on pojedzie za nimi. Hrabia von Almaszy wyraźnie mówił, że mu na pewno nie uciekną.

Pięćdziesiąt jardów dalej Hard kończył pakowanie sprzętu. Kiwał właśnie palcem na sierżanta Williamsa i wskazał, że ma z nim pójść na tył trzytonowej ciężarówki, w którą wyposażyło ich dowództwo wywiadu. Hard wyciągnął swoją piersiówkę i podał ją sierżantowi. \* Napij się trochę \* to prawdziwa szkocka \* nie żadna tam egipska lura.

W bladym świetle księżycy zauważył na twarzy Williamsa wyraz zdziwienia. Ale nie codziennie można tu było spróbować prawdziwej whisky, więc żołnierz wziął flaszkę z wdzięcznością, mówiąc: \* Dzięki, sir \* i podniósł ją do ust. Wziął duży łyk, wydyszał „aach” i wręczył ją z powrotem Hardowi. \* To było to \* dodał.

Hard uśmiechnął się, choć nigdy nie miał mniejszej ochoty na uśmiech. \* Dobrze \* powiedział \* A teraz, sierżancie jest pan moim zastępcą. Muszę więc przekazać panu pewien rozkaz. \* Zwilżył językiem spierzchnięte wargi i spojrział na otwartą, uczciwą twarz sierżanta, dobrze widoczną w srebrzystej poświacie księżycy. Tylko częściowo rejestrował nieustanny huk niemieckiej artylerii, który trwał bez przerwy od rana. \* Jeśli coś mi się stanie, to pan, sierżancie, przejmuje dowództwo. W tej sytuacji zobowiązuję pana do wykonania tego rozkazu, który ja muszę wykonać, jeśli będzie prawdopodobne, że

profesor Challenger i doktor Stein wpadną w ręce wroga.

\* Co to za rozkaz, sir? \* zapytał Williams uprzejmie, wciąż czując w gardle ciepłe promieniowanie Scotcha.

Głos Harda zabrzmiał szorstko: \* Zastrzelić ich. Williams popatrzył na swojego dowódcę, jakby ten właśnie stracił zmysły: \* O rany \* wykrztusił.

## Rozdział dziesiąty

\* Lepiej założę już mój bojowy melonik \* woM pułkownik wywiadu,prze\*krzykując grzmienie dział. Zdjął służbową czapkę z czerwonym otokiem i rzucił w ciemność jakby miała mu się już nigdy nie przydać, a wiedział, że się nie przyda. Potem dopasował pod brodą pasek swojego stalowego hełmu.

Niebo przed nimi rozbłyskiwało co chwilę flarami sygnalizacyjnymi i jaskrawoczerwonymi wybuchami pocisków. Gdzieś tam niemiecki pocisk trafił i wysadził skład benzyny. Wielki jasny, szkarłatny płomień w kształcie grzyba wspinał się coraz wyżej w księżycowe niebo.

Pułkownik poklepał czubek hełmu sprawdzając, czy dobrze siedzi i krzychał dalej: \* Musicie przejechać przez linię Gurkhów. Są najbliżej morza i przybrzeżnej drogi, którą szkopy pójda w czasie natarcia. Myślę, że ci dzielni mali ludzie wytrzymają o wiele dłużej niż Hindusi z Maharasztry na prawym skrzydle. Niemcy śmiertelnie się boją Gurkhów.

Hard skinął głową i zapytał: \* Czy zostali uprzedzeni, że będziemy tamtędy przejeżdżać? W wirze walki nie chciałbym zostać trafiony przez swoich. To boli podwójnie.

W nagłym rozbłysku wybuchającej bomby Hard zobaczył uśmiech na twarzy pułkownika, choć w jego nabiegłych krwią oczach pozostał wyraz smutku. \* Z pewnością boli. Tak, zostali poinformowani. Ale trzymajcie się szosy i nie zbaczajcie na pustynię. Ich dowództwo mieści się przy głównej drodze.\*Pułkownik wyciągnął rękę. \* To by było na tyle, Hard. Chciałbym życzyć panu powodzenia...

Hard uścisnął mu rękę i odparł: \* Dziękuję, sir. Bardzo pan nam pomógł. \* Pochylił się instynktownie, kiedy jakieś sto jardów od nich wy

buchła bomba, a chmura piasku spadła na przygotowane do drogi wozy.

\* A może pojedzie pan z nami, sir? Nie sądzę, żeby ktoś tu jeszcze mógł w czymś pomóc.

\* Dziękuję za propozycję, mój chłopcze. Ale już mówiłem: mam dość ciągłych ucieczek. Trwa to już dwa lata \* na pustynię i z pustyni. Dość mam tego wszystkiego. Tym razem zostaję.

Hard stanął na baczność i zsalutował. \* Życzę szczęścia, sir. Pułkownik ociężale podniósł do hełmu swoją oficerską laseczkę.



\* Dziękuję, Hard. A teraz lepiej już jedźcie. \* Odwrócił się i zaczął brnąć przez piasek, aż zniknął w cienności. Hard wiedział, tknięty przecuciem, że nie zobaczy go już więcej. Jednooki pułkownik zginie w Tobruku.

Zostawił go. Musiał teraz zająć się swoimi ludźmi, a pozostało mu już niewiele czasu. \*W porządku, odpalamy \* zawołał do kierowców, przekrzykując hałas, a zwracając się do sierżanta Williamsa powiedział:

\* Pan, sierżancie, weźmie pod opiekę profesora Challengeera i doktor Stein do drugiego wozu. \* I porozumiewawczo skinął głową.

Williams zmarszczył brwi. Nie podobało mu się zadanie, którym obarczył go Hard. Zabił co prawda wielu wrogów w ciągu ostatnich trzech lat, ale myśl o zastrzeleniu z zimną krwią dwójki swoich napęliła go najwyższym obrzydzeniem. Mimo to postarał się, żeby w jego głosie zabrzmiał zapał, którego nie miał w sobie za grosz. Wiedział, że musi okazać lojalność swojemu dowódcy. \* Tak jest, sir. Niech pan zostawi to mnie.

Silniki Dodge'a i trzytonowej ciężarówki zapaliły z hłaśliwym warkotem. Hard rzucił jeszcze okiem na ruiny Tobruku rysujące się na ciemnym szkarłacie łuny nad portem i potrząsnął głową. Ależ to marnotrawstwo, ta wojna, pomyślał, a potem odwrócił się i wskoczył do Dodge'a na przednie siedzenie obok kierowcy \* Smitha. \*Dobra, Smithie, zabieramy się stąd.

\* Tak jest, sir \* krzyknął Smith takim tonem, jakby robił to w słoneczny dzień w czasie parady przed Pałacem Buckingham. Hard czasami myślał, że była to z jego strony szydercza drwina, ale w tej chwili nie chciał o tym rozmyślać. Pragnął wyjechać z Tobruku jak najszybciej. Z trwającego przez cały czas niemieckiego bombardowania wynikało niezbicie, że Rommel i jego Afrika Korps wkrótce ruszą do ataku.

Jadąc ze stałą prędkością trzydziestu mil na godzinę skierowali się Via Balbia na wschód. Na drodze panował spory ruch, ale w odwrotną stronę. Mijały ich ambulanse z rannymi, na światłach i sygnale, ciężarówki przewożące działa na bezpieczniejsze pozycje i wozy z ludźmi, którzy porzucili swoją broń i dezercerowali z frontu, zanim jeszcze rozpoczęła się ofensywa.

Hard patrzył na to ponuro. Nie podobało mu się wcale, że brytyjscy żołnierze uciekają, choć widział już wcześniej wielu dezercerów. Pod Dunkierką udało im się utrzymać żołnierzy w okopach tylko pod groźbą zastrzelenia wszystkich, którzy próbowali dać dyla. Wciąż jednak ciężko było mu na to patrzeć. Siedzący obok Smitha mruknął ponuro: \* Banda cholernych mięczaków. Niewarci zepsutej kuli. Trzęsą portkami na widok paru bomb.

Hard machnął ręką na tchórzy i skoncentrował się na drodze. Pociski padały po obu stronach, ale wiedział, że niemieccy artylerzyści nie będą celować bezpośrednio w drogę. Chcą pewnie użyć jej potem sami i być może uderzą właśnie z tej strony.

\* Smithie, gaz do dechy\* rozkazał spokojnie, myśląc, że czas ich goni. Jeśli chcą mieć szansę, muszą wydostać się z Tobruku przed świtem. \* Jak ktoś stanie na drodze, jedź po nim \* dodał szorstko.

\* Dobra, panie majorze \* zarechotał Smith. \* Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby rozjechać paru tych tchórzliwych gnojków. Jak zostawił swoich kumpli na froncie, to mu się należy po dupie. \* Przycisnął zdecydowanie pedał gazu. Dodge szarpnął do przodu. Za nimi Smits także zwiększył prędkość...

Dwie mile dalej von Almaszy w zdobytym jeepie prowadził za sobą brytyjską ciężarówkę wypełnioną brandenburczykami. Miał na głowie czapkę brytyjskiego majora, ale reszta munduru \* koszula i krótkie spodnie w kolorze khaki \* była niemiecka. Nawet dla Rommla nie zamierzał ryzykować, że zostanie ujęty w brytyjskim mundurze i zastrzelony jako szpieg. Jego ludzie byli ubrani podobnie.

Planował przejechać przez linie Gurkhów pomiędzy dwoma składami broni. Miał nadzieję, że w świetle księżycy wezmą ich za brytyjskich żołnierzy wracających na linię. Zresztą już wkrótce Smits skontaktuje się z radiowcem, który siedział w jeepie tuż za nim, i przekaże dokładne namiary na Harda i jego bandę. Pozwolił sobie na chłodny uśmiech, pewny, że wszystko idzie według planu...

Właśnie mijali dowództwo 11. Brygady Piechoty, do której należeli też Gurkhowie, kiedy Hard zorientował się, że ktoś za nimi jedzie. Zmarszczył brwi. To dziwne, pomyślał zaskoczony. Wszyscy oprócz nas uciekają od pierwszych linii. Po co ten ktoś na motocyklu jedzie prosto w tamtą stronę?

Zaczął ostrożnie obserwować ciemną postać na motocyklu, która jechała jakieś dwadzieścia jardów za nimi, utrzymując stałą odległość mimo zmieniającego się tempa ich wozów.

Nagle, tknięty przecuciem, rzucił: \* Smithie, jak tylko będzie trochę miejsca na drodze, zakręć gwałtownie i jedź do tyłu, dopóki nie każę ci się zatrzymać.

\* Co takiego, sir? \* zapytał Smith zaskoczony. Hard powtórzył instrukcję.

Smith kiwnął głową. \* Okay, sir. Widzę tam jakąś przerwę. Przynajmniej żadnych świateł z naprzeciwka.

\* Dobra, zrób to tam. \* Hard odpiął kaburę, wyjął dużego colta i odbezpieczył go.

\* Już! \* wrzasnął Smith i ostro zakręcił kierownicą. Zapiszczały opony i Dodge gwałtownie zawrócił, prując piasek po drugiej stronie drogi. Manewr zaskoczył Smitsa całkowicie. Nacisnął hamulec \* za późno! Dodge już się z nim zrównał i zahamował w chmurze piasku. Z bocznego okna wychylał się Hard z pistoletem z dłoni, wrzeszcząc: \* Stój tam, gdzie jesteś! Złaż z motocykla i podejdź tutaj \* szybko! I żadnych sztuczek.

W tej samej chwili, kiedy kierujący ciężarówką Dicky Bird także zahamował i sierżant Williams krzyknął: \* Coś się stało, sir? \* żałosna postać zsiadała z motoru i podchodziła do czekającego na niego Harda.

\* Zdejmij te gogle \* rozkazał Hard.

Zrobił to niechętnie, a w tym czasie jeden z żołnierzy zeskoczył z tyłu ciężarówki, pobiegł do motocykla i zaczął go przeszukiwać.

\* Doktor Smits! \* krzyknął Challenger z ciężarówki, kiedy nagły wybuch bomby oświetlił jego twarz.

\* Zna go pan, profesorze? \* Hard z trudem przekrzykiwał harmider.

\* Tak, spotkaliśmy się parę razy w Tobruku. Jest chyba lekarzem wojskowym u korpusie południowoafrykańskim.

\* To w takim razie dlaczego nie jest w swoim punkcie szpitalnym, tylko jedzie za nami?

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, żołnierz obszukujący motocykl krzyknął: \* Sir, jest tu z tyłu szwabski schmeisser\* i radio. Też szwabskie. Widziałem takie w ich rozbitych wozach.

\* A, to taka zabawa, ha! \* wybuchnął Hard. \* Szpieg.

Smits skurczył się ze strachu. \* Nie \* mruknął jakby mówił do siebie \* jestem...

\* Sind Sie Deutscher! \* Lisa krzyknęła z ciężarówki, używając tego znienawidzonego języka po raz pierwszy od 1937 roku.

Hard odwrócił się. \* Szybko, doktor Stein \* zawołał ją. \* Musimy wiedzieć, o co mu chodzi.

Lekko zeskoczyła z paki ciężarówki i podbiegła do nich. Spojrzała w przestraszone oczy Smitsa. W świetle ognia wybuchających bomb jego twarz miała kolor jasnoczerwony. Nagle stanął jej przed oczami ten dzień w Emmerich. Przypomniała sobie jak ją torturował olbrzymi gestapowiec. Jak ją poniżał, jak zmusił ją, żeby wzięła do ust jego plugawy męski organ i robiła takie rzeczy, o jakich bała się nawet myśleć w obawie, że się załamie. Stanęła twarzą w twarz z rzekomym lekarzem. \* W porządku, Smits \* powiedziała głośno i pewnie \* o ile to pana prawdziwe nazwisko. \* I nieoczekiwanie dla wszystkich dookoła wyciągnęła z torby pistolet. Z kamienną twarzą wycelowała lufę w jego pierś. Ręka jej nie drgnęła. \* Mów albo właduję ci to w piersi.

\* Dobry Boże! \* wykrzyknął profesor Challenger. \* Nie wiedziałem, że ją na to stać. Cóż to za absolutnie wspaniała dziewczyna!

\* Ja... ja nie... \* Smits jękał po angielsku.

\* Halt die blode Schnauze! Die Wahrheit oder es knallt\* \* twardo krzyknęła mu prosto w twarz.

\* Halt die blode Schnauze! Die Wahrheit oder es knallt (niem.) \* Zamknij tą głupią gębę! Mów prawdę albo ci ją odstrzelę \*przyp. tłum.

Smits widział, jak jej palec poruszał spust pistoletu. Wiedział, że nie można spodziewać się litości ze strony tej szalonej kobiety. Była Żydówką, niemiecką Żydówką. Zabije go bez zmruczenia oka. \* Musiałem za wami jechać \* powiedział w końcu.

\* Dlaczego? \* rzuciła szorstko.

\* Żeby przekazać informacje o waszym położeniu.

\* Komu? \*jej pytania padały jak twarde uderzenia.

\* Hauptmannowi von Almaszy z oddziału brandenburczyków.

\* Brandenburczyków? \*powtórzyła zaskoczona.

Hard wyjaśnił szybko: \* To rodzaj niemieckich komandosów na usługach ich tajnych służb, Abwehry.

\* Ja, ja \* wyjąkał przerażony Smits. \* Die Abwehr. Ale błagam, błagam, nie zabijajcie mnie. \* Smits splótł ręce w błagalnym geście, na jego policzkach lśniły łzy.

\* Nie zastrzelimy cię\* odezwał się Hard \*jeśli powiesz nam to, co chcemy wiedzieć.

\* Tak, tylko szybko \* Lisa nerwowo pogroziła mu pistoletem, kiedy nowa salwa pocisków wybuchła gdzieś niedaleko nich. Wiedziała, że nie zostało im wiele czasu.

\* Mają was złapać zanim zacznie się natarcie \* mówił Smits przerywanym głosem. \* Ja miałem za zadanie przez cały czas informować ich o waszym położeniu.

\* Dobrze \* Hard szybko podjął decyzję. \* Williams, kryj go. Chcę, żeby nadał wiadomość do tego faceta od brandenburczyków.

Williams spojrzał zaskoczony na swojego dowódcę, jakby ten nagle postradał zmysły.

Hard uśmiechnął się niecierpliwie. \* Nie martw się, sierżancie. Nada wiadomość o naszym położeniu o parę mil dalej w całkiem innym kierunku.

Spojrzał na trzęsącego się ze strachu człowieka. \* Idź do nadajnika i przekaz taką wiadomość: cel, zmierza w kierunku brytyjskiego NAAFI. Oni dobrze wiedzą, gdzie to jest. Mają je już pewnie namierzone do szabrowania...

Pięć minut później jechali dalej, pozostawiwszy Smitsa stojącego bezradnie przy strzaskanym motocyklu i zniszczonym nadajniku.

Za nimi płonął Tobruk.

Część trzecia

Ucieczka z Tobruku

„Bez obaw. Damy im radę!”

Profesor Challenger do majora Harda, Tobruk, 22 czerwca 1942

## Rozdział pierwszy

Christian włożył banknot pięćofuntowy, który pożyczył od Quayle'a, do koperty wraz z krótkim listem do Cary. Wręczył zaklejoną kopertę młodemu, przystojnemu kapitanowi i powiedział: \* Dziękuję za pożyczkę. Będę wdzięczny, jeśli pan to dla mnie wyśle. To do kobiety. Może pan to ocenzurować, ale właściwie piszę jej tylko, że wracam na Maltę za jakiś tydzień.

Quayle zmarszczył brwi, mówiąc cynicznie do siebie w duchu: \* To ty tak myślisz.

MuckyDuck był gotowy do wypłynięcia. Robotnicy portowi i ludzie z Marynarki Królewskiej dwoili się i troili, żeby go skończyć na czas. Nie udało im się tylko pomalować kadłubu, więc było wyraźnie widać blizny po ostatnich ranach. Jednak stary holownik znów był sprawny, a na pokładzie, jak dawniej krzątał się bosman Thirsk, przygotowując wszystko do drogi.

\* Jakie wieści z dowództwa? \* zapytał Christian, nieznacznie uśmiechając się na widok starych numerów Thirska. Mogło się wydawać, że bosman uważa Mucky Ducka za swoją prywatną własność.

Quayle odparł rzeczowo: \* Sztab marynarki wojennej sygnalizował dzisiaj o szóstej zero zero, że niemieckie wojska morskie koncentrują okręty podwodne i ścigacze torpedowe w ogólnym rejonie Tobruku. Według wywiadu oznacza to, że niedługo się zacznie szwabska ofensywa i że Niemcy ustawiają swoje okręty tak, żeby uniemożliwić jakąkolwiek pomoc ze strony naszych w Aleksandrii \* na jego twarzy pojawił się wyraz zafrasowania.

Christian nie zauważył tego. Już tak wiele razy był w niebezpieczeństwie na morzu, że przyjmował zagrożenie jako oczywisty fakt. Chrząknął i zapytał: \* A co z rejonem Gibraltaru?

\* Prawdopodobnie czysty \* odparł Quayle. \* Niemcy najwyraźniej koncentrują wszystkie wysiłki na Tobruku.

\* Hm, to już coś \* Christian przyglądał się jak Thirsk wymyślał Co\*xowi \* marynarzowi około czterdziestki, który pływał po morzu od kiedy skończył czternaście lat, i nigdy nie został awansowany, a to dlatego, że był nieco powolny i przygłupi. \* Co to znaczy, do jasnej cholery, że miałeś zamiar! Powinno już być dawno zrobione! \*wydzierał się.

Quayle spojrzął w kierunku, w którym patrzył Christian i zauważył: \* Trochę się denerwuje, co?

\* No tak. Ale on i ten jego podwładny \* Cox \* to jedyni zawodowi żołnierze na pokładzie. Stary Thirsk się wkurza, jak inny żołnierz mu nawala. Z tymi „na działania wojenne” to nie ma dla niego takiego znaczenia.

\* Na działania wojenne? \* zapytał zdziwiony Quayle.

\* No tak, chłopaki, którzy zostali wcieleni do armii tylko na czas wojny.

\* Rozumiem. A pan, Christian? Pan jest też tylko „na działania wojenne”? \* zapytał Quayle.

\*Chyba tak.

\* I co pan będzie robił, kiedy to wszystko się skończy?

Christian wzruszył ramionami i skinął do dokerów, którzy zaczęli już odwijać cumy holownika. \* Nie wiem. Może wrócę do Johna Go\*oda. OdHull, piekła i Halifaxu, Boże zachowaj nas. Jeśli mnie tam przyjmą. \* Zaśmiał się krótko.

I znów Quayle wyglądał, jakby nic nie rozumiał, więc Christian wyjaśnił: \* Do kompanii przewozowej Johna Gooda w Hull... A pan, kapitanie Quayle?

\* Po wojnie? Ja wrócę do garderoby i szminek.

\* Aktor?

Quayle zaśmiał się lekko. \* Tak jest, kapitanie. \* Wyciągnął rękę, kiedy pod nimi zaczęto już oddawać cumy.

\* Wszystkiego najlepszego. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się panu pomyślnie.

\* Dziękuję.

Quayle pośpiesznie spuścił się z mostka po klekocącej, żelaznej drabince i lekko zeskoczył na nabrzeże.

Parę minut potem stary holownik, zostawiając za sobą smugę czarnego dymu z potężnego komina, wyruszył na Morze Śródziemne.

Quayle patrzył, jak odpływa. Na jego przystojnej twarzy malował się wyraz zadumy. Spojrzał na słońce wschodzące nad morzem. Zawsze uważał się za bardzo racjonalnie myślącą osobę \*jak na aktora \* ale teraz opanowały go jakieś złe przeczucia i całkiem nie wiedział dlaczego. Jednocześnie miał dziwną pewność, że widział kapitana Christiana ostatni raz w życiu i że nie wróci on już do swojego Hull. Jak to powiedział Robinson Crusoe? „Jeśli miałbym przeczucie, że wrócę do Hull, byłbym szczęśliwym człowiekiem”. Quayle uniósł brwi. Biedny, stary Christian. Potem odwrócił się i odszedł do swojego jeepa. Stary Mucky Duck powoli zniknął na horyzoncie...

\* O, wróć już, wróć, Jolly Jack Straw \* zawodzący głos Sparksa czytającego jakiś wiersz z Daily Mirror sprzed trzech dni pobrzmiwał akcentem walijskim. \* Zabójcze morze skuwają lód. Wealthier na brzegu zamyka swe drzwi. A jasnowłosa czeka z herbatą...

\* Przymknij się, do cholery \* prychnął Bunts leżący na sąsiedniej koi. Mucky Duck płynął stałym tempem na południe. \* Co to za bzdety? I pospiesz się z tym pisemkiem, bo chcę zobaczyć, czy Jane znów pokazuje cycki. W ostatnim numerze była rozebrana do majtek i stanika.

Sparks spojrział na swojego towarzysza z nieskrywaną pogardą. \* Ty, facet, myślisz tylko o jednym. A może zainteresowałbyś się trochę kulturą.

\* Czego chcesz \* odpalił Bunts. \* Znam się na kulturze. Wygrałem nawet nagrodę pisarską, jak byłem

młodszy. A poza tym to nie jest prawdziwy wiersz. Wiersze mają się rymować, no wiesz Sparks, jak ten, co go umiem na pamięć: „Na nic ci przyjdzie podpierać mury, kraby tu skaczą sześć stóp do góry”. \* Zaśmiał się zadowolony z siebie. \* To jest sakramencka poezja. No dobra, podaj mi ten kawałek z Jane. Jak będziemy mieć szczęście, to dzisiaj zobaczymy ją bez majtek. \* Oblizał grube wargi.

\* Śliczniutka, że tylko ją schrupać.

Sparks niechętnie wyjął kartkę z obrazkiem rozebranej dziewczyny i wręczył ją Buntsowi. \* No i co teraz zrobisz? Cichutki numerki na własną rękę, co?

Ale pokładowemu sygnaliście nie dane było zobaczyć, czy śliczna Jane ma dziś na sobie majtki, ani też wykonać „cichutki numerki na własną rękę”, ponieważ właśnie w tym momencie drzwi od kajuty radiowej otworzyły się gwałtownie i usłyszeli głos bosmana Thirsk: \*A to co za chlew? Nie, nawet świnia by się wstydziła tu siedzieć. \* Obrzucił spojrzeniem bałagan panujący w małej kabinie. \* Ma tu wszystko błyszczeć, zanim kapitan będzie robił pierwszy obchód. \* Nagle jego głos zmienił się: \* Ty, Sparks, kapitan chce się z tobą widzieć na pokładzie \*spojrzał na Buntsa. \* A ty posprzątasz tu w międzyczasie. I nie mów mi, do cholery, że nie masz dziś wachty, bo jesteśmy na stanowiskach dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tak mówi kapitan.

\* \* \*

\* Sparks \*odezwał się Christian, trzymając w swojej wielkiej jak młot ręce duży kubek herbaty doprawionej obficie whisky. \* Naszym zadaniem jest spotkać się z patrolem na wybrzeżu libijskim. To żołnierze z pustynnego oddziału. Wszyscy zawodowcy. Będą próbowali złapać z nami kontakt radiowy, żeby dać nam znać, gdzie są, zanim się spotkamy. \* Łyknął wspaniałego gorącego napoju i dodał: \* Wiesz coś o sprzęcie tych pustynnych oddziałów? Jaki nadajnik mogą mieć? I jak daleki ma zasięg?

Sparks myślał przez chwilę, przed nimi falowała bezkresna zielona powierzchnia morza. Nie było widać żadnego innego statku. Zdawało się, że są całkiem sami na całym świecie. \* Będą pewnie mieli osiemnastkę, sir\* odezwał się Sparks. \* Grat nie radio. Ma zasięg najwyżej na dwanaście mil, to jest na lądzie. Na wodzie będzie trochę lepiej, ale nie dałbym mu więcej niż czternaście albo piętnaście mil. Na tą odległość z pewnością można usłyszeć sygnał.

\* Dziękuję, Sparks. \* Christian zamyślił się na chwilę, a potem powiedział: \* Podam ci ich częstotliwość później, jak będziemy bliżej Libii. Możesz już iść.

Młody sygnalista zasalutował i szedł z mostka kapitańskiego. Pomyślał, że jeśli z wyrazu twarzy kapitana można cokolwiek wyczytać, to sprawy zapowiadają się nie najlepiej.

Christian przez chwilę milczał. Potem odwrócił się do Thirsk, który przejął teraz ster. \*No, szefie, jeśli chcemy monitorować drogę tego patrolu do miejsca spotkania, to będziemy musieli podejść bardzo blisko. I wiesz, co to oznacza? \* rzucił starszemu bosmanowi badawcze spojrzenie.

\* Wiem, sir. Najlepiej by było płynąć prosto z morza i zabrać ich od razu. W ten sposób mielibyśmy większe szanse na uniknięcie ich radarów...

i statków powierzchniowych \* dodał szybko Christian.

\* To też, sir \* przyznał Thirsk. \* A tak musimy włączyć się tuż przy wrogim brzegu \* i to tak długo.

\* Zgoda \* Christian uniósł brwi. \* Ale obawiam się, że nie ma tu innego sposobu. Będziemy musieli zacisnąć zęby i zrobić to, kiedy tylko zapadnie noc \* zdecydował Christian. \* Zwieramy szeregi, nawet jeśli nic nie wypatrzymy. Musimy być gotowi na wszystko.

\* Aj, aj, sir \* odrzekł Thirsk i wpatrzył się w horyzont przed kołem sterowym, jakby czekał, że za chwilę pojawi się tam jakiś wrogi samolot.

Pół godziny później rzeczywiście się pojawił. Bunts, który stał na straży na rufie, przystawił ręce do ust i zawołał w stronę mostka: \* Sir, śledzi nas jakiś samolot!

Christian jęknął. \* Gdzie?

Bunts krzyknął i Christian pośpiesznie odwrócił się do tyłu, chwytając lornetkę. Tak, to był samolot rozpoznawczy. \* Blohm i Voss 138, szefie \* powiedział do Thirsk.

\* Na pewno poza zasięgiem Chicago piano, tak, sir?

\* Właśnie tak, szefie. I jak wiesz, będzie się trzymał z daleka aż nie przygrucha sobie bombowców z Sycylii albo z północy Afryki. A niech go jasny szlag! Jeszcze na dobre nie wypłynęliśmy z Gibraltar, a już jesteśmy w tarapatach. Do diabła! \* Christian z wściekłością opuścił lornetkę na swoją beczkową pierś.

\* Ale, sir, teraz robi się już ciemno. Wie pan, jak szybko zachodzi słońce nad Morzem Śródziemnym? Wtedy będzie dobry czas.

Christian potrząsnął głową. \*Nie, zdążą nas dorwać z tymi cholernymi bombowcami jeszcze przedtem. Jesteśmy niecałe pół godziny lotu do ich bazy na Sycylii. Nie, przylecą po nas, zanim zapadnie noc.

Ale tym razem Christian się mylił. Zapadł zmierzch, a Niemcy nie zaatakowali. Jednak chodząc po pokładzie i mimo własnego niepokoju zagrzewając marynarzy na ich stanowiskach, Christian słyszał nieustanny warkot silników nad nimi. Ich „diabeł stróż” wciąż tam był.

## Rozdział drugi

Noc była przepiękna hałasem dział. Pociski smugowe błyskały jakby ktoś nadawał śmiertelnośną wiadomość alfabetem Morse'a. Gdzie tylko spojrzeć, w niebo wystrzeliwały flary. Kończyły się przygotowania do wielkiego natarcia „Lisa pustyni”.

Twarze Gurkhów widoczne nad wąskimi okopami były spokojne i niewzruszone. Większość z nich to byli bardzo młodzi chłopcy, których rekrutowano wprost z ich dalekich górskich wiosek i przysyłano tu, żeby



walczyli na tej obcej, gorącej pustyni. Podczas gdy brytyjski oficer opisywał mu sytuację, Hard myślał, że niektórzy z nich wyglądają jak dwunastoletni chłopcy. Ale wiedział, że kiedy przyjdzie czas, będą walczyć z oddaniem i fanatyzmem, którego nie znali żołnierze z Europy. Nic dziwnego, że Niemcy się ich boją.

\* W porządku \* młody kapitan kończył objaśnienia. Gdzieś niedaleko rozległa się seria z karabinu maszynowego, jakbyjakiś wściekły dziecko uderzał w drzewo. \*Jedźcie teraz prosto tą drogą aż do ostatnich moich pozycji. Oni wiedzą, żejedziecie. Potem odbijcie ostro w lewo. Poznacie to miejsce. Leżą tam puste dwugalonowe kanistry po benzynie. Nazywamy je trakt Y. Wiedzie w kierunku morza. Naszym zdaniem, Niemcy nie są tam zbyt gęsto rozstawieni. Przy odrobinie szczęścia, majorze, będziecie mogli...

Urwał. Ogień zaporowy przeniósł się i teraz pociski padały na tyły pozycji Gurkhów. \* Chryste Panie \* wrzasnął młody oficer. \* Przenieśli ogień na nas. Idą!

Hard wiedział, że ma rację. Strzelcy nieprzyjaciela nie ryzykowaliby trafienia w swoich ludzi, a więc niemiecka piechota musi już tu być, podchodzić pod pozycje Gurkhów.

\* Przygotować się! \* krzyknął oficer, wyciągając rewolwer. Gurkhowie podnieśli broń. Czekali. Ich twarze lśniły w ogniowej poświacie. W potwornym huku nie mogli słyszeć zbliżających się Niemców, ale wiedzieli, że są już blisko. Wkrótce, już wkrótce zaczną się zabijanie.

Hard nie miał na co czekać. \* Dziękuję \* rzucił w stronę oficera i wskoczył na przednie siedzenie Dodge'a, obok czekającego za kierownicą Smitha.

\* Ruszaj, Smithie.

\* Powodzenia, Johnnie Gurkhu! \* krzyknął Smith do najbliższego stojącego małego żołnierza i wrzucił pierwszy bieg. Dodge ruszył do przodu.

Widzieli wyraźnie nadchodzące po obu stronach drogi szeregi niemieckiej piechoty w hełmach, które przypominały kubły na węgiel. Szli zgięci wpół, jakby musieli walczyć z silnym wiatrem. Oficerowie idący na przedzie co chwilę odwracali się i machali pistoletami, popędzając swoich żołnierzy. Za nimi podoficerowie ze schmeisserami przewieszonymi przez pierś rozglądali się czujnie na obie strony, pilnując maruderów, którzy zostawali w tyle z tchórzostwa czy strachu. Mieli do nich strzelać.

\* O, jasny gwint! \* mruknął Smith, patrząc ze strachem na szeregi piechoty oświetlane co chwila błyskami wybuchów i ogniem z karabinów. \* Wygląda, jakby cały hitlerowski motłoch tędy walił.

\* Patrz na drogę \* rozkazał Hard. \* Zaraz pewnie będzie ten zakręt

\* mógłby już być. Zaraz mogą nas zauważyć.

Naraz za nimi linia Gurkhów buchnęła ogniem wystrzałów. Ujadały karabiny maszynowe, trajkotały breny, dwucalowe moździerz śpiewały swą pieśń o nagłej śmierci. Niemcy chwiali się i padali wszędzie.

\* Los Manner \* wrzeszczeli oficerowie, kiedy gdzieś tam linia załamywała się. \* Weiter... immer weiterLosl

Grupka Gurkhów wyłoniła się nagle jak spod ziemi. Nieustraszeni mali żołnierze z błyskającymi w świetle pocisków długimi nożami kukri. Rzucili się na najbliższych Niemców, a ich noże rozdawały nagłą i szybką śmierć. Kłuli, rąbali, podrzynali, aż jeden za drugim padli w ogniu niemieckich karabinów.

Hard wstrzymał na chwilę oddech. Co za ludzie, pomyślał. Nagle na lewo wyłonił się z ciemności pomalowany na białą wielki pojemnik

na benzynę. Za chwilę drugi. \* Jest trakt Y, Smithie \* krzyknął poprzez dzikie wrzaski i harmider walczącej piechoty. \* Skręcaj, na miłość boską!

Smith gwałtownie skręcił kierownicę.

Hard spojrzał do tyłu. Ciężarówka zrobiła to samo, skręcając z gładkiej asfaltowej szosy na piaszczystą boczną drogę pełną wybojów i odłamków skalnych. Kiedy skręcali, wściekły wybuch pocisku smugowego wzburzył piasek tuż za tylną ośią ciężarówki.

\* Namierzyli nas! \* krzyknął Hard.

Gwardzista Smith puścił się szalonym zygzakiem pomiędzy pustymi pojemnikami po obu stronach traktu. Z ciemności przed nimi wyłonił się nagle niemiecki żołnierz. W podniesionej ręce trzymał granat. Hard wymierzył i strzelił. Nie trafił. Niemiec cisnął granat i skulił się. Granat uderzył w Dodge'a, ale odbił się i wylądował znów obok Niemca. Buchnął straszliwy jasnoczerwony płomień. Widzieli, jak wybuch wyrzucił Niemca w powietrze. Kiedy uderzył o ziemię, nie miał głowy.

Ostrzał kierował się w nich z obu stron. Hard modlił się w duchu, żeby tylko nie został trafiony któryś z silników. To byłby koniec. Jego ludzie także strzelali. Czerń nocy przesywał raz po raz krwawy płomień. Nagle przednia szyba tuż przed twarzą Harda pękła, układając się w lśniącą sieć pajęczą. Podniósł obie stopy i trzymając je ściśle ramionami, z całych sił uderzył ją butami. Szyba poddała się i wypadła, a on poczuł, jak ciepła krew ścieka mu po kostkach. Teraz przynajmniej coś widział.

Z jakiejś szopy na lewo wyjechała niemiecka półciężarówka. W wozie za nimi strzelec obrócił browninga i wycelował. Bliźniacze lufy zawarczały, plując strumieniem kul w niemiecki pojazd. Siedzący w środku ludzie w kompletnym zaskoczeniu upadali na siebie, machając rękami. Nieprzytomny kierowca zawisł na kierownicy, ale pojazd jechał dalej w kierunku morza, jakby tak czy inaczej miał zamiar dotrzeć do brzegu.

Hard oddychał ciężko. Wiedział, że wjechali w niemieckie skrzydło pomocnicze. Nie było tak silnie obsadzone jak główne natarcie na pozycje Gurkhów, ale taka była taktyka Niemców, żeby móc osłaniać silniejsze pozycje. Trzęsąc się i podskakując na wybojach, Hard zastanawiał

się, jak szerokie było tu niemieckie skrzydło. Bo jeśli mieli jechać tak dłużej, to nie liczył na szczęście. W każdej chwili mogli zostać ostrzelani z obu stron.

Tym razem jednak mieli szczęście. Z tyłu za nimi nagle wyłonił się ze swych okopów i schronów w ziemi Gurkhowie, których poniosła dzika, pierwotna żądza zabijania. Rzucili się na Niemców bez karabinów,

tylko ze swoimi długimi nożami i thompsonami. Wznosząc okrzyki bojowe w swoim języku biegli tratując i potykając się o ciała zabitych wrogów. Nieprzyjaciel został całkiem zaskoczony. A oni już byli w szeregach niemieckich tnąc i rżnąc. Nie okazywali litości i sami nie liczyli na zmiłowanie. Jak jakiś Niemiec upadał, jego twarz była bezlitośnie porozcinana na kawałki. Nawet ci, którzy krzyczeli Kamerad, odrzucali broń i podnosili ręce w geście poddania, nie mieli szans. Jednym silnym zamachem Gurkhowie odcinali im głowy.

Oficerowie Gurków z wściekłością gwizdali i wyrzaskiwali rozkaz powrotu do okopów. Bez skutku. Gurkhowie, których było coraz mniej, bo Niemcy otworzyli do nich ogień z karabinów maszynowych, parli do przodu tnąc na prawo i lewo.

\* Co za żołnierze! \* krzyknął Smith ponad terkotem i wrzawą zaciętej bitwy. \* Nawet gwardia królewska nie umiałaby tak walczyć. Odważne małe zótkki!

Hard nie odpowiedział. Modlił się, żeby udało im się przejechać po\* zycj e niemieckie, bo odgłosy strzałów i krzyki powoli cichły po obu stronach drogi. Tu i tam zauważył w czerwonej poświacie uciekających przerażonych Niemców. Ale teraz wojsko nie miało czasu dla uciekinierów.

Pędzili do przodu z rykiem silnika.

Nagle skądś dobiegło coś w rodzaju warkotu i świstu powietrza. Działo przeciwpancerne otworzyło ogień. Niewyraźny zarys dużego białego pocisku pędził w ich stronę z zawrotną szybkością. \* O Jezu Chrystus... \* zaczął Smith, ale już nie skończył. Rozległo się potężne puste uderzenie i huk. Dodge gwałtownie się zatrzymał. W powietrzu rozpląnął się intensywny zapach benzyny, która wyciekała ze zbiornika, podczas gdy samochód zaczął osuwać się na swoją złamaną przednią oś.

Hard rzucił głową: \* Wszyscy wychodzić! \* ryknął najgłośniejszym jakmógł.

Przez chwilę zszokowany Smith siedział bez ruchu za kierownicą i zdawało się, że nie jest zdolny do działania. Hard pchnął go mocno: \* Szybko! \* Gwardzista upadł na piasek.

\* Uciekać! \* wrzasnął Hard. Wszyscy rzucili się przed siebie tak szybko jak tylko mogli. W samą porę. Rozerwany pociskiem silnik wozu w chwilę później wybuchnął olbrzymim pękiem płomieni. Ogień szybko objął resztę samochodu, dochodząc wkrótce do tylnej części, gdzie przechowywali amunicję. Naboje zaczęły wybuchać we wszystkie strony, rysując w powietrzu czerwone, białe i zielone zygzaki. Jadąca za nimi ciężarówka zatrzymała się w świetle tych śmiertelnych fajerwerków.

\* Ktoś jest ranny? \* zapytał Hard oddychając szybko, kiedy już leżeli na piasku w bezpiecznej odległości od płonącego Dodge'a. Nawet z tej odległości czuli na twarzach falę gorąca.

\* Lofly Long dostał w plecy odłamkiem szrapnela\* ktoś odpowiedział. Inny głos zajęczał: \* Mam poparzone ręce.

Williams zeskoczył z ciężarówki: \* W porządku, sir? \* zapytał pośpiesznie.

\* Wszystko gra, sierżancie \* odpowiedział Hard, ocierając pot ze swej szczupłej twarzy. \*Zajmij się rannymi. A niech to jasny szlag... \*dodał zdając sobie nagle sprawę, że mają teraz tylko jeden wóz, w którym nie zmieszczą się wszyscy. Będą musieli iść dalej na piechotę, a to oznacza, że będą iść tempem najwolniejszego z nich. Powoli podniósł się na nogi.

Strzelanina w rejonie linii Gurkhów ucichła i Hard wywnioskował, że ich pozycje zostały zapewne opanowane. Gdzieś daleko usłyszał cichy terkot czołgów. Wiedział co to znaczy. Rommel nadsyłał swoje wojska pancerne, a w nocy zawsze robił to za osłoną linii piechoty. Zmarszczył brwi. Jeśli zostali jeszcze jacyś Gurkhowie, to nie mają najmniejszych szans przeciw dywizji pancernej „Lisa pustyni”.

Z tyłu ciężarówki wygramolił się Challenger. Spojrzał na wysokiego szeregowca, który miał podarty i pokrwawiony mundur na plecach. \* Niech ten chłopak wejdzie tu, na moje miej sce \* zawołał tubalnym głosem.

\* Daj spokój, tatuśku \* zawołał Lofty Long \*jestem dwa razy młodszy od ciebie, nawet z kawałkiem żelaza w plecach. Dam radę na piechotę.

Challenger spojrział na niego zły. \* Tatuśku, no, no \* warknął. \* A teraz włącz tu na wóz, słyszysz? I dawaj mi ten karabin \* wyrwał żołnierzowi jego Lee Enfielda.

\* Ale jesteś cywilem. Zastrzelą cię, jak zobaczą cywila z karabinem. Challengeera nie wzruszył ten argument. \* A co myślisz, że mi zrobią,

jak mnie złapią bez karabinu? \* skomentował.

Wewnątrz ciężarówka Lisa zadrżała, pomagając rannemu wejść do wozu.

\* W porządku \* krzyknął Hard. \* Musimy się spieszyć. Ruszaj, Dic\*ky Bird. Reszta zasuwa na piechotę.

Ciężarówka ruszyła wolno do przodu, a pozostali żołnierze zarzucili karabiny na ramie, wiedząc, że czeka ich długi spacer; a jutro będą w samym środku pozycji Afrika Korps. Jak wyraził to z westchnieniem Smith: \* Oj, będzie milutko, diabelnie milutko przez całą drogę.

## Rozdział trzeci

Hauptmann von Almaszy dymił sobie spokojnie, całkiem niezmar\*twiony potencjalnym niebezpieczeństwem, jakie groziło jemu i jego brandenburczykom. W NAAFI pij ani żołnierze armii południowoafrykańskiej, już kompletnie pozbawieni dyscypliny plądrowali magazyny. Inni, chwiejąc się i zataczając zacierali do płonących doków, wołając w języku afrykanerskim i po angielsku: \* Weźmy jakąś łódź... musimy mieć łódź! Było całkiem jasne, że dywizja południowoafrykańska była w całkowitej rozsypce. Coraz więcej żołnierzy, większość bez broni, docierała do centrum Tobruku. Ale w całym tym zamieszaniu i bałaganie nie było śladu Harda i jego bandy. No i gdzie się podział Smits, który powiedział

im, że patrol zmierza w tym kierunku?

Von Almaszy zastanawiał się trochę bezradnie, co ma robić. Czy powinni gdzieś się ukryć, zanim ktoś zacznie im zadawać trudne pytania? Czy próbować odszukać Smitsa i dowiedzieć się co się dzieje?

Jacyś żołnierze wytaczali przez wybite okna z NAAFI beczki z piwem w ręce czekających na dole towarzyszy. Jakiś pijany olbrzym chwycił przerażonego czarnoskórego robotnika za gardło i bijąc go drugą pięścią po twarzy krzyczał: \* To wasza wina, wy sakramenckie murzyńskie czarnuchy... to wszystko wasza wina!

Von Almaszy pokręcił głową zdegustowany. Cóż za brutalność przejawiają ci Anglicy i ich biali sprzymierzeńcy w stosunku do rodowitych mieszkańców imperium! Niezwykłe, że udało im się utrzymać tu władzę tak długo. Przypuszczał, że właśnie w ten sposób trzymali tubylców w ryzach.

Nad port nadleciał teraz nowy szwadron sztukasów. Ukazały się na tle świtającego nieba z wyciem syren, małe czarne jajka wytaczały się z ich brzuchów. Na ten widok żołnierze zaczęli uciekać krzycząc.

Von Almaszy doszedł do wniosku, że dłuższe pozostawanie w tym miejscu nie ma już sensu. Anglicy znikli, a on był przekonany, że w tak okropnym bałaganie nigdy ich nie znajdzie. W tej samej chwili podszedł do niego Dietz, jego oficer łącznościowy. Rozejrzał się ostrożnie, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje i zaczął: \*Herr Hauptmann...

\* Mów po angielsku \* przerwał mu ostro von Almaszy.

\* Tak jest, sir \* odpowiedział szybko Dietz. \* Wiadomość radiowa.... Siły powietrzne odnalazły holownik... ten holownik.

Pomarszczona twarz von Almaszego ożywiła się. \* Co?

Dietz powtórzył informację.

Von Almaszy gwizdnął cicho. \*No to mamy ich \*mruknął do siebie, a głośno dodał: \* Jak by nie było, holownik nas do nich doprowadzi. Zasygnalizuj do kwatery głównej, żeby go mieli na oku i żeby nas cały czas informowali. A teraz jedźmy z tego domu wariatów.

\* Hej wy! \* zabrzmiał jakiś szorstki głos, kiedy mieli już wsiadać do jeepa. \* A wy co tu robicie? Dlaczego nie jesteście na linii?

Von Almaszy i jego łącznościowiec odwrócili się zaskoczeni. Duży, zwalisty kapitan żandarmerii stał w otoczeniu dwóch strażników ze stenami.

\* Jesteście Brytyjczykami? \* kiwnął głową w stronę insygniów 50. brytyjskiej dywizji piechoty widniejących na błotnikach jeepa. \* Z Tyne, tale? A Brytyjczycy nie opuszczają swoich linii jak ten kangurzy motłoch. \* Spojrzał twardo w oczy von Almaszemu. \* A więc, kapitanie, co pan ma do powiedzenia?

Stary, ale sprytny umysł von Almaszego pracował jak szalony. Wiedział, że umie mówić płynnie po

angielsku, ale z akcentem. Ten oficer żandarmerii nie wyglądał na głupka. Od razu usłyszałyby różnicę w wymowie. Szybko podjął decyzję. Półgłosem i niemal nie otwierając ust powiedział do Dietza, który stał tuż za nim: \* Użyj mnie jako osłonę i strzelaj. Potem zwiewaj.

Nad portem jeden ze sztukasów został trafiony pociskiem z działka przeciwlotniczego. Spadał z nieba, ciągnąc za sobą długi czarny ogon dymu, wśród głośnych, pijackich wiwatów żołnierzy południowoafrykańskich. Uwaga kapitana żandarmerii na chwilę przeniosła się na wiwatujących. Lekko odwrócił się w ich stronę. To była ta chwila nieuwagi, której potrzebował Dietz. Wyciągnął swój pistolet z tłumikiem. Słychać było tylko ciche pyknięcie i w następnej chwili oficer żandarmerii wydał przeciągły jęk. Spojrzał na plamę krwi na swojej nieskazitelnie czystej koszuli od munduru, sprawiając wrażenie zdziwionego. Nagle ugięły się pod nim nogi, jak pod nowonarodzonym jagnięciem.

\* Biegniemy! \* krzyknął von Almaszy po niemiecku.

W mgnieniu oka rzucili się biegiem do jeepa, a dopiero wtedy dwaj strażnicy zareagowali i zaczęli w pośpiechu szarpać paski przypinające steny. Chwilę później, kiedy kierowca jeepa gwałtownie odwrócił wóz, wzbudzając chmurę piasku, otworzyli ogień. Kule świstały w powietrzu wokół jeepa i zdobycznego Bedforda. Wściekły ogień zerwał się teraz po obu stronach drogi, ale oba pojazdy toczyły się przed siebie, kierowcy zgarbieni nad kierownicą z całej siły parli do przodu. Uciekali, von Almaszy wiedział o tym, ale wkrótce będą musieli zostawić pojazdy z emblematami 50. brytyjskiej dywizji piechoty, które pasowały teraz jak pięść do nosa. \* A niech to jasny szlag \* zaklął pod nosem. \* Sytuacja nie przedstawia się najlepiej.

Jakieś pięćdziesiąt mil od wybrzeża Libii, tego samego ranka, Chri\*stian pomyślał dokładnie to samo. Ich „stróż” był wciąż nad nimi. Z porannego nieba dochodziło jego monotonne warczenie. Trzymał Mucky Duck pod nieustannym nadzorem. To wściekało Christiana. Najbardziej denerwował go fakt, że nie mogli w żaden sposób działać. Wyszedł na pokład i ruszył do „małpiej wyspy”, gdzie mieściły się podwójne działa oerlikony. Zwrócił się do młodego żołnierza z artylerii lądowej, o przyjemnej, otwartej twarzy. \* Co pan myśli, kapralu? Są jakieś szanse na strącenie drania?

Żołnierz stanął na baczność, jakby wciąż byli w Gibraltarze. \* Chyba tylko szczęśliwym trafem, sir. Boję się, że jest o dobre pięćset jardów

poza naszym zasięgiem. No i tefockes to twarde sztuki. \* Poklepał zamek działka przeciwlotniczego. \* Nawet jeśli byśmy go dostali, to czuję, że dwudziestomilimetrowe pociski naszego oerlikona nie zdołają go uszkodzić.

Christian skinął głową ze zrozumieniem. \* No cóż \* powiedział \* cały czas miejcie sukinsyna na oku. Nigdy nie wiadomo, może będziemy mieć szczęście.

\* Tak jest, sir. Będziemy go obserwować, sir.

Christian ruszył ponuro przed siebie, a kapral wrócił do czyszczenia zamka z takim zapałem, jakby

zależało od tego co najmniej jego życie. Nieco dalej, przy relingu stał Bunts i oddawał się spokojnemu, jak to nazywał „pluciu i łapaniu”.

Na widok Christiana zrobił jakiś ruch, który miał wyrażać chęć stanięcia na baczność, ale Christian powstrzymał go, cokolwiek zmęczonym machnięciem ręki. \* Dobra, Bunts. Nie jesteś żołnierzem. I nie będę cię zmuszał, żebyś go udawał. Nie przeszkadzaj sobie w tym paskudnym dymieniu.

\* Dziękuję, sir. \* Bunts zaciągnął się papierosem, którego trzymał we wnętrzu dłoni tak jak robią to marynarze, chroniąc żar przed wiatrem. \* Działa mi na nerwy, sir. Ten samolot \* powiedział.

Christian spojrzał w górę na mały kształt zawieszony w przestworzach. \* Mnie też denerwuje \* mruknął ponuro. \* Cholerny drań.

Bunts uśmiechnął się: \* A zna pan ten kawał o facecie z floty powietrznej, który miał dostać order od króla Jerzego?

\* Nie \* odparł Christian bez zbytniego zainteresowania.

\* Więc, sir, stary król, który, jak pan wie, bardzo się jąka, zapytał raz pilota: „Cz\*cz\*czy pan nie zestrzelił focke wulfa po to, żeby dostać ten medal?”, a pilot mówi: „Nie, sir, to były dwa focke wulfy”, a król na to, „T\*t\*to nic, ale dostanie pan za to tylko jeden f\*f\*fucking medal”\*. (Gra słów „Focke” i „fucking” (ang. wulg. \* pieprzony) \*przyp. tłum.)

Bunts roześmiał się głośno, zadowolony ze swego dowcipu, a Christian zauważył: \* To stare jak świat.

\* Staram się jakoś pana rozweselić, sir \* rzucił jeszcze Bunts, kiedy Christian ruszył dalej, wciąż prześladowany cichym, choć doprowadzającym do szaleństwa warkotem ich „stróża”.

Pół godziny potem na mostek przyszedł Sparks z pierwszym sygnałem od Harda i jego oddziału. \* Przepraszam, trochę mi to wolno idzie \* powiedział wyciągając kartkę z wiadomością spod czapki, jak zwyczajowo robili marynarze. \* Ale sygnał był niewyraźny i miałem trochę kłopotu z odszyfrowaniem.

\* W porządku, Sparks. Dziękuję. Wracaj do roboty.

Christian szybko przeczytał wiadomość i podał ją Thirskowi, ale ten powiedział: \* Niech mi pan powie, co tam jest napisane, sir. Zostawiłem okulary pod pokładem.

\* Bosman w okularach! \* parsknął Christian. \* Kto to widział? Chyba musiał pan naprawdę służyć pod Nelsonem pod Trafalgar. W skrócie, Hard i jego ludzie z trudem, ale wydostali się z Tobruku. Teraz posuwają się na północny wschód, do wyznaczonego punktu.

Wtedy Thirsk nagle wypalił swoją rewelację: \* Sir, coś mi w tej chwili zaświtało! \* wykrzyknął przestraszony.

\* Co, szefie? \* rzucił Christian zaalarmowany nagłym tonem w głosie bosmana.

\* Ten nasz „stróż”, sir.

\* Co z nim?

Thirsk spojrział na kapitana znad przyrządów nawigacyjnych. Z pobladłą, ściągniętą twarzą wyglądał teraz o wiele starzej. \* Ten zwiadowca nie nastął na nas bombowców, bo nie chce nas zatopić.

\* Co do diabła masz na myśli, szefie?

\* To znaczy, sir, że on wie, że doprowadzimy go do majora Harda i tych dwóch cywilów.

\* O do diabła, szefie! \* zawołał Christian zdumiony. \* Masz rację! To jedyny powód, dla którego wciąż nas śledzą, a jeszcze nie zaatakowali. \* Christian poczuł, jak narasta w nim gniew. To było cholernie nieuczciwe. Nie mógł tak po prostu zostawić Harda i jego ludzi. Ale jeśli Mucky Duck doprowadzi szkopów do miejsca spotkania, to i jego załoga, i oddział Harda będą w pułapce. I wszystko na nic.

\* I co zrobimy, sir? \* Thirsk był równie zaniepokojony, bo doszedł do takiego samego wniosku, co Christian. \* Możemy zawsze zostawić tamtych, ale co będzie z naszymi ludźmi, jeśli... \* zawiesił głos, jakby nie chciał doprowadzić tej okropnej myśli do końca.

Christian zaczął intensywnie myśleć. Spojrzął znowu na niebo. Był tam, sukinsyn. Czarna kropka na czystym błękitcie. i jak zawsze, uparcie poza ich zasięgiem.

Thirsk patrzył na niego wyczekująco.

Christian cmoknął i zateśknął nagle za mocnym, bardzo mocnym drinkiem. Ale wiedział, że nie czas teraz na to. Musiał myśleć. Trzeba się pozbyć zwiadowcy przed zmrokiem, bo podejrzewał, że Hardowi zależy na spotkaniu w nocy. Tak byłoby bezpiecznie. \* Wiesz, szefie \* powiedział wolno, z meobecny spojrzeniem, bo w głowie pojawił mu się pewien pomysł, który właśnie zaczynał nabierać wyraźniejszych kształtów. \* Musimy jakoś zwabić tego drania na dół. To znaczy, na tyle nisko, żeby mieć szansę na zestrzelenie sukinsyna.

Bosman Thirsk pokiwał siwą głową. \* Wiem, sir. Ale tu jest kłopot \* jak to zrobić.

\* Szefie \* teraz nadeszła pora, żeby Christian zadawał pytania. \* Jak myślisz, czy przedni pokład może wytrzymać gorącą temperaturę?

Thirsk był zaskoczony, ale odpowiedział od razu: \* Jak pan wie, sir, to jest cienka stalowa blacha, ale uszczelniona \* a pod spodem drewno. Tak budowano statki w latach dwudziestych. Sądzę, że pokład może znieść całkiem sporą temperaturę, ale nie za długo. \* Skończył i czekał z wyrazem zaintrygowania na pomarszczonej twarzy.

Christian uśmiechnął się, co zdarzało mu się raczej rzadko. \* Szefie \* powiedział \* myślę, że urządzimy sobie mały pożar w maszynowni...

Rozdział czwarty



Dicky Bird jęknął i wstał wolno, trzymając się za krzyż.

\* I co? \* zapytał Hard, kiedy kierowca ocierał pot ze swej czarnej od smarów twarzy. \* Zatkaną chłodnicę \* gumą do żucia z piaskiem. I jest iskra.

\* Świetnie.\*Hard westchnął z ulgą. Godzinę temu pocisk z nieprzyjacielskiego karabinu uszkodził silnik ciężarówki. Udało im się jeszcze ujechać parę mil, wszyscy na wstrzymanym oddechu, poza zasięg wrogiego ostrzału, a potem z podziurawionej chłodnicy wyciekła cała woda i musieli się zatrzymać. Przez ostatnie pół godziny Dicky Bird gorączkowo próbował przywrócić silnik do takiego stanu, żeby mogli jechać dalej.

\* Mamy jeszcze sporo benzyny i oleju też wystarczy \* mówił dalej Dicky Bird \* więc pociągniemy jeszcze ze trzydzieści mil. A jeśli wszyscy poświęcimy z pół litra wody z manierek...

\* Poświęcimy.

\* To będziemy mogli napełnić chłodnicę. Jest tylko jeden szkopuł, sir.

\* Co takiego? \* rzucił Hard pośpiesznie. Za godzinę będzie ciemno, a do tego czasu chciał, żeby już byli ustawieni na brzegu morza, w umówionym miejscu, czekając na BlackSwana.

\* Akumulator jest całkiem wyczerpany \* Dicky Bird wskazał swoim czarnym od smaru palcem na wzniesienie przed nimi. \* Jeśli zdołamy dopchnąć, drania, tam... jestem pewien, że wystarczy drogi w dół, żeby go uruchomić.

Hard gwizdnął cicho. \* To mi wygląda na niezłą mordęgę \* powiedział wolno. \* Wóz jest pioruńsko ciężki... \*nie skończył, bo Dicky Bird

wpadł mu w słowo: \*Musimy chociaż spróbować, sir\* powiedział z nutą desperacji.

Hard wiedział, że to jedyne wyjście. Ludzie mieli już dosyć. Jeśli uda się uruchomić samochód i jechać wymiennie tak, że część maszeruje, a druga jedzie, a potem na odwrót, to dadzą radę dojechać do morza. Jeśli się nie uda, to trzeba będzie znaleźć jakąś kryjówkę i dać ludziom odpocząć przez jakiś czas, a to nie wydawało mu się w tej chwili najrozsądniejszym rozwiązaniem. Pośpiesznie zabrali się do pracy. Kilka mil za nimi natarcie na Tobruk osiągnęło punkt kulminacyjny. To dodało nieco energii ich działaniu, bo wiedzieli dobrze, że kiedy tylko Rommel zdobędzie ważną brytyjską bazę zaopatrzeniową, to ruszy na Egipt i zacznie przemieszczać wojska w ich stronę. Chłodnica została szybko napełniona wodą z manierek, a potem część z nich zabrała się za wyrównanie drogi, którą miał pokonać pchany ich siłami wóz. Pozostali wyładowali z Bedforda wszystkie sprzęty, łącznie z zapasowym kołem po to, żeby był jak najlżejszy. Po półgodzinie wszyscy byli pokryci potem, także Lisa w mokrej od potu koszuli khaki, która oblepiała jej krągłe piersi, ale gotowi.

Hard wytarł pot, który toczył się strużkami po jego czole i wysapał: \*No dobra, Dicky. To był twój pomysł. Teraz będziesz miał zaszczyt kierować tym draniem.

\* Chyba wolę to niż pchanie \* odparł beczelnie kierowca. Usiadł za kierownicą i syknął z bólu, dotykając nagrzanego od słońca metalu. Zwolnił hamulce i wrzucił na luz. \* Gotowe, sir \* zawołał. Uśmiechnął się, ale wszyscy widzieli napięcie na jego szczupłej, opalonej twarzy. Wiedzieli dlaczego. To była może już ich ostatnia szansa. Jeśli ciężarówka nie zapali, wkrótce złapią ich Niemcy, a wiedzieli, co ich wtedy czeka.

Wszystkie ramiona naprężyły się w wysiłku. Lisa też pchała ze wszystkich sił. Koła skrzypnęły i nic się nie stało. \* Jeszcze raz! \* krzyknął Hard i przyłożył ramię do boku ciężkiego wozu. Wszyscy pochylili się i pchali z całej siły, aż żyły wystąpiły im na skroniach. Ciężarówka skrzypnęła i nagle drgnęła.

\* Dalej, chłopcy! \* ryknął Challenger z twarzą oblaną potem. \* Weźcie się do roboty!

Zaczęła się teraz mordercza droga pod górę. W palącym słońcu pchali ciężką ciężarówkę, cal po calu do góry i dalej, ich dyszenie brzmiało jak głośnie sapiące szloch. Hard czuł, że żyły na skroniach pulsują mu jak oszalałe, jakby chciały przebić się przez skórę. W mięśnie ramion jakby ktoś wbijał rozżarzony do czerwoności pogrzebacz. Smith za nim poślizgnął się i prawie upadł. Rozpaczliwie złapał jakąś wystającą część i zawył z bólu, kiedy przykleszczył sobie i wyrwał dwa paznokcie. Jednak pchał dalej.

Czas także zdawał się płynąć pod górę. Cały świat był teraz złożony z oślepiającego słońca, ich mokrych od potu mundurów i żmudnego pchania, dźwigania, dyszenia. Zdawało się to trwać bez końca.

W końcu zdołali wypchnąć ciężarówkę na szczyt wzniesienia i padli wszyscy bez tchu na piasek, wyczerpani i sapiący jak stado wielorybów na mieliźnie.

Hard dał im pięć minut na odsapkę, a potem wciąż ciężko dysząc zawołał głosem, którego sam niemal nie poznawał: \* Dobra, chłopcy, jeszcze jeden raz. Wystartujmy sukinsyna... przepraszam za mój francuski, doktor Stein.

Lisa uśmiechnęła się z wysiłkiem: \* Niech pan nie przeprasza, majorze. To naprawdę sukinsyn.

\* No doprawdy! Moja studentka! \* zaczął Challenger, ale rozmyślił się i nie dokończył.

Zewsząd rozległy się jęki i narzekania, ale jeden po drugim wszyscy wstawali i na chwiejnych nogach, jakby byli pijani, podchodzili do samochodu. Hard widział tylko niebieskie fale gorącego powietrza lśniące i drżące nad piaskiem.

\* No, raz a dobrze, drodzy przyjaciele! \* gromko zakrzyknął Challenger i pierwszy przyłożył ramię do boku ciężarówki. Za nim zrobili to następni. Hard zwilżył wargi językiem, który zdawał się trzy razy większy niż normalnie, i zakomenderował: \* Teraz!

Bird z łoskotem wrzucił na luz z drugiego biegu i zwolnił ręczny hamulec. Trzytonowy Bedford zaczął toczyć się ciężko, z wysiłkiem w dół. Powoli nabierał prędkości. Zaczęli biec niezadarnym truchtem. Ciężar i wysiłek były coraz mniejsze. Wreszcie jeden po drugim puszczała go i padali na kolana w piasku, wpatrując się w jadącą dalej ciężarówkę.

Teraz Dicky Bird został sam. Wciąż nie podnosił nogi z wciśniętego sprzęgła. Wiedział, że ma tylko jedną szansę. Dokładnie na jego drodze wyłonił się z piasku na wpół zakopany głaz. Za nim, klęcząc na ziemi

Hard wysapał: \*Omiń go... na miłość boską, omijaj go!

Bird skręcił i wyminął głaz. Jechał wciąż na wciśniętym sprzęgle, oczy wytrzeszczone jak u szaleńca, starał się wykałułować, ile jeszcze jardów zostało mu do piaskowej płaszczyny na dole.

\* Teraz! \* sam sobie wydał komendę, dając upust całemu napięciu w dzikim ryku. Puścił sprzęgło i wcisnął gaz. Za nim Hard ścisnął ręce. \* No już, Dicky \* ryczał \* wystartuj drania!

Ale nic się nie działo!

Lisa zaszlochała: \* Proszę, zapal... proszę.

Nagle ciężarówka zatrzęsała się gwałtownie. Gęsty czarny dym buchnął z rury wydechowej. Hard wstrzymał oddech. Czy to było to? Wciąż nic się nie działo. Za kierownicą Dicky Bird klął jak szewc. Zostało mu tylko jakieś dwadzieścia jardów do piaskowej płaszczyny na dole. Teraz albo nigdy.

Nagle dał się słyszeć długi cichy jęk. Jakby ktoś grał na kobzie jakąś przedziwną żałobną pieśń. Oczy Harda rozszerzyły się. Coraz więcej dymu wydobywało się z rury wydechowej. Dicky Bird miał już tylko jakieś dziesięć jardów. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Hardo wi wydawało się, że Bedford zaraz wybuchnie. Z gaźnika wydobyła się seria gwałtownych pokasływań. Jeszcze pięć jardów. Wybuch białego dymu. Gwałtowne wystrzały i nagle potężny rumor silnika. Ciężarówka warkocząc poderwała się do przodu i parę sekund później stała już na piaskowej równinie ze szlochającym, mokrym od potu Dickiem Birdem w środku. Udało mu się... udało mu się.

Wrzeszcząc dziko i machając rękami wszyscy jak oszaleli rzucili się w dół, zapominając o całym wysiłku i zmęczeniu. A Dicky Bird stał tam słaby i spocony, uśmiechnięty od ucha do ucha jak głupek.

\* Dobra robota, Dickie \* wychrypiał Hard, a pozostali wykrzykiwali słowa podziwu i podzięk.

Nagle jednak uśmiech znikł z twarzy Dickiego, a zastąpił go wyraz niepokoju.

\* Co się stało? \* zapytał chrapliwie Hard.

\* Tam, sir, proszę spojrzeć, \* Dicky Bird kiwnął głową na prawo. \*Na trzeciej godzinie, sir.

Hard spojrział we wskazanym kierunku. Na tle czerwono\*żółtej poświaty popołudniowego słońca, jakieś pięćset jardów od nich, widniały wyraźne kontury trzech jeźdźców na wielbłądach. Bez ruchu wpatrywali się w ciężarówkę i grupkę spoconych żołnierzy. \* Jasna cholera \*zaklął Hard. \* Tylko nie to \* teraz!

\* O co chodzi? \* zapytał Challenger. \* Przecież to tylko Arabowie.

\* Tak \* odparł Hard. \* Arabowie Senussi. Za pieniądze oddadzą szkopom własną matkę \* dodał gorzko.

\* \* Ale dlaczego? Myślałem, że nienawidzą Włochów, którzy pobili ich w bitwie w latach dwudziestych \* sprzeciwił się Challenger.

\* I tak zapewne jest \* odpowiedział Hard, gdy tymczasem Williams odpinał w pośpiechu swój karabin. \*

Ale oni myślą, że Niemcy zwrócą im wolność. No a poza tym Niemcy zawsze dają im pieniądze.

\* Za co? \* zdumiał się Challenger.

\* Za nas. Albo za jakichkolwiek Brytyjczyków, którzy są bezbronni i można ich schwytać \* odparł szorstko Hard. Williams wycelował: \* Tym razem nie będą próbować nas ująć, bo jest nas za dużo i mamy broń. Ale założę się, że nie...

\* Trzask! \* Williams strzelił. Najbliżej stojący Arab wyrzucił w górę ręce jakby chciał się wspiąć po niewidzialnej drabinie i chwilę później ześlizgnął się z wielbłąda i spadł w piasek. Nie ruszał się.

Williams zaczął pośpiesznie strzelać, ale Arabowie byli już zaalarmowani. Wałąc wielbłądy kijami, zawrócili je i pędem rzucili się przez pustynię.

\* A niech to szlag! \* zaklął Williams, wyjmując magazynek z dymiącej komory karabinu. \*Przepraszam, że nie dostałem tych dwóch, sir.

\* To nic \* odparł Hard \* ale teraz lepiej już jedźmy. Ci Arabowie mają niezawodną orientację na pustyni. Bóg wie jak, ale zawsze potrafią znaleźć ludzi, nawet na największych bezdrożach. Zaraz pewnie

wyniuchają gdzieś blisko jakichś Niemców i doprowadzą ich do nas, żeby dostać te swoje piekielne pieniądze. Więc musimy się śpieszyć. Będziemy się zmieniać miejscami co piętnaście minut. Ale musimy trzymać tempo. \* Mówiąc to wyglądał na mocno zafrasowanego. ~~ A teraz\*ruszamy! I ruszyli.

## Rozdział piąty

\* O, do diabła \* zawołał drugi pilot focke'a \* Angol się pali!

\* Co? \* krzyknął główny pilot. Spojrzał przez lśniącą szybę kabiny w dół. Na pokładzie małego stateczku widocznego daleko pod nimi widniała teraz jasnoczerwona plama ognia. \* Himmelherrje \* sapnął.

\*Masz, cholera, rację, Dieter.

\* Mogło im się zapalić w maszynowni \* zastanawiał się drugi pilot. \*Widzisz, zatrzymują się. Jak myślisz \* co robimy?

Główny pilot skrzywił się. Wiedział jak ważny był ten mały holownik, którego musieli pilnować. I wiedział też, że jeśli go straci, to jakaś ważna operacja spali na panewce. „Pamiętaj, Herr Major, mówił mu dowódca w czasie odprawy. „To jest sprawa najwyższego szczebla. Nie skompromitujcie mnie i całego dywizjonu”. Pilot podjął decyzję: \*Powiedz łącznościowcowi, żeby skontaktował się z bazą i powiedział im, co się dzieje. A w międzyczasie, myślę, że zejdziemy trochę i sprawdzimy, jak duży jest ten pożar.

Podczas gdy drugi pilot ruszył chwiejnie przez ciasny kadłub, żeby przekazać rozkaz, jego towarzysz za sterami popchnął drążek w przód. Dziób samolotu pochylił się i zaczęli się obniżać.

Daleko pod nimi Christian gwizdnął cicho. \* Połknęli haczyk, szefie \* wykrzyknął.

Twarz Thirska, spocona od gorąca palącej się benzyny rozjaśniła się. \* Dzięki Bogu, sir! \* krzyknął ponad trzaskami płomieni, które sięgały już niemal do mostku. \* Wszyscy już gotowi. Ale niech się lepiej pośpieszy. Nie możemy sobie pozwolić dłużej na taki pożar. Pokład wytrzyma jeszcze najwyżej parę minut.

ChiMan potaknął szybko. Wszyscy byli w pogotowiu, łącznie z tymi, którym pomogli wydostać się z maszynowni. Każdy rodzaj broni był włączony do akcji, a na pokładzie stała grupa pożarowa ze szlauchami, czekając tylko na rozkaz gaszenia. \* Pomódl się, szefie \* powiedział do Thirska i wypadł z kabiny na mostku kapitańskim. \* Będziemy potrzebowali dużo szczęścia...

Drugi pilot pojawił się znów w kabinie: \* Baza odpowiada, że musimy dalej trzymać nadzór. I że możemy spróbować ocenić ten pożar... aha, i jeszcze, że zaraz wystartują alarmowo myśliwce z Katanii.

Pilot skinął głową w hełmie, skoncentrowany na obniżaniu wielkiego, czterosilnikowego samolotu. \* Strzelcy gotowi? \* wychrypiął.

\* Tak.

\* Angole to cwane dranie. Powiedz im, żeby mieli się na baczności.

\* Jak pomidory w puszcze \* odpowiedział wesoło młody Niemiec, zadowolony, że czeka go jakaś akcja po żmudnym i długim śledzeniu angielskiego holownika.

\* No to lecimy \* rzucił pi lot...

\* Tysiąc stóp, sir \* zawołał triumfalnie żołnierz przy podwójnym oer\*likonie. Ani na chwilę nie spuszczał oka z samolotu. \* Oj, bracie, będzie zabawa!

Pod nim marynarz obsługujący wyrzutnię rakiet PAC, która ciskała naboje oplatające drutem silniki i śmigła nisko lecących samolotów, krzyknął: \* Czekaj, nich podleci trochę niżej. Jest ostrożny. Wyrównuje lot...

\* Ale jest w zasięgu \* odkrzyknął pierwszy żołnierz. \* No co, gnojku, przymierzmy ci najpierw coś takiego... \* i nacisnął spust. Strumień białych pocisków trysnął do góry. Za nimi wystrzeliły rakiety. W mgnieniu oka na całej długości Mucky Ducka gruchnęła wściekła strzelanina. Niektórzy z załogi strzelali nawet ze swoich thompsonów, które Christian wyłagał dla nich w Gibraltarze.

Kawałki metalowej blachy zaczęły odpadać z nieprzyjacielskiego samolotu. Ale leciał dalej, ciągnąc za sobą po powierzchni morza groźny, czarny cień.

\* No, dawaj... dawaj! \* krzyczał Christian w szalonym podnieceniu, wbijając paznokcie jednej ręki w dłoń drugiej. \* Spadaj do morza, łaskawie proszę.

Przy blacie sterowniczym główny pilot wrzeszczał: \* Cwani Anglicy! Na statku wcale nie ma pożaru. Oszukali nas, jasna cholera! \* Chwyć urządzenia sterujące i zaczął pchać je z powrotem z całej siły, a

tymczasem wewnątrz samolotu wypełnił ostry swąd wystrzelonych naboju. Pod nimi wrogi statek strzelał z taką furią, że wyglądał tak, jakby otaczała go biała siatka kul i pocisków. Na ogonie tylny strzelec pruł ogniem z furią, usiłując trafić angielskich strzelców ze swego podwójnego działa.

Nagle usłyszeli głośny trzask. Szyba kabiny pękła tuż przed pilotem. Przez otwór wsysał się do środka żółty, paskudny dym. Pilot w mgnieniu oka został oślepiony. Obok niego drugi pilot złapał drążki i dalej ciągnął je do tyłu z oczami wybałuszonymi z wysiłku.

\* Schnell, Dieter. Schnell Mensch! Dawaj do góry! \* krzyczał pilot, przekrzykując ryk wiatru, który wpadał teraz przez otwór w szybie kabiny.

\* Nie odpowiada, gnojek! \* odkrzyknął drugi pilot. \* Nie mam, cholera, w ogóle kontroli!

\* Muszą... muszą! \* ryknął pierwszy w nagłym przypiływie strachu, łapiąc i szarpiąc stery po swojej stronie. Zaparł się nogami o podłogę i ciągnął ze wszystkich sił. Ale nic się nie działo. Nie mieli kontroli nad samolotem.

\* Chyba strzelimy sobie drinka \* krzyknął Dieter. \* Musimy wodować!

\* Nie! \* odkrzyknął pilot. \* Anglicy nas zamordują. Znam ich dobrze. \* Podwoił wysiłki, jego twarz była fioletoworóżowa z wściekłości i napięcia.

Ale samolot zdecydowanie opadał. Stery były całkiem roztraskane. Dwaj piloci zrezygnowali z dalszych prób. Pierwszy pilot przycisnął mikrofon przy szyi: \* Przygotować się do skoku \* wszyscy! \* Zerwał przewody z szyi i rzucił się do przymocowanego z tyłu fotela spadochronu. Towarzyszący mu pilot z szeroko otwartymi ze strachu niebieskimi oczami robił to samo.

Niespodziewanie samolot zatrzęsł się, jakby uderzył w jakiś niewidzialny mur. Silniki zamilkły i nagle zaległa przerażająca cisza, przerywana tylko gwizdem wiatru. Focke wulfe spadał wprost do morza...

\* Hurra! \* gromki, triumfalny wrzask podniósł się z pokładu Mucky Ducka. \* Hurra! \* wyczerpani artylerzyści osunęli się na swoje dymiące jeszcze działa, a tymczasem ich czterosilnikowy „diabeł stróż” dawał śmiertelnego nura do wody, ciągnąc za sobą smugę czarnego dymu. Nie czuli litości dla Niemców uwięzionych w samolocie i zmierzających do morskiego grobu. Czuli jedynie ulgę, że oni są bezpieczni. Parę sekund potem samolot z potężnym hukiem uderzył w taflę wody i natychmiast poszedł na dno. Powierzchnia morza jeszcze przez chwilę marszczyła się i burzyła wokół tego miejsca. Na falach pojawiły się plamy oleju, a z głębi dobyło się jeszcze kilka obrzydliwych bulgotów wraz z kawałkami wyposażenia bujającymi się wte i wewte na falach. Potem wszystko się uspokoiło. Miktz załogi nie pojawił się na powierzchni, za co Christian był wdzięczny losowi. Nie próbowałby ich ratować, bo podobnie do wszystkich, którzy pływali w czasach wojny, nienawidził samolotów rozpoznawczych bardziej nawet niż wrogich bombowców.

Christian zostawił grupę gaszącą pożar na pokładzie i ocierając pot z czoła ruszył w stronę oerlikonów. Był przekonany, że to ten młody kapral artylerii o otwartej, przyjaznej twarzy strącił ostatecznie Niemców swoim podwójnym działem. Pomyślał, że zasłużył sobie na solidny męski uścisk dłoni.

Jednak młody kapral nie miał już przyjaznej, otwartej twarzy. Nie miał jej w ogóle. Niemiecki karabin maszynowy pozbawił go jakichkolwiek rysów. Strzępy skóry zwiślały mu na pierś jak kawałki czerwonego wosku. Leżał przewieszony przez działo, martwy. Ciszę wokół przerywało równomierne kapanie krwi na pokład. Obok stał marynarz obsługujący wyrzutnię rakiet i szlochał, załamując ręce jak matka opłakująca dziecko.

\* Już dobrze, synu\* powiedział uspokajająco Christian, dziwnie, jak na niego, miękkim głosem. \* Zajmę się nim. Idź na dół do kambuzy i weź sobie kubek herbaty.

\* Dziękuję, sir\* odpowiedział marynarz nabrzmiałym od łez głosem. \* I przyślij mi tu Adama, tego od żagli \* krzyknął za nim.

Pięć minut potem kapitan i pomarszczony żaglomistrz, który został powołany jako rezerwista, zaszywali ciało martwego żołnierza w kawał

plótna żaglowego. Zanim zaszyli twarz, stary wziął swoją zakrzywioną igłę i wykonał tradycyjny „ostatni szew”.

Christian skrzywił się bezwiednie, kiedy stary wkłuł igłę w pokrwawiony nos nieboszczyka. Według tradycji tylko w ten sposób mógł upewnić się, że ciało, które zaszywa do pogrzebu, jest rzeczywiście martwe.

Adam mruknął coś i wrócił do zaszywania. Po chwili wyprostował się i stwierdził, jakby robił to codziennie: \* Gotowe, sir.

\* Dziękuję \* odparł Christian i skinął w kierunku dwóch marynarzy, którzy stali dalej, przypatrując się im, aby pomogli nieść ciało. \* A ty \*zawołał do trzeciego \* idź i przynieś banderę. Chłopakowi należy się porządny pogrzeb za to, co zrobił.

Pięć minut potem wszyscy, którzy nie byli zajęci dogaszaniem ognia, zebrali się na pokładzie rufowym, gdzie paru marynarzy z poważnymi twarzami trzymało ciało przykryte banderą. Christian zdjął swoją wystużoną, białą czapkę z mosiężnymi emblematami, które dawno niepo\*lerowane miały kolor zielonkawy. \* Właściwie znaleźmy go dopiero od kilku dni \* zaczął i dodał z zakłopotaniem: \* Nawet nie znam jego imienia. Więc niewiele mogę powiedzieć, towarzysze, z wyjątkiem tego, że był odważnym chłopakiem, który pomógł nam ocalić skórę. Nie umiem odmawiać modlitw, ale powiem tylko, Boże, błogosław go i weź go w opiekę tak, jak mam nadzieję, że on będzie opiekował się nami wszystkimi. \* Skinął poważnie w stronę marynarzy stojących przy relingu.

Trzymając banderę jedną ręką, drugą zepchnęli płócienny tłumok za burtę. Ześlizgnął się gładko do wody i zniknął w ciemniejszej głębi.

\* Czapki na głowę! \*krzyknął Thirsk. Zasalutował Christianowi. \*Zwolnić załogę, sir?

\* Tak, wracajcie do pracy \* odpowiedział miękko i zasalutował z nieobecny spojrzeniem, jakby jego myśli krążyły gdzieś indziej.

Marynarze wrócili do swoich obowiązków, Thirsk również odszedł, obdarzywszy wcześniej Christiana długim, badawczym spojrzeniem. Teraz został sam w tej części pokładu, wpatrując się w słoneczną tarczę, powoli zanurzając się w wodzie. Za godzinę będzie już kompletnie ciemno, a wtedy wszystko się zacznie. O świcie powinno już być po

akcji, a on wreszcie odpocznie. Podniósł ociężałą rękę i potarł czoło. Pomyślał, że jest zbyt znużony i już za stary na te krwawe gry wojenne. Potrzebował teraz jakiejś roboty na lądzie. Coś prostego, na przykład w magazynach. Do tego whisky, Cara i miękkie łóżko na noc. Skrzywił się. Wojna już mu się znudziła.

Właśnie wtedy zjawił się Sparks, biegnąc w jego stronę i krzyżąc: \* Sir, sir... złapałem łączność... nadawali, że będą na miejscu dziś w nocy... a potem połączenie się przerwało, ich odbiornik chyba się zepsuł...

## Rozdział szósty

Pochylali się nad świeżymi odchodami wielbłąda, kiedy to się stało. Gwardzista Smith, ich niekwestionowany ekspert, na Pustyni Zachodniej od 1939, grzebał bagnetem w wielbłądzim kale. \*Jeśli znajdziecie w nim jęczmień \* objaśniał \* to znaczy, że Arabowie mają paszę od nas. I ci są przyjaciółmi. Ale jeśli znajdziecie kukurydzę, to nie są, bo kukurydzę dają im Włosi.

Wszyscy czekali niecierpliwie (choć Hard był osobiście nieco rozbawiony pedantycznym śledztwem Smitha), co gwardzista znajdzie.

\* Kukurydza \* oznajmił w końcu, wskazując na ziarenka w parujących jeszcze odchodach. \* No więc, to makaroniarze dostarczali im paszę, a to znaczy, że to oni, piekielni Senu...

Trzask wystrzału przerwał jego mały wykład. Pierwsze strzały uderzyły w bok ciężarówki.

Wszyscy machinalnie rzucili się na ziemię i zaczęli oddawać ogień, chociaż Arabowie, którzy do nich strzelali, momentalnie ukryli się za zboczem najbliższej wydmy. Ale tylko na chwilę. Hard krzyknął: \* Wstrzymać ogień. Oszczędzajcie amunicję. Musimy się stąd ruszyć. Arabowie nie strzelaliby, gdyby nie wiedzieli, że zaraz zjawią się szkopy. Ruszamy!

Dobiegli do ciężarówki, której płótno na budzie było rozdarte i podziurawione strzałami, i ruszyli.

Wóz toczył się powoli po płaskiej nadmorskiej równinie. Ci, którzy musieli iść, byli ukryci za bokiem ciężarówki. Z przodu, obok dymiącego przegrzanego silnika, który wciąż wydawał niepokojące odgłosy, jakby lada chwila miał wybuchnąć, szedł Hard i wpatrywał się tęsknie w horyzont, mając nadzieję, że wkrótce ujrzy już na nim błękitniejącą smugę. Ale na horyzoncie widać było niezmiennie żółte barwy pustyni.

\* Znowu tujadą, głupie gnojki! \* wykrzyknął Williams.



Żołnierze w ciężarówce wytknęli karabiny przez podziurawione płótno i zaczęła się szaleńcza strzelanina. Arabowie pędzili w ich stronę, pochyleni nisko nad grzbietami wielbłądów, ich szaty powiewały na wietrze, a długie staromodne karabiny chwiały się oparte o garby wierzchowców.

Jeden z Arabów spadł, turlając się na ziemię, a jego wielbłąd biegł dalej. Drugi dostał kulę, ale trzymał się w siodle, kiwając się tylko na boki.

Ponad zgiełkiem bitwy słychać było głos Williama, który był strzelcem wyborowym: \* Celować w najszerze miejsce wielbłądów! Wtedy traficie przynajmniej w cokolwiek! \* I w chwilę później własnoręcznie wprowadził swoją teorię w praktykę. Wydawało się, że nawet nie celując nacisnął spust. Wielka jasnoczerwona plama pojawiła się nagle na prawym boku jednego ze zwierząt. Wielbłąd natychmiast zarył tylnymi nogami w ziemię, charcząc z bólu, jego jeździec zaś zleciał w bok, turlając się po piasku. Podniósł się jednak szybko, podbiegł do rannego wielbłąda i zaczął bezlitośnie okładać go kijem. Sierżant Williams spokojnie podniósł karabin do oka i strzelił Arabowi prosto w głowę. \* Zobaczmy, czy to ci się spodoba, kolego \* powiedział, zadowolony z siebie.

Chwilę potem jeźdźcy zawrócili i uciekali tam, skąd przybyli, pozostawiając czterech czy pięciu ze swego grona, rozciągniętych na piasku jak wyrzucone szmaciane lalki.

A oni ruszyli dalej, z ulgą śledząc coraz niżej schodzącą tarczę słoneczną.

Teraz wygląd pustyni uległ nieznacznym zmianom. Monotonną piaskową równinę przerywały gdzieś tam łąki suchych zarośli i czegoś, co było podobne do rzadkiej trawy. Kiedy podjechali jeszcze kilkaset jardów dalej, przekonali się, że była to rzeczywiście trawa: rzadkie, suche i wyschnięte źdźbła, ale z całą pewnością prawdziwa trawa. Łagodny, ożywczy powiew, który czuli na twarzach, w niczym nie przypominał zniechęcającego, prąjącego wiatru z interioru. Hard poczuł, że otucha wlewa się w jego serce; zbliżali się do morza.

Odwrócił się do profesora, który człapał ciężko za nim, niosąc dwa karabiny należące do najbardziej sforsowanych wędrowników. \* Już niedaleko, sir. Zbliżamy się do morza \* powiedział głosem ochrypłym ze zmęczenia.

\* Dzięki Bogu \* odetchnął profesor Challenger. \* Ludzie już mają tego dość.

Hard skinął głową w milczeniu i szedł dalej.

Dziesięć minut później Arabowie na wielbłądach pojawili się ponownie, tym razem trzymając się w odległości co najmniej tysiąca jardów, czyli tuż poza zasięgiem karabinu. Jednak tym razem nie nacierali wrzeszcząc i wymachując bronią, ale stali spokojnie, ich kontury wyraźnie rysowały się w czerwonej poświacie zachodzącego słońca. Siedzieli nieporuszeni na swoich wierzchowcach, od czasu do czasu tylko pokazując sobie ręką mały konwój. Było coś złowrogiego, dziwnego, wręcz przerażającego w takiej ich pozie. Sierżant Williams zamykający grupę piechurów, parsknął ze złością: \* A niech te Arabusy wreszcie się od nas odcepią. Działają mi na nerwy, kiedy tak stoją i się gapią.

Jakby w odpowiedzi na jego życzenie Arabowie chwilę później zawrócili wielbłądy i bezszelestnie, jak

czarne widma znikli za wydmą.

Hard zastanawiał się, czy odjechali już na dobre. Może nie udało im się znaleźć w pobliżu żadnych Niemców, a bali się atakować bez ich pomocy? A może porozumieli się z nimi, ale Niemcy mieli w tym momencie zbyt dużo roboty w Tobruku, żeby obchodziła ich garstka jakichś maruderów? Jednak kiedy przyszło mu to na myśl, wiedział od razu, że to nie może być prawda. Przecież Niemcy i ich zdradzieccy egipscy sojusznicy deptali im po piętach od samego początku, jeszcze w Kairze. Nie wypuszczą ich teraz tak łatwo. Pomyślał, że będą bezpieczni dopiero na pokładzie starego holownika kapitana Christiana \*jak on go nazywał? Mucky Duck. Tak, na jego pokładzie i prując do Gibraltaru najszybciej Jak będzie można \* wtedy będą bezpieczni...

Dziesięć mil od nich, na morzu, kapitan Christian pozwolił sobie na małą kropelkę whisky i właśnie wrócił na mostek. Bosman Thirsk, jak na mężczyznę słusznego wieku, zdawał się niezmordowany. Stał za sterem przez wszystkie te godziny. Musi być wytrzymały jak koń, pomyślał

Christian i zapytał rzeczowo: \* Szefie, chcesz żebym cię teraz zmienił? Możesz zejść do kajuty i zdrzemnąć się trochę.

\* Nie, sir. Ale dziękuję\* odparł z wdzięcznością Thirsk, patrząc na ciemniejące niebo. \* Poczekam, aż już będzie dobrze ciemno i wtedy zejdem. Myślę, że będziemy bezpieczni.

\* Dobrze, szefie\* zgodził się Christian, przyglądając się różowiejącej na horyzoncie łunie. \* To nad Tobrukiem. Sądząc po tej łunie, to pewnie dostał porządny wycisk. Zastanawiam się, jak długo zajmie szkopom zdobycie go. \* Nagle przerwał i wyciągnął szyję: \* A to co takiego? \* zdziwił się.

Thirsk wystawił głowę: \* Silniki samolotu \* skonstatował po chwili.

Zaczęli przeszukiwać wzrokiem horyzont. Daleko, ledwo widoczne na ciemniejącym niebie zobaczyli trzy samoloty lecące w formie litery V na południe. \* Szkopy, załóż się\* stwierdził ponuro Christian i dodał: \* Zaraz nas zaszczycą swoją obecnością.

\* A niech to wszyscy diabli! \* wybuchnął Thirsk, przeklinając głośno, co zdarzało mu się bardzo rzadko. \* Nic nam już nie oszczędzą?

Christian poklepał starego po chudym ramieniu. \* Obawiam się, że nie, szefie. Ale przetrwamy i to. Musimy, co?

Stary bosman w milczeniu skinął głową.

Pruli dalej przez ciemne fale, a samoloty zbliżały się z sekundy na sekundę...

Niemiecki półgąsienicowy transporter opancerzony sunął wśród wydm, gdy tymczasem słońce zaszło i momentalnie zapadła atramentowa ciemność. Przedtem widzieli go jednak przez krótką chwilę, a po zapadnięciu ciemności wciąż wyraźnie słyszeli klekot i zgrzyt zardzewiałych gąsienic.

Hard błyskawicznie podjął decyzję. \* Wszyscy z wozu. Szybko!

Zaskoczeni nowym niebezpieczeństwem żołnierze wyskakiwali na piasek. Hard podbiegł do kierowcy. \* Dickie \* wysapał do Birda \* zaklinuj jakoś pedał gazu \* tak żeby Bedford mógł jechać dalej sam.

\* Sir \* Dicky Bird zrozumiał w lot jego intencje. W ciemności nieprzyjaciel będzie nasłuchiwał warkotu silnika, o którym oczywiście donieśli grasujący po pustyni Arabowie.

Hard pośpiesznie zebrał swój niewielki oddział razem. \* Ani słowa \*mówił nagłym szeptem. \* Żadnych świateł. Trzymajcie się blisko siebie. Każdy, kto zostaje w tyle, będzie musiał się sam o siebie martwić. Nie czekamy na maruderów. Zrozumiano?

Rozległ się cichy pomruk zgody.

\* Doktor Stein, pani niech się trzyma mnie. Pan, profesorze, będzie zamykał tył z sierżantem Williamsem.

\* Wóz gotowy, sir \* wpadł mu w słowo Dicky Bird.

\* Dobry chłopak. A teraz puść go w drogę.

Bird podbiegł do szoferki, przycisnął kawałek drewna, którego użył do zaklinowania pedału gazu, wrzucił pierwszy bieg i jednym skokiem wydostał się przez otwarte drzwi na zewnątrz. Bedford potoczył się wolno po nierównej drodze.

Hard odczekał chwilę, zanim jego szept stał się słyszalny. \* No dobra, a teraz idziemy. Kierujcie się na tamten błyszczący punkt. To morze. \* Nikt nie potrzebował popędzania. Noc zrobiła się nagle chłodna, a czyhające niebezpieczeństwo i strach pompowały świeżą adrenalinę w ich wycieńczone ciała. Niezwłocznie ruszyli przed siebie.

Idący z przodu Hard spojrzał przez ramię do tyłu. Trzytonowy Bedford toczył się jakieś pięć, sześć mil na godzinę, a jego zdezelowany silnik robił potworny rumor. „Wystarczy tego huku”, pomyślał Hard, „żeby Niemcy w swoim wozie usłyszeli i zaczęli w niego celować. Jeśli dopisze nam szczęście, to da nam to jakieś trzydzieści minut opóźnienia, a to wystarczy, żeby dotrzeć do skał i głazów na wybrzeżu małej zatoczki. A tam, znów jeśli fortuna będzie łaskawa, będą mogli odeprzeć Niemców, dopóki nie pojawi się Christian i jego stary Mucky Duck.

, Akurat!“ \* odezwał mu się w głowie cyniczny cichy głosik, ale Hard zignorował go, dysząc już w szybkim marszu.

## Rozdział siódmy

\* To oni! \* powiedział von Almaszy. \* To ich ciężarówka. \* Szturchnął kierowcę ciężkiego półgąsienicowego transportera opancerzonego, w którym ciasno stłoczeni siedzieli jego brandenburczycy. \* Za nimi.

Siedzący za kierownicą żołnierz Afrika Korps wrzucił wielką dźwignię na pierwszy bieg i pojazd ruszył głośnym dudnieniem w kierunku dochodzącego z oddali odgłosu silnika. Za nim uzbrojeni brandenburczycy \* twardzi, żądni przygody, młodzi mężczyźni odbezpieczyli broń gotowi na zabijanie.

W kabinie von Almaszy podniósł się nieznacznie, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność. Chciałby wziąć Anglików do niewoli, zwłaszcza tą tajemniczą dwójkę cywilów, ale nie zamierzał narażać życia swoich chłopców. W zamieszaniu i strzelaniu po ciemku mogło zginąć więcej ludzi, niż było to potrzebne. Najpierw będą strzelać, potem zadawać pytania, zdecydował.

Ciężki hałas silnika był coraz głośniejszy. Byli już blisko. Przymrużył oczy i jeszcze usilniej wpatrywał się w ciemność. Wreszcie zobaczył ją: duża, angielska ciężarówka toczyła się jakoś niezdarne, jakby kierowca pozwolił sobie na kilka drinków za dużo. Uderzała w kanistry po benzynie, które wyznaczały drogę i chwiała, się skręcając między jedną a drugą przeszkodą.

Kierowca niemieckiego pojazdu wiedział, co ma robić. Był to jeden z pustynnych weteranów Rommla. Skręcił wielką opancerzoną maszynę tak, że jechali teraz równolegle do ciężarówki w odległości jakichś stu metrów.

Wtedy, przekrzykując ryk silników i stukot gąsienic von Almaszy wrzasnął: \* Feuer!

Brandenburczycy ochoczo wychylili się przez lewą stronę wozu i gruchnął ogień. W stronę ciężarówki poszybował pocisk smugowy. Z tej odległości nawet najbardziej niezdarne strzał nie mógł chybić celu, a oni wszyscy byli strzelcami wyborowymi. Serie z karabinów dziurawiły bok Bedforda. Von Almaszy czekał w napięciu na odzew Anglików. Ale, o dziwo, nic się nie działo. Jedno z tylnych kół wybuchło potężną eksplozją, ale Bedford włókł się dalej, chwiejąc się dziwnie jak człowiek raniony w nogę.

\* Cholera jasna! \*jeden z Niemców krzyknął ze złością. Podniósł się, stanął i wyciągnął z cholewy granat. Stęknął i z całych sił rzucił go w stronę ciężarówki.

Granat wylądował dokładnie przy prawym boku wozu, tuż za kabiną kierowcy. Wybuch podrzucił ciężki pojazd do góry i w chwilę potem we wściekłym błysku czerwonego płomienia Bedford spadł z trzaskiem na ziemię i zatrzymał się, smętnie zapadnięty na bok.

\* Mamy ich \* krzyknął von Almaszy triumfalnie. \* Los Jungs. An den Angriff!

Brandenburczycy nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Lekko zeskakiwali z jadącego wciąż transportowca i pochyleni biegli do ciężarówki, strzelając z biodra. Ale z ostrzelanego Bedforda wciąż nie padały żadne strzały. Czyżby granat poradził sobie ze wszystkimi Anglikami? \* Zastanawiał się von Almaszy, kiedy jego młodzi żołnierze parli do przodu, choć strzelali coraz mniej, zdając sobie sprawę, że nie napotykają żadnego oporu i po prostu marnują amunicję.

Zbliżyli się do Bedforda, otaczając go bojowym półkolem. Silnik wciąż pracował, ale Anglicy nie dawali znaku życia. Zdziwiony von Almaszy zsunął czapkę na tył głowy. Co się dzieje? Znał Harda i jego bandytów. Powinni już dawno otworzyć ogień. W końcu chodziło tu o ich życie.

Chwilę później von Almaszy uświadomił sobie, że zostali oszukani. Sierżant brandenburczyków odkrył, że w szoferce nie ma kierowcy, pedał gazu jest zaklinowany i nie ma tam też dobrych angielskich papierosów. Krzyknął: \* Nie ma tu nikogo, sir. Angole zrobili nas w balona!

Von Almaszy nie tracił czasu na przekleństwa. Nie mogli być daleko, wiedział to od Arabów. Ale pustynia jest duża i panują tu całkowite ciemności. Podniósł pistolet i z cichym pyknięciem wystrzelił w niebo czerwoną flarę. Światelko uniosło się lekko w powietrze i roztoczyło wokół nierealne, różowawe światło. To był sygnał dla Arabów.

Zjawili się jak spod ziemi. Na ich ciemnych twarzach o orlich nosach malowała się pazerność i przemożna chęć rabowania. Wydał rozkazy i potarł kciuk o palce w geście liczenia pieniędzy, który znali doskonale. Ich chciwe, złe oczy zaśniły. Von Almaszy pomyślał, że za talara z głową Marii Teresy poderznąliby gardło własnej matce. Znikli tak samo cicho, jak się pojawili. Słyszał tylko odgłos batów chłostających boki wielbłądów. Von Almaszy kiwnął głową zadowolony. Jeśli ktokolwiek miałby znaleźć tych piekielnych Anglików, to z pewnością nikt nie zrobi tego szybciej niż jeźdźcy Senussi...

Hard usłyszał wybuch granatu i wiedział, że to musi być granat nieprzyjacielski. \* W porządku, chłopcy \* zawołał cicho. \* Przygotujcie się. To już niedługo.

Żołnierze stali cicho tyłem do morza, skąd dochodził chłodny, przyjemny powiew. Podnieśli teraz broń i wyczekująco wpatrywali się w ciemność. Hard ustawił ich w perymetr o długości może pięćdziesięciu jardów, za rzędem poszczerbionych głązów. Pośrodku znajdowało się niewielkie, lecz głębokie wodne estuarium. No właśnie \*jeśli, cichy głosik nagabywał nieustannie \*jeśli Mucky Duck przyplynie, ludzie tworzący oba skrzydła perymetru będą mogli załadować się na pokład, podczas gdy oni utrzymają środkową pozycję. Kiedy już wszyscy będą na pokładzie, wtedy ów środek \* to znaczy on, sierżant Williams i profesor Challenger dobiegną do statku kryci ogniem tych, którzy już będą na miejscu. Ale, gdzie, do licha jest ten cały holownik?

Podczas gdy żołnierze przygotowywali się do tego, co miało się tu wydarzyć, Hard podszedł do Lisy Stein i zapytał: \* Doktor Stein, mam pewne zadanie, jeśli będzie się pani chciała go podjąć.

Lisa bała się, ale nie mogła pokazać tego po sobie w obliczu tych dzielnych, młodych ludzi, którzy narażali swoje życie, próbując ratować ją i profesora. \* Oczywiście \* odparła natychmiast.

Hard uśmiechnął się w ciemności, choć ona nie mogła tego zobaczyć. Podał jej dużą latarkę, jedyny sprzęt, który zabrał ze sobą, kiedy zostawiali ciężarówkę. \* Proszę iść za mną.

Ostrożnie, szukając po omacku przejść między głązami, doszli do małej groty w skale, tuż przy brzegu morza. Być może w czasach pokoju służyła za schronienie jakiemuś arabskiemu rybakowi.

\* A teraz, jeśli pani może, to proszę się tu ukryć. Nie będzie pani widać z lądu. Jak tylko odejdę, chciałbym, żeby zaczęła pani wysyłać w morze sygnały świetlne co dziesięć minut.

Zaświeciła krótko latarkę i rozejrzała się po małej grocie z piaskowym dnem i spływającą po skalnych ścianach wodą. Nie podobało jej się tu wcale, ale zdawała sobie sprawę, że nie może odmówić. \* Jaki

jest sygnał? \* zapytała.

\* Bardzo prosty \* odparł Hard. \* SOS alfabetem Morse'a, czyli save our souls. O tak. Wsunął się do groty i szybko zasygnalizował latarką SOS. \* Poradzi sobie pani?

Roześmiała się z wysiłkiem. \* Cóż, jeśli produkt dwunastu lat nauki w kosztownych uniwersytetach nie poradzi sobie z takim zadaniem, to możemy od razu, jak mówicie wy, Anglicy, zamknąć ten kram.

Zaśmiała się, a on jej zawtórował.

\* Więc dobrze \* odezwał się pierwszy. \* Zostawiam tu panią. Wszystko w porządku? Bo jeśli nie...

\* Proszę już iść, majorze Hard \* przerwała mu. \* Dam sobie radę.

\* Świetnie \* rzucił jeszcze i zniknął w ciemności. Przez chwilę kucąca tam, czując się całkiem opuszczona i całkiem przerażona. Pozbierała się jednak zaraz i weszła do groty, w której było zimno i wilgotno jak w grobowcu. Zadrżała i usiadła na ziemi. Po chwili przyszła jej do głowy pewna myśl, wyjęła więc swój pistolet i położyła go na skalnym występie obok. Spojrzała na fosforyzującą na zielono tarczę zegarka, czekając aż minie pierwsze dziesięć minut.

Czas płynął leniwie. Na niebie ukazał się sierp księżyca rzucający na morze swoje srebrne, widmowe światło i nadający lodowy odcień lekko zmarszczonej powierzchni morza. Lisa wystąpiła sygnał raz i jeszcze raz, wypatrując z uwagą jakiejś odpowiedzi. Ale na próżno. Horyzont pozostawał uparcie pusty. Wydawało jej się, że jest całkiem sama w tym zimnym nocnym świecie, ostatnia żywa istota na Ziemi. Znowu przeszył ją dreszcz.

O dziesiątej nadała SOS jeszcze raz. Tym razem miała wrażenie, że daleko na horyzoncie coś słabo błysnęło. Pomyślała, że może to odpowiedź, choć wydawało jej się, że światełko mignęło bardziej na niebie niż na morzu. Wpatrywała się intensywnie w tamten punkt. Tak, na pewno coś widziała. Ale to coś znikło bardzo szybko.

W pierwszym odruchu chciała biec i powiedzieć o tym Hardowi. Po chwili uświadomiła sobie, że powinna wytrzymać i nadać kolejny sygnał. Tym razem, jeśli holownik rzeczywiście odpowie, będzie bardziej pewna tego, co widzi. Więc czekała, drżąc z zimna w wilgotnej, ciasnej grocie.

Spojrzała na zegarek. Dziesięć minut wydawało się ciągnąć w nieskończoność. Nagle poderwała głowę. Na mokrym piasku, gdzieś blisko wody usłyszała dziwny odgłos. Krzyk zamarł jej na ustach. Czy to wąż? Nie mogła sobie teraz przypomnieć, czy w tej części Pustyni Zachodniej są węże. Odezwał się znowu. Skradający się, niepewny ruch na mokrych kamykach. Poczwała jak lodowaty palec strachu wolno posuwać się w dół po plecach. Niemal automatycznie sięgnęła po mały pistolet z rączką z kości słoniowej, który dostała w Tobruku. Coś bez wątplenia tam było. I było to większe od węża. Zdawała sobie sprawę, że cokolwiek to jest, nie ma w stosunku do nich przyjacielskich zamiarów. Bo skąd ten skradający się chód?

Bardzo cicho odbezpieczyła broń i podniosła do góry. Jej ręka drżała mocno; nigdy w życiu nie używała broni palnej. Ale teraz musi to zrobić. Musi podnieść alarm, jeśli tak będzie trzeba.

Chwilę później zobaczyła to. To nie było zwierzę. To był Arab skradający się na czworakach zza skał. Zimne srebrne światło księżyca oświetliło na moment jego podejrzaną twarz z orlim nosem. W zębach trzymał pobłyskujący w świetle księżycowym, wygięty nóż. Instynktownie wiedziała, że ma zamiar skrytobójczo pchnąć nim któregoś z niczego nie podejrzewających Anglików. Policzyła w myślach do trzech i nacisnęła spust.

Pistolet szarpnął gwałtownie jej ręką. Strumień jasnoczerwonego ognia przeszył ciemność. Nóż spadł na mokre kamienie, a sekundę potem Arab krzyknął boleśnie i upadł na plecy. Z uniesionymi kolanami, wił się i tarzał w mokrym piasku, krzycząc przeraźliwie.

Ten pojedynczy strzał stał się sygnałem do rozpoczęcia walki. Nagle zewsząd odezwały się wystrzały i chrapliwe krzyki gniewu, strachu i złości. Walka się zaczęła.

## Rozdział ósmy

Christian stał właśnie za sterem, a Thirsk próbował przespać się odrobinę, choć wątpliwe było, czy stary bosman, który martwił się o wszystkich jak kokoszka o swoje kurczęta, zdoła choć na chwilę zmrużyć oko. Już od godziny wrogie bombowce przeszukiwały morze, chcąc namierzyć MuckyDucka. Co jakiś czas podlatywały bardzo blisko, rzucając wielkie snopy flar, które oświetlały wokół morze swoim upiornym, nierealnym srebrnym światłem. Jednak jak dotąd mieli szczęście.

Trzymając ster Christian wystawił głowę na zewnątrz i słuchał. Tak, leciał następny, gdzieś wysoko słychać było warkot silnika. Dźwięk nie był głośny, ale wyraźnie identyfikowalny.

Schował głowę z powrotem i zmarszczył brwi. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie im sprzyjało szczęście. Byli niedaleko brzegu, gotowi na spotkanie z Hardem i ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowali, był atak bombowca. Jeśli wpłyną do tej małej zatoczki, naturalnego portu, to tak jakby podać się szkopom na srebrnej tacy z wizytówką.

Drzwi do sterówki otworzyły się i wszedł Thirsk. W rękę trzymał parujący kubek. \*Nie mogę spać, sir\* powiedział z zakłopotaniem. \*Więc zrobiłem krótką rundkę po Mucky Ducku. Chłopcy wszyscy na stanowiskach. A kucharz przysyła to. Herbata z kropelką Nelson's blood.

Christian uśmiechnął się pomimo dręczących go myśli. \*Oj, szefie, z ciebie to naprawdę dobra mamuśka. Dziękuję. \*Wolną ręką wziął kubek i przełknął trochę gorącej herbaty z rumem. \*O, to jest to \* mruknął z satysfakcją.

\* Właśnie tak sobie pomyślał nasz kuk.

Mimo twardego serca Christian poczuł nagle przyptyw czułości dla swojej załogi. Ci zwykli, młodzi ludzie wiedli niebezpieczne życie w bezlitosnych warunkach, żywiąc się najczęściej zimnymi racjami, a szczytowym punktem dnia był czas na papierosa i odrobinę rumu. Mimo to byli tak lojalni i troskliwi.

Pokręcił głową, a postronny obserwator zauważyłby chwilowy wilgotny błysk w jego zaczerwienionych oczach.

\* Coś tam się dzieje na brzegu \* Thirsk przerwał jego rozmyślenia. \* Widzi pan, sir?

Christian zobaczył. Jakąś milę od nich srebrzystą ciemność przecięt pocisk smugowy i ponure, czerwone rozbłyski, które mogły pochodzić z wybuchających granatów. \* To oni \* stwierdził Christian, dopijając szybko resztę herbaty. \* Na pewno. \* Szarpnął telegraf i dmuchnąwszy w tubę, nadał do mechanika: \* Daj jak najwięcej mozesz, Scottie. Namierzyliśmy ich.

W tej samej chwili pilot niemieckiego samolotu najwidoczniej również ich zobaczył. Warkot silników samolotowych był coraz donośniejszy, więc wystawili głowy ze sterówki i zobaczyli wyraźnie, jak ciemny kształt samolotu zmierza prosto w kierunku miejsca strzałów.

Minutę później pierwsza z serii flar spadła, żeglując po niebie i oświetlając linię brzegową lodowatym, srebrnym światłem.

\* Sądząc ze strzałów \* odezwał się Christian \* wygląda na to, że Hard uformował perymetr wokół tej zatoczki, gdzie mamy zakotwiczyć. Szwabski ogień skierowany na nich jest bardzo silny. Szefie, musimy migiem do nich podpłynąć. Nie są w stanie długo odpierać takiego ataku. To będzie delikatna robota.

\* Wydałem thompsony żołnierzom na warcie, sir.

\* Doskonale. Ale musimy ogłosić alarm. Kiedy przybijemy, będziemy potrzebować każdej pary rąk i każdej broni. Musimy zmobilizować wszystkie siły.

\* Aj, aj, sir\* odpowiedział Thirsk i odwrócił się, ale w drzwiach sterówki stanął i zapytał pośpiesznie: \* A co z tym szkopskim bombowcem? \* Wskazał głową na ciemny kształt na niebie wciąż zrzucający nowe flary.

\* Bóg raczy wiedzieć. Będziemy się martwić później. Na razie ogłosz alarm. Wszyscy na stanowiska.

Lekki niemiecki moździerz wypalił ponownie. Słychać było grzechotanie metalowego pocisku w lufie, ohydny bulgot i kolejny pocisk moździerzowy przecięt powietrze. Ekspłodował tuż przed ich linią. Na ziemi pojawiła się wielka dymiąca wyrwa, jak dzieło jakiegoś gigantycznego kreta. Hard skrzywił się. Wiedział, o co chodziło Niemcom. Za każdym razem, kiedy Anglicy chronili się przed wybuchem za głazami, podbiegali, chcąc wedrzeć się na ich pozycje.

Nad nimi nieustannie krążył samolot i zrzucał flary. Pilot najwidoczniej nie mógł się połapać w sytuacji, więc nie włączał się do bitwy. Ale Hard wiedział, że gdy tylko Mucky Duck pojawi się w zatoczce, zorientuje się, którą stronę ma atakować.

\* Idą, tam! \* usłyszał krzyk Williamsa na drugim skrzydle.

\* Przygotować się \* ryknął Hard. \* Strzelać na odlew. Ognia! Brandenburczycy biegli w ich stronę, strzelając z biodra. Razem z nimi



byli ich arabscy sojusznicy z mauzerami, które dostali od Niemców w nagrodę za zwiady. Wznosili okrzyki bojowe po niemiecku i po arabsku, ogarnięci krwawym szafem walki.

\* Do roboty! \* krzyknął gwardzista Smith ponad zgiełkiem i mrużąc oko nad lufą swojego LeeEnfielda zaczął strzelać seriami w nacierających nieprzyjaciół z takim spokojem, jakby stał sobie właśnie w koszarach i zdawał egzamin na odznakę strzelca wyborowego.

Pierwsza seria uderzyła w brandenburczyków, zbierając śmiertelny plon. Ludzie padali wszędzie. W linii nacierających powstały duże wyrwy. Kapitan dowodzący atakiem złapał się nagle za pierś. Nogi ugiwały się pod nim powoli, a jasne włosy opadły na twarz i lśniły w światłach flar, jakby jakimś uczniakowi zsunęła się czapka z głowy. Mocował się ze śmiercią, ale nadaremnie. Wzięła go w swoje posiadanie, upadł twarzą prosto w krwistoczerwony piasek, martwy już, zanim uderzył o ziemię.

A dookoła jego ludzie krzyczeli, wołali, padali w nagłej agonii. Jednak zwolnili natarcie, jakby nagle zaczęli iść przez gęste błoto, które oblepia kostki i spowalnia krok. Ale wciąż parli do przodu. Williams przybiegł dysząc na środkowe pozycje i krzyknął: \* Skrzydła wytrzymają, sir. Ale my musimy ich tutaj zatrzymać!

\* Bez obaw \* huknął Challenger, śląc serię za serią w Niemców, jakby znów był nastolatkiem w okopach pierwszej wojny, kiedy walczył z nacierającą gwardią pruską w spiczastych hełmach. \* Damy im radę.

I miał rację. Jakieś dwadzieścia metrów przed nimi niemiecki atak załamał się. Pierwsi Arabowie, wyjący jak obłąkani, odwracali się, rzucali broń i uciekali przed śmiertelnie palącym ogniem. Po chwili to samo zrobili brandenburczycy. Ale oni nie odwrócili się od nieprzyjaciela, lecz powoli wycofywali się, strzelając w upatrzone miejsca, niektórzy ciągnęli ze sobą swoich rannych.

\* Wstrzymać ogień! \* krzyknął Hard, zauważywszy, że gwardzista Smith i Williams z zaciętymi, bezlitosnymi twarzami systematycznie wybijają wycofujących się Niemców. Williams nie zdejmując wzroku z frontu krzyknął w odpowiedzi: \* Wykończmy tyle tych szwabskich drani, ile się da... oni wrócą!

\* Oszczędzać amunicję\*przerwał mu ostro Hard, który zdawał sobie sprawę, że na morzu pojawiły się błyskające światła, co wskazywało, że Mucky Duck płynie już w ich stronę. \* Będziemy potrzebować każdego naboju, zanim to się skończy... Wstrzymać ogień!

Von Almaszy był wściekły. Odwrócił się do jednego z brandenburczyków, który miał na twarzy skórzaną maskę i gogle i warknął: \* Ty nie musisz się obawiać. Będziesz kryty przez transporter, dopóki nie dojdziemy pod pozycje Anglików. Potem kierowca odwróci maszynę w bok tak, żebyś miał ją jako częściową osłonę. Będziesz strzelał, stojąc za nią. Zrozumiałeś?

Jawohl, Herr Hauptmann \* odparł żołnierz stłumionym, dziwnie zniekształconym przez maskę głosem.

\* Będą cię osłaniać po bokach dwa karabiny. Chociaż myślę, że nie będzie ci potrzebna ochrona. Klar!

\* Klar, Herr Hauptmann \* potwierdził żołnierz.

\* W porządku, no to zaczynamy.

Brandenburczyk z wysiłkiem zarzucił na ramiona ciężki tobół z wystającą rurą. Z boku obserwowali go dwaj inni żołnierze, przydzieleni mu jako jego osłona. Ich twarze wyrażały niepokój. Wiedzieli jakiej to straszliwej broni będzie używał człowiek w masce. Wiedzieli również,

że mogła obrócić się przeciwko nim i wtedy jej ofiarami mogli się stać równie dobrze Anglicy jak i oni sami.

Von Almaszy klepnął stalowy bok transportera. To był sygnał dla kierowcy, który wystartował silnik. \*Najwolniej jak można\*zawołał jeszcze von Almaszy, przekrzykując dudnienie maszyny.

Zardzewiałe gąsienice skrzyknęły i wóz zaczął powoli toczyć się przed siebie. Za nim szedł mężczyzna w masce, niosąc na plecach swoją okrutną broń i dwaj żołnierze z przygotowanymi do strzału karabinami, trwożliwie trzymający się na dystans. Von Alamszy kiwnął głową z ponurym zadowoleniem, obserwując jak znikają w srebrzystej ciemności. To im zamknie usta, pomyślał. Za parę minut będą uciekać, wymachując rękami i błagając o litość. Wtedy będzie mógł się wreszcie zemścić...

No wreszcie! Lisa Stein rozpoznała sygnał. Czekali na to SOS tak długo. Lekceważąc martwego Araba, który leżał rozciągnięty na ziemi w dramatycznej pozie nagłej śmierci, wyszła z wilgotnej groty i błysnęła latarką swoje SOS. Czekwała w napięciu, podświadomie rejestrując, że do ich pozycji zbliża się jakiś ciężki pojazd. Nadeszła odpowiedź \* kolejne błyski krótkiego sygnału alfabetem Morse'a. Zobaczyli jej sygnał!

Nie czekała dłużej. Pośpiesznie wcisnęła latarkę do kieszeni i zgięta wpół ruszyła biegiem do środkowej pozycji, gdzie profesor, Hard i Williams przywarli do ziemi, czekając na niewidzialnego wroga. Rzuciła się na piasek obok nich i wysapała: \* Płyną już w naszą stronę. Widzieli mój sygnał i płyną tu.

\* Wspaniale \* wykrzyknął Challenger.

\* Dzięki Bogu \* Hard odetchnął z ulgą. \* Sierżancie \* zwrócił się do Williamsa. \* Trzeba zawiadomić ludzi na skrzydłach.

\* Ta\*jest \* Williams nisko pochylony, z karabinem w ręku, ruszył rozgłosić dobrą nowinę.

Przelotny uśmiech ulgi na twarzy Harda już za chwilę ustąpił miejsca takiej jak poprzednio zafrasowanej minie. \* Coś kombinują\* wyszeptał. Z głową przechyloną na bok wsłuchiwał się w coraz bliższy odgłos poruszającego się bardzo wolno pojazdu.

\* O co tu chodzi, jak pan myśli, majorze? \* zapytał Challenger.

Z krążącego nad nimi samolotu spadła kolejna flara i wielki uczoney zobaczył odpowiedź na swoje pytanie.

Flara żeglowała w dół po niebie, aż wreszcie wybuchła jasnym, białym, żarzącym się światłem, zamieniając noc w dzień. Zobaczyli toczący się w ich stronę transporter, a za nim troje ludzi zbliżających się do ich linii w okrutnym celu.

Lisa podniosła rękę do ust, tłumiąc okrzyk strachu. \* Co... co to za człowiek w masce? \* zapytała cicho.

\* Powiem ci \* odparł Challenger, zanim Hard mógł cokolwiek powiedzieć. \* Widziałem coś takiego w

siedemnastym roku, kiedy jako chłopiec siedziałem w okopach frontu zachodniego. To jest miotacz ognia.

Lisa wydała stłumiony okrzyk, a Hard leżący obok niej przypomniał sobie pewien fatalny dzień w lecie dwudziestego roku, kiedy niespodziewanie wpadł na pana Ryana. Pan Ryan był łagodnym mężczyzną w średnim wieku, który często dawał mu cukierki i zawsze nosił czarny bandaż na głowie. Kiedy Hard pytał swego ojca co to jest, ten odpowiadał mu niezmiennie: „Pan Ryan został ranny w wielkiej wojnie...” albo „Został poważnie zraniony w czasie bitwy”. Ale tego upalnego lipcowego popołudnia, kiedy wbiegł przez przeszklone drzwi z tarasu, zobaczył to na własne oczy i poznał przerażającą naturę ran pana Ryana.

Pan Ryan był zajęty odwiązywaniem czarnego bandaża. Hard stał tam w świetle słońca i patrzył z przerażeniem i fascynacją, jak odsłania się kompletnie łyśa czaszka, pokryta pomarszczoną i ciemnoróżową skórą, na której widniały brązowe plamy. Później ów widok nakładał mu się w pamięci na obraz tysiącletnich mumii, które widział w British Museum. Ale dopiero spojrzawszy nieco niżej zobaczył straszliwą rzecz, która na wiele miesięcy stała się tematem jego koszmarnych snów. Pan Ryan nie miał uszu. Na ich miejscu ziały dwie czarne dziury, z których wyciekała żółtawa wydzielina. Później, kiedy już się uspokoił, ojciec posadził go sobie na kolanie i wyjaśnił, że uszy pana Ryana zostały spalone czymś, co nazwał miotaczem ognia.

Teraz tu, na tej odległej pustyni stał w obliczu broni, której bał się począwszy od tamtego lipcowego dnia, wiele lat temu...

## Rozdział dziewiąty

\* Wszyscy na stanowiska! \*ryknął Thirsk.

Rozległo się wycie syren i wrzaskliwy dźwięk dzwonek alarmowych, kiedy Mucky Duck zaczął zwalniać przed wejściem do wąskiej zatoczki. Przez chwilę ogień przycichł i w tym momencie Thirsk ryknął ochryple: \* Oerlikony gotowe?

\* Aj, aj, szefie \* nadeszła odpowiedź.

Jeden po drugim artylerzyści meldowali: \* Browningi gotowe do strzału... wyrzutnia Holmana gotowa do strzału...

Christian wychylał się właśnie ze sterówki, starając się ocenić szerokość zatoczki. Thirsk odwrócił się i zameldował: \* Wszyscy na stanowiskach, sir.

\* Dziękuję, szefie \* rzucił Christian i schował się z powrotem. Członkowie załogi, którzy nie obsługiwali dział, zajęli swoje pozycje z gotowymi do strzału amerykańskimi thompsonami.

\* Uwaga, oddział lądowy \* krzyknął Thirsk, kiedy holownik całkiem zwolnił. \* To musi być zrobione

biegiem. Szybko na ląd i przerzucać żołnierzy i z powrotem na pokład \* pędem. \* Spojrzał swoim bystrym okiem na stojących w szeregu młodych marynarzy, czując to samo stare podniecenie, które po raz pierwszy czuł jako chłopiec w bitwie o Ju\*tlandię w 1916. \* Uwaga, ruszamy. Już jesteśmy prawie na miejscu.

Za sterem Christian rozkazał: \* Maszynownia \* zatrzymać się \*obydwie.

Mucky Duck płynął jeszcze siłą rozpędu i Christian wiedział, że jeśli pilot wypatrzy ich teraz, to będą mieli kłopoty. Będą musieli ruszyć w tył

pełną parą, żeby wydostać się z tej śmiertelnej pułapki, bo nie było tu miej sca na żadne manewry. Ale na to przyjdzie czas później. Najpierw trzeba załadować żołnierzy i tych cywilów na pokład.

Nagle zaskoczył go dziwaczny świszczący dźwięk, jakby jakiś wielki, starodawny smok wciągnął nagle powietrze. Spojrzał przed siebie. Długi, złowrogi strumień wściekłego ognia, czerwony jęzor w żółtej poświacie wytrysnął jak spod ziemi. \* A to co takiego, na litość boską? \* wyjąkał. \* Nigdy czegoś takiego nie widziałem. \* Ale po chwili przyszło mu do głowy, że kiedyś w przedwojennej kronice filmowej o walce w Hiszpanii zobaczył coś podobnego. \* O jasny gwint \* mruknął przerażony. \* Szkopy mają miotacz ognia...!

\* Williams \* rozkazał Hard, kiedy pierwszy straszliwy słup ognia znikł. \* Idź na prawe skrzydło. Zaczynj przerzucać ich na statek.

\* Alesir...

\* Żadnych ale \* uciął Hard brutalnie. \* Ruszaj się. Damy radę bez ciebie.

Niechętnie, zgięty wpół, Williams oddalił się, żeby wykonać rozkaz.

Transportowiec znów ruszył do przodu. Był teraz niecałe sto jardów przed nimi, co jak sądził Hard, było już właściwym dystansem dla tej śmiercionośnej broni wojennej. \* Profesorze \* powiedział zmienionym głosem. \*Niech pan idzie za nim.

\* A niech mnie piekło pochłonie, jeśli to zrobię \* zdecydowanie zaoponował Challenger. \* Miałem do czynienia z tymi rzeczami i nie boję się. Człowiek, który trzyma miotacz, jest w bardzo niebezpiecznej pozycji. Jeśli się przewróci, nie będzie mógł się podnieść, a jeśli trafimy w to, co ma na plecach \* spali się na popiół.

\* No dobrze. Niech będzie tak jak pan chce \* poddał się Hard. \* Idą znowu. Może uda się go dostać spod spodu maszyny. \* Kierowca zwolnił, obrócił transportowiec i zaciągnął hamulec, zapewniając ochronę trzem brandenburczykom. Rozległ się przyciszony świst wciągane go powietrza i nagle wystrzelił w ich stronę straszliwy jęzor ognia. Piasek wzdłuż niego topił się i czerniał. Przed ich przerażonymi oczami głązy po obu stronach zabarwiły się na ciem\* nopurpurowy kolor. Słup ognia palił się krótko, ale jego gorąco było

straszliwe i duszące. Krztusząc się i charcząc próbowali złapać w płuca trochę powietrza.

Hard poczuł w ustach smak żółci i chciało mu się wymiotować, ale wiedział, że musi trzymać się w ryzach. \* Strzelaj teraz \* rzucił chrapliwie.

Zaczęli strzelać, usiłując celować w nogi człowieka stojącego za transporterem, podczas gdy on przygotowywał swoją broń do kolejnego śmiertelnego wybuchu. Ale ich wysiłki nie zdały się na nic. Maszyna ruszyła znów do przodu i wiedzieli, że nie udało im się.

Hard rzucił spojrzenie na prawo. Zobaczył ciemne kształty pośpiesznie biegnące w stronę statku i wskazujące na pokład. Ale na drugim skrzydle pozostało jeszcze ponad dziesięciu ludzi do ewakuacji. Zajmie to następne pięć minut, a w takiej sytuacji, w jakiej byli na środkowej pozycji, wiedział, że nie utrzymają się dłużej niż minutę, najwyżej dwie.

Potworny płomień wystrzelił znowu, liżąc łakomie wszystko, co napotkał i usiłując osiągnąć ich, jak jęzor jakiegoś drapieżnego, prehistorycznego stwora, na oślep szukającego swoich ofiar. Gorąco przydusiło ich do ziemi. Buchnął śwąd spalenizny. Hard poczuł, że jego włosy kurczą się i palą.

Nagle coś się w nim złamało. Następny raz to będzie koniec. Jeśli muszą umrzeć, to dlaczego nie teraz, już?

\* Dosyć tego! \* krzyknął. Zanim Challenger zdołał go powstrzymać, podniósł się i wskoczył na najbliższy głaz. Tutaj miał przewagę wysokości. Zaczął strzelać jak szalony, trafiony jego kulą kierowca transportowca upadł twarzą na kierownicę po jazdu. W chwilę potem silnik maszyny zatrzymał się i gwałtownie zgasł. Serie z karabinów cięły powietrze wokół wyprostowanego samotnego Anglika. Hard zachwiał się, kiedy kula trafiła go w lewe ramię.

\* Zabić go \* ryczał von Almaszy ponad ujadaniem karabinów. \* To ich dowódca... Zabić go!

Człowiek w skórzanej masce podniósł rurę miotacza. Był niezwykle pewny siebie. Anglicy nie mogli go trafić. Nie mogą mu nic zrobić. Zmiecie płomieniem najpierw tego jednego na skałę, a potem całą resztę. Powoli, niemal z przyjemnością jego palec ułożył się na masywnym spuście.

Hard strzelił pierwszy. Ze skały tułów Niemca był dobrze widoczny. Kula uderzyła go prosto w pierś. Momentalnie, pod wpływem uderzenia obrócił się, pochylając ciało do przodu. W szoku zacisnął palec na spuście. Buchnął płomień. Von Almaszy zawył, kiedy osiągnął go palący jęzor, pożerający łakomie jego skórę. Już nie żył, kiedy skóra wciąż gotowała się na nim bulgocąc i dymiła. Wydawało się, że nozdrza wciąż nęka odór zwęglonego ciała.

Brandenburgczycy wpadli w panikę. Uciekali w ślad za Arabami, którzy jednocześnie wyli i modlili się do Allacha. Hard nie czekał aż ponownie się zbiorą, jak zawsze robiły to niemieckie oddziały. Pomimo wyczerpania\* a wydawało mu się, że nagle spłynęła z niego cała energia i siła\* zeskoczył z głazu, złapał Challengeera za wielką łapę, krzyknął: \* Szybko, na miłość boską! \* i już pędzili obaj w stronę Mucky Ducka.

Christian zawołał do tuby telegrafu: \* Cała do przodu, powoli. \* Na brzegu Niemcy odzyskali rezon i już puścili na odpływający holownik grad kul. Oddział lądowy Thirsk odpowiedział ogniem thompsonów.

Pocisk smugowy przeciął ze świstem powietrze, a na brzegu Niemcy ustawili już swój lekki moździerz.

Silniki Mucky Ducka zadudniły i Christian starał się lekceważyć zaciętą wymianę ognia skupiony na przeprowadzeniu statku przez wąski wylot na otwarte morze. Wiedział, że realne niebezpieczeństwo czyha na nich nie z brzegu, ale z powietrza. Samolot krążył, wciąż zrzucając flary. Zdawał sobie sprawę, że kiedy tylko wyjdą z zatoki, zacznie się ostrzał z powietrza. Jego pokładowi artylerzyści przeciwlotniczy już rozpoczęli ogień zaporowy. Ale do tej pory nie udało im się trafić niemieckiego samolotu.

Zmęczony Hard rozkazał Lisie i profesorowi, żeby położyli się na pokładzie. Mógł wystać ich pod pokład, ale pomyślał, że na wypadek, gdyby mieli być bombardowani, to leżąc tutaj będą bezpieczniejsi. Trzymając pistolet w wyciągniętej ręce rozdawał kule na prawo i lewo. Brandenburczycy chowali się za nadbrzeżnymi głazami, ale zaczynał ich widzieć coraz słabiej, w miarę jak Mucky Duck coraz szybciej oddalał się od brzegu. W końcu, kiedy ostrzał zaczął cichnąć w oddali, schował pistolet do kabury i z napięciem wyczekiwał następnego zagrożenia \*z powietrza.

Nadeszło w momencie, kiedy statek wychodził w morze. Niemiecki myśliwiec bombardujący nadleciał, mknąc przez srebrną ciemność. Działa terkotały jak oszalałe, plując ogniem. Z nieba posypał się na nich zabójczy grad pocisków smugowych. Trafiony maszt radiowy runął na pokład w chaosie splątanych drutów i iskrzących się kabli. Na kominie pojawił się szlak z poszarpanych dziur od naboju. Jakiś marynarz zawył wysokim histerycznym głosem i usiadł gwałtownie na pokładzie, wpatrując się tempo w swoją nogę, która oderwana od ciała leżała obok niego w kałuży krwi. Sprawiał wrażenie kogoś, kto próbuje zrozumieć, jak ona się tam dostała.

Niemiecki myśliwiec nagłym zrywem wzbił się w niebo. Ale Hard wściekły i pełen obaw wiedział, że zaraz wróci. Jego cel był zbyt łatwy, zbyt kuszący. \* Przygotujcie się do opuszczenia statku, chłopcy! \* zawołał na wszelki wypadek.

\* Ja nie umiem pływać \* jęknął Dickie Bird żałosnym tonem.

\* No cóż, Dickie to najwyższy czas się nauczyć \* prychnął gwardzista Smith\* bo...

Jego słowa zagłuszył ryk silnika meserszmity, który podchodził do kolejnego natarcia.

\* Leci, sukinsyn! \* wrzasnął Thirsk, przekrzykując huk, a artylerzyści ustawili lufy dział na ponowne spotkanie z wrogiem. Przy wyrzutni raketowej stał Bunts, którego Thirsk przydzielił do obsługi tej dziwacznej, groźnej broni. „Cholerny bezużyteczny grat”, mówił o nim szyderczo jego kumpel Sparks. Bunts czekał w napięciu. Teraz mu pokaże!

Meserszmit zbliżał się, lecąc nad samą powierzchnią morza. Jego śmigło miało wodę w białą wrzącą pianę pod niebieskim kadłubem. Pilot nacisnął włącznik dział. Cztery lufy plunęły zajadłym ogniem. Jeszcze raz strumień lśniących na biało pocisków trysnął w dół na wolno płynący holownik. Wyrwał rząd dziur na całej długości nadbudówki. Trafił też sterówkę. Łódź ratunkowa została podziurawiona i rozbita w drzazgi. A przez cały ten czas działa Chicago piano i oerlikony rozpaczliwie słały strumienie pocisków w nacierający samolot. Ale Niemiec był, najwidoczniej, wybrańcem bogów. Z desperacką odwagą ponawiał ataki, prześlizgując się bezkarnie przez ścianę ognia. Kolejny maszt runął na pokład, a druga łódź

ratunkowa podziurawiona jak sito zwisała w połowie zanurzona w wodzie, bo bomba strzaskała żuraw masztowy.

Bunts nie czekał dłużej. Nacisnął spust. W powietrze wystrzeliły dwie rakiety, ciągnąc za sobą ogony czerwonych iskier. Rozdzieliły się na prawo i lewo. Rzadka płątanina stalowych linek była ledwo widoczna w srebrzystej poświacie.

I wtedy to się stało. Nacierający samolot wleciał prosto w druty, które natychmiast zaczepiły się, zacisnęły na śmigle i zatrzymały je. Pilot próbował rozpaczliwie zmusić uszkodzoną maszynę do awaryjnego lądowania na brzegu, ale na próżno! Pomalowany na żółto dziób meserszmity przechylił się alarmująco. Pilot otworzyłabinę, ale było już za późno na skok. Z prędkością czterystu mil na godzinę bombowiec z hukiem uderzył o skały. Buchnął wielki żółty płomień, a kawałki metalowych części trysnęły w powietrze lśniącym srebrnym deszczem. Na pokładzie pokiereszowanego Mucky Ducka wyczerpani ludzie krzyczeli i wiwatowali. Udało się!...

Christian umarł pół godziny później. Znaleźli go w chwilę po tym, jak niemiecki samolot rozbił się o skały, na podłodze zaśmieconej resztkami zgruchotanej sterówki. Thirsk i Hard pobiegli powiedzieć mu podniecające nowiny, ale znaleźli go na podłodze, na którą osunął się z koła sterowego. Wciąż był jeszcze przytomny, choć z każdą chwilą coraz mniej. Z wielkiej dziury na wysokości krzyża tryskała krew i widać było potrzaskane kości.

Hard usilnie próbował zatamować potok krwi opatrunkiem polowym, ale bandaż przesiąkł w parę sekund.

Podparli go skulonego we dwoje krzesłem, mając nadzieję, że to jakoś pomoże, ale wciąż krwawił, a jego oddech stawał się coraz płytszy i coraz szybszy. \* Cara \* wysapał kilka razy. Potem nagle próbował podnieść się na nogi charcząc: \* Załoga artylerii... przygotować się... teraz, żwawo! \* Delikatnie posadzili go na zakrwawionym krześle. Mrugał szybko powiekami, a oczy co chwilę uciekały w górę. \* Dałem raz jednej dziwce

siedem i jeszcze sześciopensówkę, żeby zrobiła to ze mną w schronie przeciwlotniczym na Hedon Road \* mówił krztuszając się.

\* Już prawie jest po tamtej stronie \* wyszeptał Thirsk ze łzami w oczach.

Hard przytaknął w milczeniu. I on wiedział, że to już koniec. Tak wielu ludzi umierało na jego oczach w czasie tej wojny, że dobrze znał symptomy zbliżającego się końca. Patrzył na poszarzałą twarz Christia\*na i zastanawiał się, czy jeszcze mocuje się ze śmiercią, czy też chce już odejść.

\* Biedny stary Mucky Duck\* powiedział Christian nagle całkiem wyraźnie, a zaraz potem jego głowa przechyliła się bezwładnie na bok i umarł.

\* Biedny stary Mucky Duck \*cicho powtórzył jego słowa Hard. Po pomarszczonej twarzy Thirskapłynęły łzy. Wyciągnął rękę i delikatnie zamknął Christianowi oczy. Ucieczka z Tobruku skończyła się.

Przesłanie Lady Lisy Challenger, OBE\*

(OBE (ang.) \* Officer of the Order of the British Empire \* Oficer Orderu Imperium Brytyjskiego \* przyp. tłum.)

Duncan Harding poprosił mnie o napisanie krótkiego postłowa. Jeśli przyczyni się to w jakiś sposób do uczczenia pamięci tych dzielnych, młodych ludzi, którzy pomogli nam w ucieczce z Tobruku oraz mojego drogiego męża profesora Challengera, który został zabity pociskiem V\*2 w ostatnich miesiącach wojny, to będę zaszczycona, mogąc to uczynić.

Oczywiście, oni wszyscy już dawno nie żyją. „Zawodowcy”, jak nazywali ich marynarze z Black Swana, zginęli młodo \* we Włoszech, Francji, Niemczech, a później w Birmie. Jeśli chodzi o załogę naszego holownika, wraz z „szefem” Thirskiem \* zostali storpedowani na kanale La Manche w zimową noc 1944 roku i wraz ze statkiem poszli na dno. Żaden z nich nie ocalał.

Ale żyją wśród nas wciąż starzy ludzie w Wielkiej Brytanii i w Ameryce, którzy zginęliby nagłą i okrutną śmiercią pięćdziesiąt lat temu, gdyby nie wysiłek tych młodych dzielnych żołnierzy, wtedy, w czerwcu 1942 roku. Ocalając mojego drogiego męża i mnie, pomogli oni pośrednio w wyprodukowaniu i sukcesie bomby atomowej.

Wiem, że w dzisiejszych czasach, tak już odległych od ponurych lat wojny, uważa się, że kiedy Stany Zjednoczone rzuciły pierwszą bombę atomową na Hiroszimę, to Japonia była ofiarą, a agresorem \* Stany Zjednoczone. Mówi się też całkiem często, że rzuciliśmy tę bombę na Japończyków, ponieważ byli Azjatami, a to znaczy \* gorszą rasą. Ale to nieprawda. Nasi przywódcy polityczni i wojskowi rzuciliby ją także

na Niemców, o ile ci nie poddali się w maju 1945. Tego roku czas nazistów miał również nadejść. Zapewniam was o tym.

Hiroszima nie została wybrana dlatego, aby stanowić przykład, ale raczej ostateczne ostrzeżenie dla wojska i ludności Japonii. W tym samym majowym tygodniu, kiedy pokój zawitał do Europy, na Okinawie, jednej z wysp Pacyfiku, fanatyczni obrońcy japońscy zabijali po tysiąc amerykańskich żołnierzy dziennie. Po Okinawie przyszła kolej na wyspę Kyusha, której obrona została zaplanowana przez armię japońską, z dowództwem w Hiroszimie. A po niej to samo działo się na kolejnych japońskich wyspach.

W tym czasie w Japonii były cztery miliony japońskich żołnierzy i uzbrojonych cywilów plus cztery tysiące



samolotów kamikaze przygotowanych na inwazję amerykańsko\*angielską. I wszyscy spodziewali się wtedy straszliwych ilości ofiar. W całej Ameryce szykowano w szpitalach miejsca dla rannych. Szef sztabu amerykańskiej armii powiedział prezydentowi Trumana\*nowi, który miał podjąć decyzję o zrzuconiu bomby, że sama Ameryka przewiduje pół miliona ofiar. To była przyczyna zrzuconia bomby.

Dzisiaj, już jako stara kobieta, słyszę i czytam o zbyt wielu historykach \* rewizjonistach, którzy próbują na nowo napisać historię drugiej wojny światowej. Ale ci rewizjoniści nigdy sami nie „nadstawiali karku”, jak mawiał mój drogi mąż. Nikt do nich nie strzelał z karabinu, nigdy nie trzęśli się ze strachu, nigdy nie głodowali i nie żyli w ubóstwie dla „sprawy”, która mogła \* i często tak bywało \* wynagrodzić im to wszystko tylko gwałtowną śmiercią. Co mogą wiedzieć o motywach takich ludzi jak major Hard czy kapitan Christian albo tych młodych chłopców ze śmiesznymi przydomkami, „Bunts”, „Sparks” i innych? Oni przecież nie chcieli umierać, a umierali, zanim zaczęli normalnie żyć. Umierali za coś, w co wierzyli i walczyli przeciw wrogowi, który był dla nich uosobieniem nieustępliwości i okrucieństwa. Jestem przekonana, że powinniśmy oddać honory tym dzielnym młodym ludziom, prawda? Niech spoczywają w czci i pokoju...

Lisa Challenger